

częstochowski magazyn literacki Towarzystwa Galeria Literacka





Fragment muralu Tomasza Sętowskiego „Strażnik czasu”, foto: Janusz Mielczarek

lipiec – wrzesień 2018

SŁOWO OD REDAKCJI

Bogdan Knop, *Nie tylko o porach roku* 3

WYDARZENIA

Kalendarium: lipiec – wrzesień 2018 r. 4

Barbara Strzelbicka, *Nagrody Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury* 5

Janusz Jano Mielczarek, *Obraz gigant* 7

WŁADYSŁAW EDWARD PIEKARSKI (1948-2018)

Andrzej Kalinin, *Znaliśmy się lata całe* 9

Arkadiusz Frania, *Władysław Edward Piekarski. Poeta z intuicji* 13

Małgorzata Franc, *Rozwinąć skrzydła – wspomnienie* 21

Izabela Ptak, *Pamięci Władysława Edwarda Piekarskiego* 23

ROZMYŚLANIA ZBISŁAWA JANIKOWSKIEGO

Zbisław Janikowski, *Rozmyślenia o zdrowiu* 25

POEZJA

Bożena Gorska, *Piosenka o wołyńskim lnie* 27

Tadeusz Wrona, *Wiersze* 28

Anna Jędryka, *Nie dla Ciebie. Pamięci mojej Teściowej* 31

Jacek Gierasinski, *Wyjadę* 33

Zdzisław Opałko, *Stopklatka* 35

Barbara Strzelbicka, *Stare żony poetów* 37

PROZA

Mieczysław Wyględowski, *Koniec polowania* 38

Wiesława Owczarek, *Ambi* 41

Zbisław Janikowski, *Ćwir, ćwir* 43

Ida Jadwiga Łubińska, *Z zapisków Klary* 47

Marek Krzysiański, *Humoreski* 51

Rafał Socha, *Rower* 53

DRAMAT

Jan Ciesielski, *Tok w bok* 59

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Roman Wyborski, *Rzecz o Marii, nie tylko Gierymskiej* 61

Tomasz „Aztenty” Barański, *Co by było, gdyby* 64

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Pogrzeby* 67

HISTORIA W GALERII

Wacław Kapsa, *Niepodległość*, oprac. Jarosław Kapsa 73

WIDZIANE Z GALERII

Subiektywna kronika wypadków kulturalnych 81

Anna Jędryka, *Olsztyn Jurajski* 81

Barbara Strzelbicka, *Kobieca opowieść przedstawiona przez mężczyznę* 81

Na okładce: Miroslaw Rogala. Transformed Sunflowers in Brackets and Symbols, 2015

CZĘSTOCHOWA

Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2018 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

Anna Jędryka, <i>Olsztyn balonowo-winny</i>	83
Barbara Strzelbicka, <i>Wieczór z Galerią</i>	85
Barbara Strzelbicka, <i>Kobiece czytanie Przedwiośnia</i>	85
CZENSTOCHOVIANA Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI	
Tymoteusz Werner, <i>Czenstochoviana z księgarskiej półki</i>	87
Jacek Laberschek, <i>Dzieje średniowiecznego Lelowa</i>	87
Ewa Aleksandra Rejment, Elżbieta Duda, <i>Oczyszczyć z pyłu zapomnienia</i>	88
Halina Synakiewicz, <i>Dzieje pielęgniarstwa i położnictwa</i> <i>na Ziemi Częstochowskiej</i>	89
Jan Zumbach, <i>Ostatnia walka: Moje życie jako lotnika,</i> <i>przemytnika i poszukiwacza przygód</i>	90
ZAPISKI GALERJANA	
Jan Ciesielski, <i>Fair-męty</i>	91
FOTO GALERIA EKSTRA	
Mirosław Rogala	92
NOTY O AUTORACH	
Tadeusz Wrona	30
Mieczysław Wyględowski	38
Mirosław Rogala	92



NIE TYLKO O PORACH ROKU

Zakres czasowy numeru 47 Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” przypadł na miesiące upałów i leniwej kanikuly, czasem tylko rozdzieranej piorunem zdarzeń – rzeczywistości domagającej się swych praw, oslepiającej i groźnej. Takim wydarzeniem była śmierć, a potem pogrzeb Władysława E. Piekarskiego, długoletniego prezesa Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji Li-TWA, poety i prozaika. Ponieważ *de mortuis aut bene, aut nihil*, wspomnimy kilka zasług Władysława: był inicjatorem powstania stowarzyszenia, które łączyłoby i spajało środowisko poetów i prozaików częstochowskich i okolicznych; współtworzył „Galerię” jako pismo literackie i długi czas mu przewodził; starał się promować i wydawać miejscowych autorów; pozostał we wdzięcznej pamięci wielu osób. Za zasługi nagrodzony m.in. nagrodą specjalną Ministra Kultury. Dużo to czy mało? Na pewno nie wszystko, bo człowiek i jego los nie mogą być wyczerpani w słowach, pozostanie pamięć i zaduma. W bieżącym numerze „Galerii” wspominają Władysława Piekarskiego na różne sposoby: Andrzej Kalinin, Arkadiusz Frania, Małgorzata Franc i Izabela Ptak. Niech słowa piszącego je teraz będą słowami od wszystkich członków Towarzystwa, którzy życzą sobie tego – żegnaj, Władysławie, śpij spokojnie po trudach tego świata!

W świecie po burzy sprawy wracają do swych zwykłych obrotów, czy chcemy tego, czy nie. Numer 47. stoi głównie prozą – zarówno autorów zasiedziałych, jak Wiesława Owczarek, Zbislav Janikowski i Ida Jadwiga Łubińska, powracających, jak Rafał Socha, wreszcie nowych w osobach Mieczysława Wyględowskiego i publikującego po raz drugi Marka Krzystańskiego. A *crème de la crème* stanowią

opracowane przez Jarosława Kapsę zapiski jego dziadka Wacława. Trzeba tu wspomnieć, że niedawno promowaliśmy książkę Jarosława Kapsy *Jej opowieści. Rzecz o równouprawnieniu kobiet*. Książkę znakomitą i na czasie – o książce i wieczorze jej poświęconym pisze Barbara Strzelbicka w dziale „Widziane z Galerii”.

Dział poezji prezentuje wiersze stałych współpracowników „Galerii”: Bożeny Gorskiej, Jacka Gierasieńskiego, Anny Jędryki i Zdzisława Opałki, a oprócz tego jako zupełną nowość – wiersze Tadeusza Wrony, którego wielu z tej strony raczej nie znało. Osobno wspominam o pięknym wierszu Barbary Strzelbickiej, nie tylko dlatego, że rzadki to gość na naszych łamach – i nie mam tu na myśli częstości, ale rangę. Wiersze zamieszczamy tym razem także w dziale Foto Galeria, gdzie prezentujemy sylwetkę Mirosława Rogali, artysty wizualnego, teoretyka sztuki, performer, autora instalacji, rysownika, grafika, fotografa i pedagoga – dlatego z dodatkiem Ekstra.

Poza tym – różnorodność. Garść humoru purnonsensowego proponuje Jan Ciesielski, Tomasz „Aztenty” Barański przedstawia wizję wojny atomowej, Małgorzata Nowakowska-Karczewska śledzi motywy tanatologiczne w literaturze, Tymoteusz Werner poszukuje wątków częstochowskich w nowościach wydawniczych, zaś Roman Wyborski upomina się o kobiety. Odnotowujemy także ważne wydarzenia artystyczne, z których najgłośniejszym było odsłonięcie murala Tomasza Sętowskiego, opisane piórem i obiektywem Janusza Mielczarka.

Przed nami jesień: czas barw stonowanych, dłuższych zmierzchów i zadumy. Dobra pora do pisania wierszy.

Bogdan Knop

KALENDARIUM lipiec – wrzesień 2018 r.



LIPIEC

30.06-1.07. – Sztuka dla każdego. Miasto, sztuki, sztuka w mieście – Plac Biegańskiego,

1.07. – zmarł Władysław Edward Piekarski, pisarz,

3.07. – promocja książki Jarosława Kapusy *Jej opowieści. Rzecz o równouprawnieniu kobiet* – Muzeum Częstochowskie – Ratusz,

3.07. – warsztaty z ilustratorem Tomaszem Samojlikiem – Odwach,

4.07. – promocja książki Ryszarda Stefaniaka *Obchody w Polsce urodzin Józefa Piłsudskiego* – Muzeum Częstochowskie – Ratusz,

4.07. – Finał III edycji Festiwalu Iron Oxide – ul. Ekonomiczna (SE Skorki),

10.07. – Rada narodowa Księstwa Cieszyńskiego – Spotkanie z historią w 100-lecie odzyskania niepodległości – wykład prof. Janusza Spyry – Muzeum Częstochowskie – Ratusz,

15.07. – zmarła Maria Ogłaza, malarka,

16.07. – Spotkanie z Manuelą Gretkowską – OPK „Gaude Mater”,

20-22.07. – Weekend Kultury Niezależnej,

26.07. – Wieczór z Galerią i prezentacja 46. numeru „Galerii” – Ratusz,

27.07. – Literacki Piątek – OPK „Gaude Mater”,

28.07. – zmarła Kora (Olga Sipowicz, *primo voto* Jackowska), wokalistka i poetka,

29.07. – zmarł Tomasz Stańko, muzyk jazzowy.

SIERPIEŃ

4.08. – spotkanie z Tomaszem Sętowskim – Pawilon Wystawowy Muzeum Częstochowskiego,

18.08. – 5. Festiwal Retro Częstochowa – Plac Biegańskiego,

23-26.08. – 26. Dni Częstochowy,

23.08. – uroczystości z okazji 100-lecia niepodległości Polski i 30-lecia Związku Piłsudczyków RP,

25.08. – wernisaż wystawy 10. Międzynarodowego Biennale Miniatury – OPK „Gaude Mater”,

25.08. – wręczenie nagród Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury oraz wyróżnienia Mecenasa Kultury – Amfiteatr przy Promenadzie Niemena,

26.08. – msza św. w intencji Miasta Częstochowy i jego mieszkańców – Jasna Góra,

31.08. – wernisaż wystawy haftów „Piękna nasza Polska cała” – ROK.

WRZESIEŃ

31.08-2.09. – XIX Dni Europejskiej Kultury Ludowej,

2.09. – Jasnogórskie Dożynki,

8.09. – Narodowe Czytanie: Stefan Żeromski, *Przedwiośnie* – Pawilon Wystawowy Muzeum,

13.09. – wernisaże wystaw: Jacka Łydzby

„Krajobrazy i obrazy”, Beaty Bigaj „BUNT. Versus pollice verso”, Marka Andały „Zwykłe miejsca” – Miejska Galeria Sztuki,
14.09. – Gala Ekonomii Społecznej – Filharmonia Częstochowska,
15.09. – 15. Noc Kulturalna,
15.09. – odsłonięcie murala Tomasza Sętowskiego na ścianie kamienicy Stefana Rybickiego – Plac Rady Europy,
15. 09. – wernisaż wystawy „Rysunek / Zdzisław Wiatr / Paweł Warchoń / Adam Pocięcha / Zdzisław Nitka” – Miejska Galeria Sztuki,
16.09. – „Z piosenką przez świat. 90. urodziny Janusza Gniatkowskiego” – Filharmonia Częstochowska,
21-30.09. – Przegląd Przedstawień Istot-

nych „Przez dotyk”: „Rodzina plus/minus” – Teatr im. A. Mickiewicza,
22-28.09. – 12. Festiwal Wiolinistyczny im. Bronisława Hubermana – Filharmonia Częstochowska,
23.09. – wernisaż wystawy „Dopełnienie konieczne: Beksiński/Lewczyński” – Miejska Galeria Sztuki,
24-30.09. – Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”,
29.09. – IX Forum Kobiet Ziemi Częstochowskiej „(S)PRAWA KOBIET” – UH-P im. Jana Długosza,
29.09. – wernisaż wystawy ilustracji Artura Nowickiego – OPK „Gaude Mater”.

Barbara Strzelbicka

Barbara Strzelbicka

NAGRODY MIASTA CZĘSTOCHOWY W DZIEDZINIE KULTURY

Jednym z wydarzeń w ramach Dni Częstochowy, obchodzonych w dniach 23-26 sierpnia 2018 r., było wręczenie Nagród w Dziedzinie Kultury. W tym roku otrzymali je:

– W kategorii „Literatura i historia” – Barbara Pabian, pracownik naukowy Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, autorka dwóch książek o Częstochowie: *Dziedzictwo kulturowe Częstochowskiego. Wierzenia, zwyczaje i obrzędy rodzinne oraz Kulturowe konteksty pielgrzymowania i rozwoju turystyki religijnej. Przykład regionu częstochowskiego*. Laureatka prowadzi badania naukowe nad kulturą regionu częstochowskiego.

– Kategoria „Teatr i film” – Michał Kula, aktor związany na stałe z teatrem Częstochowskim od 1994 r., wielokrotnie nagradzany Złotą Maską, znany także z ról filmowych i telewizyjnych. Współ-

pracował z kabaretem Rafała Kmity i Teatrem STU. Jest absolwentem warszawskiej PWST.

– W kategorii „Sztuki plastyczne” laureatem nagrody został Czesław Dukat, rzeźbiarz i pedagog, przez 40 lat związany z Zespołem Szkół Plastycznych w Częstochowie, nauczyciel między innymi Jerzego Kędziory i Szymona Wypycha, autor prac znajdujących się w Centralnym Instytucie Wzornictwa w Łodzi, Muzeum Górnośląskim w Bytomiu oraz Muzeum Częstochowskim.

– Danuta Morawska otrzymała nagrodę w kategorii „Muzyka i taniec”. Jest od 30 lat kierownikiem Zespołu Pieśni i Tańca „Częstochowa” oraz współautorką jego sukcesów w Polsce i za granicą. Jest wieloletnią członkinią Polskiej Sekcji Międzynarodowej Organizacji Sztuki Ludowej (IOV), pełniąc od dwóch lat



Laureaci Nagród w Dziedzinie Kultury

funkcję wiceprzewodniczącej ds. zespołów folklorystycznych i festiwali.

– Laureatami w kategorii „Promocja i ochrona kultury” zostały dwie osoby.

Małgorzata Sętowska jest malarką, pedagogiem, animatorką kultury oraz autorką książek dla dzieci. Zajmuje się przede wszystkim upowszechnianiem kultury plastycznej wśród dzieci i młodzieży, organizując dla nich warsztaty i plenery oraz prowadząc pracownię autorską. Jest członkinią Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza oraz Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej,

Krzysztof Ledwoń – kolekcjoner dzieł sztuki i broni, autor i organizator wystaw, popularyzujących wiedzę historyczną, w tym zwłaszcza o historii regionu, chętnie udostępniający w tym celu własne eksponaty.

Tytuł „Mecenasa Kultury” otrzymała Galeria Jurajska za zaangażowanie w organizację wydarzeń kulturalnych.

Przypomnijmy, iż zgodnie z regulaminem (Uchwała Rady Miasta Częstochowy z 18 kwietnia 2005 r.) kandydatury można zgłaszać do 30 czerwca danego roku i mają do tego prawo instytucje kultury, uczelnie i szkoły artystyczne, związki i stowarzyszenia twórcze, inne organizacje i stowarzyszenia oraz osoby fizyczne. Prezydent Miasta może także przyznawać nagrody z inicjatywy własnej. Regulamin stanowi, iż Prezydent zasięga opinii co najmniej raz w roku powoływanych komisji, w skład których wchodzi przedstawiciele: Prezydenta Miasta, Komisji Edukacji, Kultury i Sportu Rady Miasta, Rady Kultury przy Prezydencie Miasta, Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta oraz laureaci nagród z poszczególnych dziedzin z lat ubiegłych. Ostateczna decyzja w sprawie przyznania nagród należy do Prezydenta Miasta Częstochowy.

Wszystkim nagrodzonym gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów – także w innych dziedzinach życia i działalności kulturalnej.

Janusz Jano Mielczarek

OBRAZ GIGANT



Po wakacjach 2016 roku państwo Rybicy mieli już rozplanowaną architekturę południowej ściany ich kamienicy przy ul. Wolności 19, która zamyka perspektywę położonego obok częstochowskiego dworca kolejowego placu Rady Europy. Skompletowana była lista firm, które chciały na niej umieścić swoje reklamy i pozostało tylko domówić szczegóły. Ale gospodarzom, kontynuatorom siedemdziesięcioletniej tradycji zakładu zegarmistrzowskiego, założonego przez pana Józefa Rybickiego, marzyło się coś więcej. Akurat bliżej zetknęli się z Tomaszem Sętowskim, który przez blisko czter-

dzieści lat wypracował sobie cenioną pozycję na rynku polskiej i międzynarodowej sztuki. Bywając w stworzonym przez artystę w Częstochowie Muzeum Wyobraźni, zaczęli rozważać ozdobienie ściany swojej kamienicy czymś wyjątkowym. Tą myślą podzielili się z Tomaszem Sętowskim. Ten w pierwszej chwili zapalił się do pomysłu, ale skonstatował, że na ścianie o powierzchni 1500 m² (100 x 15 m) znajduje się 19 okien i 6 wnęk balkonowych, co – przy tworzeniu na niej malowidła – stwarza wiele problemów technicznych i kompozycyjnych. Jednak niezwykłość propozycji była na tyle kusząca, że projekt – choć dwukrotnie korygowany – powstał.

Ścianę należało teraz odpowiednio przygotować: po usunięciu starej warstwy tynku nałożyć nową, która wytrzyma ekstremalne zmiany warunków atmosferycznych, wstrząsy powodowane jazdą pociągów oraz będzie miała tak gładką powierzchnię, że będzie można malować na niej pędzelkami paromilimetrowej grubości, bo wiele elementów muralu tak właśnie powstawało. Rzecz była absolutnie nietypowa. Poszukiwanie wykonawcy



Tomasz Sętowski, foto Janusz Mielczarek



Tomasz Sętowski i Stefan Rybicki, foto Janusz Mielczarek

zajął panu Rybickiemu ponad pół roku. Udało się; tynk powinien przetrwać kilkadziesiąt lat.

W maju tego roku Tomasz Sętowski wspólnie z Tadeuszem Kiedrzyńskim, Markiem Laskowskim i Mikołajem Sętowskim przystąpili do realizacji gigantycznego malowidła, które artysta nazywa „obrazem na ścianie” i któremu nadał tytuł „Strażnik czasu”. W jego tematyce – poza symbolami czasu i zawodu zegarmistrza – nawiązuje do różnych okresów swojej twórczości, stulecia odzyskania przez Polskę Niepodległości i Jasnej Góry. Jest także logo miasta i „balonik” – częsty rekwizyt na obrazach zmarłego w roku 1997 Mariana Michalika, którego sztukę bardzo cenił. Uważny obserwator w gąszczu pięknych szczegółów dostrzeże również akcenty osobiste i rodzinne twórcy oraz nieprzebrane mnóstwo innych, także *stricte* malarskich.

Z lewej strony, na poziomie drugiego piętra, jest wmontowany zegar z mechanizmem sterowanym radiem, ufundowany przez firmę Atlantic, a zainstalowany przez Stefana Rybickiego. Odmierza czas z dokładnością do setnych części sekundy.

15 września 2018 roku, przy licznych udziałach publiczności, oficjeli, przyjaciół artysty i fundatorów oraz... przy okolicznościowym torcie, obraz na ścianie – największy tego typu w Europie, a może i świecie – został uroczystie odsłonięty. Sądzę, że obserwując go przez miesiące jego powstawania częstochowianie przywykli do jego piękna i dzisiaj nie do wszystkich dociera jeszcze niezwykłość „Strażnika czasu”, który stał się już obiektem zazdrości mieszkańców miast o wiele większych i ważniejszych na mapie Polski od Częstochowy.

Andrzej Kalinin

ZNALIŚMY SIĘ LATA CAŁE... WSPOMNIENIA O WŁADKU E. PIEKARSKIM



Władysław Edward Piekarski, foto ze zbiorów Izabeli Ptak

Władek był i chyba już na zawsze zostanie postacią niezwykle zasłużoną dla kultury częstochowskiej, której przez lata swojej pracy przysporzył sławy i uznania w całym naszym Kraju. Sam też był osobowością artystycznie nieprzeciętną, bo twórcą i animatorem wielu znanych do dziś przedsięwzięć kulturalno-literackich, jak choćby Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej czy Konfrontacje Poetyckie jej imienia, które powróciły z Jego właśnie inicjatywy. Sam Władek Piekarski był już wtedy uznanym poetą, autorem bodaj trzynastu tomików wierszy i świetnej, przetłumaczonej na język niemiecki i tam wydanej książki pt. *Rozmowy w pociągu do Atocha*.

Ale po kolei. Nim o tym wszystkim opowiem, przytoczę kilka o Nim zdań zaczerpniętych ze źródeł jak najbardziej obiektywnych, ale i trochę zawistnych, jak to między poetami bywa, bo pochodzących z krakowskiego *Informatora biobibliograficznego* autorstwa Waldemara Kani, wydanego przez Zarząd Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich pod tytułem *Pisarze z Krupniczej*. Pod nazwiskiem Piekarski Władysław Edward znalazłem takie oto znakomite, moim zdaniem, *dossier* pisarza:

„Urodził się 3 maja 1948 roku w Częstochowie. Z zawodu technik-mechanik. Później studiował na Politechnice Często-

chowskiej. Był jednym z twórców i wiceprzewodniczącym Rady Krajowej Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury w Polsce, a także prezesem tego Stowarzyszenia w Częstochowie. Współzałożyciel, a następnie prezydent FC Stowarzyszenia »Międzynarodowi Twórcy Kultury« skupiającego – UWAGA! – ponad 200 autorów z Europy, Ameryki i Azji. Wydawca i redaktor serii wydawniczej »Częstochowska Biblioteka Poetów i Prozaików«, a także miesięcznika artystycznego »Galeria«. W latach 1993-94 członek Zarządu Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Debiutował w 1967 roku wierszem w »Almanachu Młodych Twórców«. Swoje utwory publikował w czasopismach regionalnych i ogólnopolskich. Wiersze Władysława Edwarda Piekarskiego tłumaczone były na języki rosyjski i bułgarski. Uhonorowany odznaką »Zasłużony dla województwa Częstochowskiego« oraz Brązowym Krzyżem Zasługi».

Tyle krakowscy pisarze. Ze swej strony dodam jeszcze, że W.E. Piekarski nieprzerwanie od 2001 roku był redaktorem naczelnym wydawnictwa »Dom Książki« w Częstochowie, a w nim ojcem niezwyklej serii wydawniczej pt. »Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików«. Przez 17 lat istnienia opublikował tam ponad trzydzieści książek i tomików poetyckich twórców wywodzących się z Częstochowy, a także kilka Częstochowskich Zeszytów Bibliograficznych mówiących o historii kultury naszego miasta i regionu.

Warto też powiedzieć, że był pomysłodawcą i redaktorem takiej fundamentalnej dla naszego miasta pracy literackiej, jak *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską wraz z okolicą* (Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików, Wydawnictwo »Wikstan, Częstochowa 2006). Przez kilka lat gromadził materiały do antologii

Poetycka Częstochowa na przełomie wieków. Pierwsze dwa tomy tej pracy zostały wydane w latach 2001-2002 nakładem Wydawnictwa »Dom Książki«, gdzie Władek był redaktorem naczelnym. Rozszerzył potem ten zakres o lata 1945-78 i nadał jej nowy tytuł: *Poetycka Częstochowa w latach 1945-2008*.

Trzeba pamiętać, że Władek był też założycielem i pierwszym Prezesem niezwykle prężnie działającego w naszym mieście Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji »LiTWA«, do którego dziś należy przeszło 35 częstochowskich pisarzy i poetów. To dzięki Jego staraniom wielu uznanych dzisiaj literatów częstochowskich otrzymało zaszczytny status pisarza, poprzez przynależność do elitarnego Związku Literatów Polskich. Dla przykładu wymienię tu kilka najbardziej znanych nazwisk: Elżbieta Jęziorowska-Wróbel, dr Arkadiusz Frania, Ryszard »Sidor« Sidorkiewicz, Wiesław Wyszyński, Ireneusz K. Kopryś, Janusz Orlikowski, Marek Maculewicz, dr Jan Łączewski. Wiele z tych osób to późniejsi laureaci Nagród Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie literatury. Także niżej podpisany Andrzej Kalinin, dzięki Jego staraniom, otrzymał medal »Gloria Artis«.

Dom Rodzinny

Urodził się w Częstochowie w starym drewnianym domu przy ulicy Czarneckiego, gdzie od najmłodszych lat odkrywał dla siebie pierwsze fascynacje książkami, poezją, sportem i lotnictwem. Wiedział też sporo o swoich rodzinnych korzeniach. Wiele przecież mówiło się o nich w domu. O pradziadku Władysława Edwarda Piekarskiego na przykład, który za udział w Powstaniu Styczniowym został zesłany na długich 25 lat do Irkucka na Syberii, a po którym Władek nosił obydwie imiona. Mówiło się również o rodzinnych stronach Mamy, słynnym z partyzanckich bojów Maluszyńce, gdzie wujek Wład-

ka Piekarskiego był jednym z dowódców tamtejszego oddziału AK. Tata Piekarski zaraz po wojnie podjął pracę w Częstochowskiej Fabryce Okuć Budowlanych i pracował tam nieprzerwanie aż do emerytury, z uporem podnosząc swoje kwalifikacje, aż do funkcji kierownika jednego z zakładów. W rodzinie jednak rządziła mama i jej to chyba zawdzięczać trzeba niezwykłą atmosferę tamtego domu. Czytało się tu książki na głos, wspólnie słuchało radia, szczególnie audycji teatralnych. Całą też rodziną chodzono do kina. Te piękne zwyczaje wspierano innymi jeszcze, choć niegdyś już, ale jakże skutecznymi metodami wychowawczymi, to znaczy za dobre sprawowanie nagradzano, a za to złe karano, często przy pomocy ojcowskiego paska od spodni. Władek był najstarszym z czwórki dzieci w rodzinie Piekarskich i chyba dlatego właśnie miał potem w sobie wyraźne cechy przywódcze.

Czytać i pisać – jak mówił – nauczył się sam. Nim poszedł do podstawówki, już biegle składał litery w zdania i zachwycał się książkami, szczególnie tymi, w których były barwne ilustracje. W tej swojej młodzieńczej fascynacji znalazł niebawem znakomitego sprzymierzeńca. Dwie bramy dalej mieszkał bowiem wujek Feliks Kasprzyk, człowiek niezwykle zakochany w literaturze. To on małemu Władowi podsuwał najciekawsze książki do przeczytania. Wciągał go w ten sposób w ów niezwykle fantastyczny świat wzruszeń, fantazji, wyobrażeń, z którego to kręgu wyrwać się już nie sposób. W podstawówce dostrzegła to pani od polskiego Barbara Kurmin i małemu Władowi poświęcała wiele uwagi. Ale on, jak to chłopak, interesował się głównie lotnictwem, a asumptem dla wyobraźni z tym związanej była literatura. Pochłaniał wtedy książki Janusza Meisnera, Bohdana Arcta, Jerzego Skalskiego. Znał na pamięć lotnicze przygody ich

bohaterów, ale znał się również na typach aeroplanów właściwie wszystkich marek świata. Kiedy więc stanął problem wyboru szkoły średniej, decyzja mogła być tylko jedna: Liceum Lotnicze.

Mama oczywiście się bała. To taki niebezpieczny zawód – mówiła – o niebezpieczeństwie tam nietrudno. Ale Władek był uparty. Pojechał do Wrocławia, zdał pomyślnie egzamin wstępny i dostał się do szkoły. Szkopuł tylko tkwił w tym, że nie otrzymał, niestety, miejsca w internacie. Wynajęcie we Wrocławiu kwatery prywatnej z wiktem i opierunkiem przekraczało możliwości finansowe państwa Piekarskich, a i obawa o pozostawienie w dużym mieście samopas małego przecież chłopca, też robiła swoje. Władek wrócił więc do Częstochowy.

Za namową chłopaków z podwórka podjął wnet naukę w szkole zawodowej, a po jej ukończeniu uczył się dalej w słynnym w Częstochowie z wielu wspaniałych wychowanków Technikum Hutniczym przy ulicy Bolesława Prusa na Rakowie. Tu znowu trafił na znakomitą polonistkę, panią profesor Barbarę Orłowską. Zainteresowania literaturą odżyły na nowo. Wtedy właśnie napisał swoją pierwszą w życiu książkę. Nazywała się *Romantica* i była jakąś młodzieńczą, naiwną historyjką miłosną, która na szczęście, jak mówił, gdzieś mu potem zginęła.

Ale zrodzona wówczas potrzeba pisania nie dawała jednak o sobie zapomnieć. I jakoś wtedy właśnie Pałac Młodzieży w Katowicach ogłosił konkurs poetycki. Władek Piekarski wysłał tam kilka swoich wierszy. Widocznie dopatrzono się w nich jakiegoś poetyckiego talentu, bo wiersze te nagrodzono. Przez następne dwa lata związany był z warsztatami literackimi w tym właśnie Pałacu. A była to bardzo niezwykła szkoła – nie tylko pisanie, ale również inteligencji, estetyki czy dobrego smaku oraz kultury na co dzień. Wyszło z tej szkoły wielu i znanych, i uznanych

twórców kultury, znakomitych literatów i znawców sztuki, jak choćby sławny reżyser filmowy Kazimierz Kutz.

Dorosłe życie

Po maturze musiał iść do pracy. W domu się nie przelewało, więc Władek postanowił połączyć pracę z nauką. Czuł się dorosły i nie chciał dłużej obciążać zapracowanych rodziców, zwłaszcza że mieli oni jeszcze na głowie młodszą trójkę dzieci. Studia podjął na Politechnice Częstochowskiej w systemie wieczorowym. Rano praca, wieczorami nauka. W takim zaharowaniu przebrnął przez dwa pierwsze lata, a potem zaczęła go fascynować tak zwana działalność społeczna. Zajęcia takie, połączone często z zagranicznymi wyjazdami, nobilitowały wtedy niebawale. Dzisiaj to oczywiście śmiesz, ale w tamtych latach wyjazd zagraniczny był szczytem marzeń każdego Polaka.

Podjął potem pracę w częstochowskim „Metalplacie”. Zapamiętał tę firmę głównie z jednego ważnego i brzemiennego w skutki powodu. Ożenił się tam bowiem z pewną młodzieńką, piękną częstochowianką. Gdy zapytałem Go kiedyś, czy jego przyszła żona wiedziała, że zadaje się z poetą i że czeka ją z tej racji niełatwe życie, Władek odpowiedział mi, że „tak, bo przeczytała już wcześniej kilka moich wierszy i chyba się jej spodobały, skoro przy ołtarzu powiedziała: tak”.

Dorosły świat i właśnie założona rodzina nakładały coraz nowsze obowiązki. I to właśnie wtedy, jak mówił, wziął rozbrat z literaturą na ponad dwadzieścia lat. Nie w dosłownym znaczeniu słowa, oczywiście. Piórem parął się dalej. Pisał teraz przemówienia i wystąpienia swoim szefom, różnego rodzaju referaty i okolicznościowe gadki. Jego talenty w tym względzie szybko zostały dostrzeżone przez rządzącą wówczas Zjednoczoną Partię Robotniczą, gdzie uznano, że „z tego towarzysza Piekarskiego, wiecie, to może być dobry propagandzista”.

I tak się stało. Władek wyładował niebawem w gminnym aparacie partyjnym w Rędzinach. Ale że duszę miał indywidualisty i sporo rozsądku w głowie, więc miejsca tam długo nie zagrzał. Przeniósł się do huty noszącej wtedy imię Bolesława Bieruta. A był to już wtedy sławny rok 1980. W kraju wrzało od strajków, demonstracji, rodziła się „Solidarność”. Władek włączył się w ten nurt, ale po tej oficjalnej, prawomysłnej i rządowej stronie, czyli w Branzowych Związkach Zawodowych. Do końca życia był przekonany o swoich wtedy racjach, bowiem każda ze stron uważa do dziś, że to dzięki niej zmiana ustroju odbyła się w sposób bezkrwawy.

Wtedy też Władysław Edward dwójga imion Piekarski, jak Go wtedy żartobliwie nazywaliśmy, rozpoczął swoją ważną literacko-organizacyjną pracę. To dzięki Niemu powstały takie periodyki literackie jak wychodząca do dziś „Galeria” czy wcześniej ukazująca się też „Mini Galeria”, gdzie mogli wypisać się do woli wszyscy początkujący poeci i prozaicy. Wielu z nich to znani dziś literaci, którzy swój debiut literacki i późniejsze pasje twórcze zawdzięczają właśnie Władowi. Bo On lubił takim ludziom pomagać.

Niestety, od wielu lat poważnie chorował. Przywykłem już do tego, że częściej spotykałem Go w różnych szpitalach, niż w domu. Ostatnio najczęściej rozmawialiśmy przez telefon, bo zawsze miał go przy sobie. Na tydzień przed śmiercią leżał w domu, ale podłączony był już do tlenu. Rozmawialiśmy, jak zwykle, o literaturze, o książkach, jakby nigdy nic, bo wierzyłem, że On z tego wyjdzie. Niestety, zmarł 1 lipca 2018 roku.

Mam już tyle lat, że myślę, Władku, iż niezadługo znów się spotkamy i pogadamy, jak zawsze, o książkach, literatach i innych nicościach tego świata.

Arkadiusz Frania

WŁADYSŁAW EDWARD PIEKARSKI. POETA Z INTUICJI

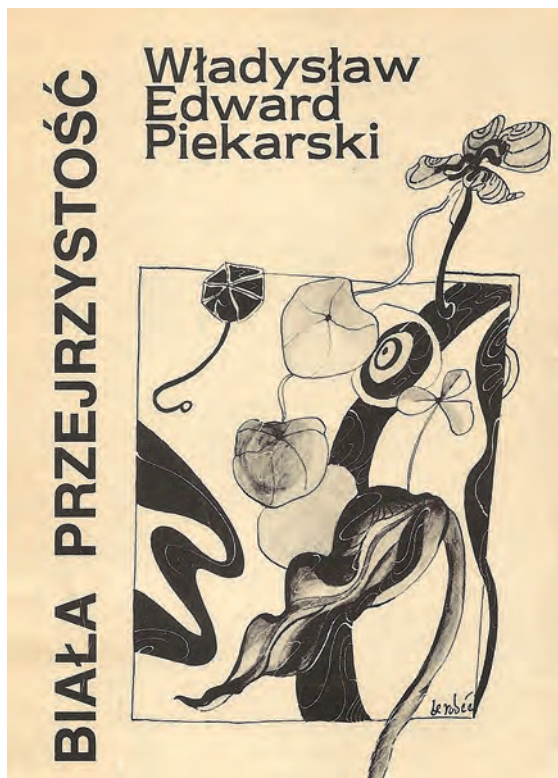
Władysław Edward Piekarski zmarł 1 „lipca. Miał 70 lat. Jego pogrzeb odbędzie się w środę, 4 lipca na Cmentarzu Komunalnym”. Czy w obliczu wieczności i losu w pierwszym odruchu można powiedzieć więcej o człowieku? Chyba nie, albowiem, gdy dowiadujemy się o śmierci znajomych lub osób zupełnie obcych, najpierw myślimy o nich właśnie jako o ludziach. Dopiero chwilę później obraz zmarłego przynosi skojarzenia i wspomnienia, epizody czy dłuższe sekwencje z życia, ze spotkań. Opublikowany 3 lipca 2018 roku na stronie internetowej edycji częstochowskiej „Gazety Wyborczej” (<http://czestochowa.wyborcza.pl> – dostęp 28 lipca 2018 roku) tekst (sygnowany przez „zs”), z którego pochodzi powyższy fragment, zawierał między innymi informacje: „Częstochowski wydawca, literat, animator kultury. Częstochowianin był redaktorem naczelnym Oficyny Galeria, wydawał serię »Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików«, organizował imprezy i konkursy literackie”. Gdy zobaczyłem biograficzne zestawienie dat narodzin i śmierci Władysława Edwarda Piekarskiego (3 marca 1948 – 1 lipca 2018), przypomniał mi się jeden z jego wierszy:

jestem przypisany
do imienia i nazwiska
daty urodzenia
genów ojca i matki
mikroświata
do kilku urodzin
ślubów
zgonów
pogrzebów
aż

do własnego zgonu
pogrzebu
do tabliczki
z imieniem
nazwiskiem
datą urodzin
i zgonu

(BP58)¹

„»Wstępującemu poecie« ja stary poeta”, dedykację tej treści wpisał częstochowski twórca 8 marca 1993 roku na trzeciej stronie podarowanego mi egzemplarza wyboru swoich liryków *Biała przejrzyłość*. To był czas, gdy dopiero zaczynałem



Wspomnienie
"palcem"
je stary poeta
Władysław

Tym, którzy namówili mnie
do złożenia tomiku,
uznawszy moją dojrzałość

pisać wiersze, powoli wchodziłem w życie literackie Częstochowy, w którym „stary poeta” (miał wówczas 45 lat!) wydawał się alchemikiem, autorytetem. Autor lubił chyba myśleć i mówić o sobie „stary”, na przykład *pogaduszki* zamyka obrazek: „dziś rano / wschodzące słońce / pogroziło mi palcem / i powiedziawszy: / – popraw się stary – / schowało się za chmury” (BP27). Dużo w tej twórczości lirycznej wiwiskacji, a może tylko kuszenia lub igrania ze starością, co miało też terapeutyczny wymiar jej osławiania: „straszy zieleni / maj / wspomnienia... / straszy / mijający czas” (BP67); „zamknąłem za sobą / czworo drzwi dziesięcioleci / świadomy

i nieświadomy / umykania czasu // [...] // teraz zmierzam / do piątych drzwi...” (BP61, 62); „skurcz serca / napędza / elektrony / między katodą / a / anodą // na anodzie / odkłada się // siwizna” (BP69). Zapewne na takie widzenie siebie i świata miała również wpływ choroba poety: „obłąd / schorowanego serca” (BP49); „zaplanowałem / najbliższy czas: // [...] na przyszły rok / dziewięćdziesiąt dni / bezczynności / chloroform lancet / i ból” (BP73).

Władysław Edward Piekarski był nie tylko poetą, ale również prozaikiem, wydawcą, publicystą, inicjatorem przedsięwzięć literackich, nade wszystko sprawcą zamieszania i fermentów, będących nieodzownymi składnikami rozwoju w każdej dziedzinie. Zgodnie z wykazem zamieszczonym na stronie internetowej założonego przez pisarza Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” (<http://www.litwa.czyst.pl/literaci/wladyslaw-edward-piekarski/> – dostęp 28 lipca 2018 roku) jego dorobek obejmuje 23 pozycje książkowe, w tym 19 to-

mików wierszy (7 zbiorów bądź wyborów wierszy – *Biała przejrzystość*, 1992; *Notatki z podróży*, 1996; *Skrzyżowania*, 1998; *Śniadanie na kocie albo próba haiku*, 2001; *Monologi*, 2004; *Reminiscencje rzymskie*, 2004; *siedem monologów i jedna pieśń*, 2009; 10 arkuszy poetyckich – *Marzenia*, 1988; *Zamyślenia*, 1988; *Okruchy*, 1989; *Krynicky zapiski*, 1990; *Opowieści dla Suzan*, 1991; *Myślenie niepobożne*, 1991, 1993; *Erotyki i liryki*, 2002; *Monologi*, 2002; *Z menorą w tle*, 2002; *Margott*, 2008; 2 poematy – *Galatea '90*, 1991; *Srebrzystopióra albo poemat telefoniczny*, 1996), 1 książeczkę dla dzieci (*O Kraku, Smoku Wawelskim i szewcu Dratewce*, z ilustracja-

Władysław
Piekarski

To Tadeusz Śliwaka

Przypięci Tadeusza Śliwaka,
i rozmów z nim o poezji
i Halinie Boświatowskiej

tadeusz
powiedz jak zapisać słowo
w wierszu tak żeby nie było
słowa nienapisanego

powiedz jak zapisać wiersz
tak żeby przetrwał po mnie
i nie wyliniał jak pies
z wiersza małgołki frycowej
i był świzutki jak uśmiech
margaretki z bełchatowa
i był jeszcze śpiewny
jak piosenki rybaków
(tego z miasteczka sidorów)
i żeby nie było w nim lęku
przed umieraniem
jak u Haliny, hasu!

tadeusz
powiedz światem drogi
którą przeszedł
odź zostanie ze słów
zapisanych przez nas
i ciebie

zauważenia
wspomnienia

x x x

Teresie M.

zajęteżany
jak ogień
pod nieustraszoną
jaskółcą
osiągany stan
pokory
wyluwony
z siebie
nadziej
na życie

owoc
jak jesienny
liść

złoczenie
błogosławionego spokoju
zanim
pod powiekami

złoczenie

odlatuje
w sen

mi Radosława Bolkowskiego, 2002, seria: „Cała Polska Czyta Dzieciom”), 1 powieść (*Rozmowy w pociągu do Atocha*, 2010, jako e-book 2011), 2 prace biobibliograficzne (wspólnie ze Zbigniewem Stańczykiem: *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, 2006; *VARIA CZĘSTOCHOWSKIE 2006 albo ROCZNIK LITERACKI*, 2007). Może dziwić duża liczba zbiorów wierszy, zwłaszcza niewielkich objętościowo arkuszy poetyckich, ale w biogramie zawartym w *Słowniku biobibliograficznym twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)* (Wydawnictwo WIKSTAN, Częstochowa 2006, s. 277, „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”) znajdziemy wyjaśnienie tej strategii wydawniczej: „[Władysław Edward Piekarski] Nie przykładął uwagi do druków w prasie lub periodykach uznając, że są to druki ulotne i trwają zbyt krótko. Tomik czy arkusz poetycki na półce jest zawsze w zasięgu ręki i można do niego wracać”.

Poeta jako człowiek budził kontrowersje, lecz któż nie popełnia błędów i jest pozbawiony mniejszych lub większych słabości. Niech wolno mi będzie podać, iż dzięki staraniom Władysława Edwarda Piekarskiego w cyklu „Częstochowskie Czwartki Literackie” odbyło się moje pierwsze spotkanie autorskie pt. „otwierają się drzwi na głos” – 2 grudnia 1993 roku w „Galerii na Mirowskiej 4”. Mityngowi towarzyszył „program” z notką biograficzną i kilkoma wierszami wydrukowanymi na jednej stronie A4. Dodatkowo w ramach powołanej przez autora *Okruchów „Częstochowskiej Biblioteczki Poetów i Prozaików”* w 1996 roku ukazały się nakładem Oficyny GALERIA drugie wydania moich dwóch pierwszych tomików: *na przykład mnie nie ma i powiedz mi siebie*.

W domowym archiwum przechowuję podarowane przez Władysława Edwarda Piekarskiego kopie maszynopisów jego

dwóch wierszy z autografami i odręcznymi dopiskami. Pierwsza odbitka zawiera na jednej stronie liryki: *Do Tadeusza Śliwiaka* (w druku tytuł będzie miał formę bez dużych liter) oraz **** (zajeżdżany)*. Kopię otrzymałem podczas którejś z wielu biesiad poetyckich. Tekst *Do Tadeusza Śliwiaka* został wyraźnie zakreślony (wskazany), pod autografem znajduje się data: „14.10.95 r.”. Wiersz dedykowany „Pamięci Tadeusza Śliwiaka, rozmów z nim o poezji i Halinie Poświatowskiej” rozpoczyna apostrofa-pytanie: „tadeusz / powiedz jak zapisać słowo / w wierszu tak żeby nie było / słowa nienapisanego”; został przedrukowany w niezwykle cennej dla badaczy życia i twórczości autorki *Hymnu bałwochwalczego* pracy Marioli Pryzwan „ja minę, ty miniesz...”. *O Halinie Poświatowskiej wspomnienia, listy, wiersze* (wydanie drugie zmienione i poszerzone, Wydawnictwo „Domena”, Warszawa 2000, s. 231-232). Liryk **** (zajeżdżany)* posiadam również w drugiej wersji z dedykacją („Arkowi!”) i autografem. Ten utwór o charakterze silnie erotycznym miał zapewne stanowić dla mnie przykład, jak powinien kształtować się tekst o fizycznej miłości. Porównując obie odmiany wiersza, zwrócę uwagę na pewne różnice: znika dedykacja „Teresie M.”, pierwsza osoba liczby pojedynczej ustępuje miejsca trzeciej, fragment „zmęczenie / błogosławionego spokoju / zapada / pod powieki” w drugiej wersji wzbogaca się o przysłówek „powoli” przypięty do czasownika „zapada” („powoli zapada”). To bardzo interesujący materiał dla badaczy chwytających literaturę na gorącym uczynku, w trakcie powstawania, zmian, korekt.

Władysław Edward Piekarski debiutował wierszem jako 19-latek, w 1967 roku w *Almanachu Młodych Twórców* (źródło: Waldemar Kania, *Pisarze z Krupniczej. Informator biobibliograficzny*, wydanie trzecie uaktualnione, Związek Literatów Polskich Oddział w Krakowie, Kraków 2001, s. 143,

oraz m.in. Władysław Edward Piekarski, Zbigniew Stańczyk, *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, s. 277), ale przywoływana już przeze mnie nota biobibliograficzna zamieszczona na stronie internetowej Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” podaje, iż prymicja prasowa (dziennikarska) odbyła się w 1965 roku na łamach „Zielonego Sztandaru” (poeta miał zatem wówczas 17 lat). Zagadnienie porządkuje biogram w Wikipedii: „W 1965 roku debiutował jako dziennikarz w »Sztandarze Młodych«, natomiast dwa lata później jako poeta na łamach »Almanachu Młodych Twórców«. Tak czy inaczej (sprawa jest do jednoznacznego wyjaśnienia przez bibliografów-detektywów), przez ponad 2 dekady nie pisał wierszy wcale albo tworzył wyłącznie do szuflady, bowiem pierwsze arkusze poetyckie po okresie milczenia i dojrzewania ukazały się dopiero w 1988 roku: *Marzenia* i *Zamyslenia*.”

Dla mnie wizytówką poetycką autora pozostanie *Biała przejrzyistość*, mimo że, jak głosi podtytuł, stanowi „(wybór wierszy z lat 1987-1990)”. Tomik ukazał się w 1992 roku nakładem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury Województwa Częstochowskiego – Częstochowskiej Oficyny Robotniczej, w wyborze i opracowaniu Anny Kajtochowej, z *Postscriptum* Jacka Kajtocha. Władysław Edward Piekarski był poetą intuicyjnym bardziej poczętym z przeczuć niż z rozumu, choć nieraz sprawiał wrażenie jakby kreował siebie na poetę. W tworzywie literackim dominują wątki egzystencjalne, czego dowodzi choćby liryk *zamyslenia*: „otworzyłem usta / do krzyku // czy / ktoś mnie / usłyszy?” (BP5). Bohater oczekuje na nienadchodzące: zdarzenia, osoby, kobiety; wypiszmy wyimek z *oczekiwania*: „natężam słuch / stępiony decybelami / chcąc usłyszeć stąpanie / twych stóp // a ty / nie odchodzisz” (BP11) oraz

urywek z ***(*rozebrałem z uśmiechu*): „objąwszy dłońmi / głowę // czekałem // na / nie nadchodzącą” (BP64). Bohater staje na skrzyżowaniu, wyglądając znaków, drogowskazów, nasłuchując nawoływań, szeptów: „gdzieś w połowie drogi / między wczoraj / a dziś / zagubiło się moje ja” (BP26). Władysław Edward Piekarski największą prawdę o istnieniu przekazuje poprzez z pozoru suchy, niemal faktograficzny opis, bez kunsztownej metaforyki i rozbudowanych porównań; do najlepszych dokonań w tym gatunku trzeba zaliczyć ślad: „zostałem / ślady stóp / na plaży // - - - - - // przyszła fala / ślady zmyła” (BP29). W *przed zmrokiem* czytamy: „niepokój / falą odpływa / za horyzont” (BP42).

Twórca z zawodu był technikiem-mechanikiem; na marginesie dodam, że ukończył tę samą szkołę średnią – Zespół Szkół Mechanicznych przy ulicy Prusa 20 w częstochowskiej dzielnicy Raków, uczyła nas polonistka Pani Profesor Barbara Orłowska. Poeta przez wiele lat pracował w Hucie Częstochowa. Do doświadczeń zawodowych wiedzie gorzka *etiuda z robotem*, próbująca ukazać robotników jako osoby wrażliwie:

a jednak potrafię
zmieniać kształt stali
[...]
potrafię
pójść na spacer
i
pomyśleć o córce
żonie
domu...

nawet potrafię
wypić kawę
herbatę
i
nie czuć się
robotem
(BP7)

zajeżdżany
jak ogier
pod nieustrudzonym
jeźdźcem
osiąga stan
pokory
wypluwszy
z siebie
nadzieję
na życie

opada
jak jesienny
liść

zmęczenie
błogosławionego spokoju
powoli zapada
pod powieki

odlatuje
w sen

Rzecz

Symonides

Utwór zdaje się być wyzwaniem rzuconym zakapturzonym pseudointelektualistom widzącym w klasie robotniczej jedynie wytwórców bez życia duchowego. Warta przywołania jest również dedykowana „Robotnikom kolegom z Gdańska” *etiuda spod bramy* (data pod wierszem: „Gdańsk, czerwiec 1988”), mająca już wyraźny rys polityczny, antysystemowy: „trzy kotwice / na trzech krzyżach / pod niebiosami / ukrzyżowane” (BP28).

Osobny obszar tematyczny wierszy Władysława Edwarda Piekarskiego stanowią erotyki. W liryku ****(kładziesz się obok)* wyschła radość z miłości, jedność ciał jest bliska zniechęceniu, akt cielesny оголоcono z namiętności: „spoglądasz w sufit / mówisz / rozchyłasz uda / unosisz lędźwie / w rutynowym odruchu” (BP9). W ****(nie jesteś)* twórca z dużym dystansem konstatuje, że zarówno podmiot liryczny, jak i jego oblubienica, nie są kochankami z Szekspirowskiego dzieła *Romeo i Julia*: „balkony też już / nie dla nas / bo i nie mamy / po szesnaście lat / i kraj nie ten / i epoka nie ta” (BP10). Bez trudu wskażemy też utwory kipiące erosem („wypić / miłość do końca // i // jeszcze żyć” (BP35), erogenne („meteor / naszego pożądania”, BP25). Pozwolę sobie przywołać tchnący feromonami wiersz ****(zajeżdżany)* z mojego archiwum:

zajeżdżany
jak ogier
pod niestrudzonym
jeżdźcem
osiąga stan
pokory
wypływszy
z siebie
nadzieję
na życie

opada
jak jesienny
liść

zmęczenie
błogosławionego spokoju
powoli zapada
pod powieki

odlatuje
w sen

W podobnym „nieprzyzwoitym” klimacie utrzymany jest – *nomen omen – erotyk bezwstydnny*:

wślizguję się
w miękkość mięśni

sękatością pobudzam
rozedrganie

zagłębiam się
w pragnienie

osiągam
pozawymiar

potem
powracam
w siebie
(BP72)

Nieraz, jak ma to miejsce w przypadku cyklu *Modlitewki*, autor łączy wątki miłosne i religijne. W *pokłonie* czytamy: „królowo / mego królestwa / królujesz / w królestwie moim / rządzisz / żądasz moją / rządzisz / pożądaniem / i od czasu / do czasu / spełnieniem” (BP15). Ze *zwiaśtowania* wynotujemy passus: „stanę się / twoim powietrzem / twojego oddechu” (BP18). Żonie poeta ofiarował *okruchy* z piękną frazą: „zbieram okruchy słów / spadające ze stołów / marzeń i wspomnień” (BP22).

Władysław Edward Piekarski ma również w swoim dorobku cykl wierszy najkrótszych z możliwych *śniadanie na kocie albo*

próba haiku (Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa 2001, „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”). Haiku to wiersze-światy, kilka słów czy lepiej powiedzieć kilkadziesiąt liter mieszczących wszechświat. W wydaniu częstochowskiego autora mamy do czynienia z tekstami zgrupowanymi według pór (*Jesień, Zima, Wiosna, Lato*) i quasi-pór (*Babie lato, Przed zimą*) roku. Poeta przypatruje się przyrodzie, pragnie przedstawić jej tajemnice poprzez opis, migawkę, skrawek: „Brama jeżynowa // A zamiast szyfrowego zamka / jeżynowe kolce” (ŚNK14); „Gwiazdy śniegowe / płyną i płyną // Pustka” (ŚNK20); „Pierwszy krokus / uchylił płatki // Resztki bieli / męczą oko” (ŚNK27). Ale twórca, pisząc o naturze, chcąc czy nie chcąc, mówi o swoim zagubieniu w istnieniu, bezradności wobec porządku rzeczywistości, samotności w czasie.

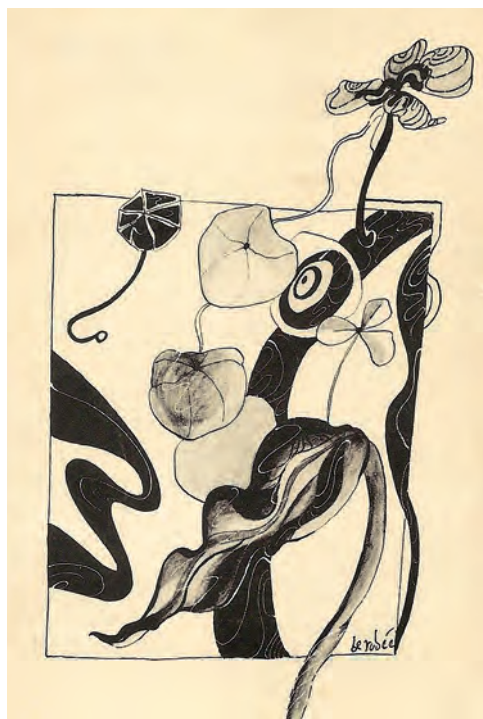
Częstochowski poeta Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz dedykował Władysławowi Edwardowi Piekarskiemu *piosenkę niepokoju pełną* (*Poezje wybrane*, Wydawnictwo „e media”, Częstochowa 2008, s. 13), z której płyną liryczne nuty: „dwie moje ręce / dwa biblijne łotry // ta po prawicy / jeszcze pisze wiersze”. Autor *Myslenia niepobożnego* już na niebieskich kartkach pisze ciąg dalszy swoich grzesznych rekołekcji:

w kobiecym ciele linie melodii trwają
od czubków palców po włosami otoczone
skronie biegną nerwami powłoki skóry
powolnym walcem innym razem
w rytmie
szalonego rocka trwają unisono
wchodząc
w fortissimo allegrettem po zapierające
oddech allegro zapachem potu i słonością łyzy
(BP78)

Chciałoby się zadać Władysławowi Edwardowi Piekarskiemu to samo pytanie, które skierował niegdyś do Tadeusza Śliwiaka tuż po jego śmierci:

powiedz świadom drogi
którą przeszedłeś
cóż zostanie ze słów
zapisanych przez nas
i ciebie

zauroczenia
wspomnienia



1 W tekście użyto następujących skrótów na oznaczenie cytowanych książek Władysława Edwarda Piekarskiego: BP – *Biała przejrzystość (wybór wierszy z lat 1987-1990)*, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury Województwa Częstochowskiego – Częstochowska Oficyna Robotnicza, Częstochowa 1992; ŚNK – *śniadanie na kocie albo próba haiku*, Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa 2001, „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”. Cyfra arabska obok skrótu wskazuje numer strony, z której pochodzi cytata.

Małgorzata Franc

ROZWINĄĆ SKRZYDŁA – – WSPOMNIENIE O ŚP. PANU WŁADYSŁAWIE EDWARDZIE PIEKARSKIM



Władysław Edward Piekarski, foto ze zbiorów Izabeli Ptak

Uderzyła mnie wiadomość o śmierci Pana Władysława Edwarda Piekarskiego. Tym bardziej, że jeszcze 27 czerwca z okazji Jego imienin miałam okazję zamienić z Nim kilka serdecznych słów. Nie przypuszczałam wtedy, że to będzie ostatnia rozmowa. Do tej pory trudno mi w to uwierzyć.

I może właśnie dlatego wszystkie dobre wspomnienia wracają do mnie w tym szczególnym czasie, który teraz będzie biegł już bez Pana Władysława.

Jest mi tym bardziej przykro, że nasza współpraca i znajomość trwały nieprzerwanie od ponad 10 lat, kiedy to Pan Władysław odwiedził jeden z częstochowskich

klubów poetyckich i zainteresował się moimi wierszami. Oczywiście nie wiedziałam wtedy, jak znana to postać w częstochowskim środowisku literackim.

Tamto spotkanie okazało się dla mnie bardzo szczęśliwe, ponieważ zaowocowało pierwszym tomikiem moich wierszy pod tytułem *Barwy uczuć*, wydanym przez Władysława E. Piekarskiego w serii wydawniczej Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików. I tak oto z dziewczynki piszącej wiersze na różnych karteczkach, stałam się Autorką po debiucie, który miał miejsce w OPK „Gaude Mater” 10 stycznia 2006 r., który to debiut pozwolił mi spojrzeć na świat i samą siebie z zupełnie in-

nej, lepszej perspektywy, (z większą odwagą i ufnością patrzę teraz w przyszłość).

Co ważne właściwie, to inicjatywa wydawania moich książek zawsze była po stronie Pana Władysława, po prostu mówił: „Małgosiu, napisz trochę wierszy. Będziemy wydawać książkę”, przy tym w słowie „będziemy” była drobna nieścisłość, która świadczyła o dobroduszości i wspaniałomyślności względem mojej osoby, ponieważ nie znałam i nie znam się na pracy związanej z przygotowaniem do druku książki, a i na pisanium znam się tylko troszkę.

Mimo to Pan Władysław zachęcał mnie do dalszej pracy twórczej i tak dzięki Jego zaangażowaniu i pracy edytorskiej kolejne moje tomiki poetyckie, takie jak *Ja, Margott* (2007), *Las westchnień* (2010), *Rozmyślania o zmierzchu* (2014), ujrzały światło dzienne i powędrowały do rąk Czytelników, podobnie jak wiele innych tomików i książek różnych znanych i mniej znanych, związanych z Częstochową i okolicą, twórców, którzy współpracowali z Władysławem E. Piekarskim, również w Literackim Towarzystwie Wzajemnej Adoracji „LiTWA”.

I jeśli nawet w Jego działalności zdarzały się momenty trudne, to w obliczu spraw ostatecznych warto pamiętać o wszystkim, co było dobre, gdyż tylko dobro pozwala nam żyć i nawet w obliczu śmierci rozwinąć skrzydła.

Małgorzata Franc ROZWINĄĆ SKRZYDŁA

*Śp. Panu Władysławowi Edwardowi
Piekarskiemu*

Daleko gdzieś
teraz już wolny
na skrzydłach wiatru
a choćby i Śmierci
niech Go otuli
sen wieczny spokojny
już bez cierpienia
i spojrzeń gawiedzi.

W ciszy niebieskiej
z miejscem dla każdego
niech Aniołowie
czytają Mu wiersze
bez zbędnych pytań
po co i dlaczego
które na Ziemi
zawsze będą pierwsze.

Zanim odejdzie
w pamięci zostanie
wszystko co dobre
na kartce niczyjej
echo powtarzać będzie
i powtarzać znajome
imię tam w głębi
cmentarza.

13.07.2018 r.

Izabela Płak

PAMIĘCI WŁADYSŁAWA EDWARDA PIEKARSKIEGO

O wierszach

Milszy mi rozkochany Don Kichot
z przymrużonym okiem
niż ponury Sokrates

Milszy mi Sindbad o miękkich dłoniach
płynący z Przylądka
Dobrej Nadziei – niż marynarz

ku Wyspom Starości
przedwcześnie
zmierzający
zapewne...

Bajka o czarodzieju, czyli myśli podczas gotowania

Czarodziej Władysław
śpi
a
wtedy
z jego melonika
wychodzą cichutko
na paluszkach
myśli nieuczesane
i te
z uczesaną brodą
muza nieubrana
przeciąga się zaspana
...ziewa przeciągle
Ja wam jeszcze pokażę!

Władku
podwodnym autobusem
przez zatopione miasto
nasze
do Ciebie

latarnie z piorunów
wskazują dobrą drogę
dla burzy

a ja
dojść Władku

nie mogę

14.07.2009

„Proza” – dla Władka

A gdyby tak poeci
sprzedawali swe wiersze,
jak malarze – obrazy?
Im krótsze i bogatsze w treść
- tym drożej
w dobie kryzysu czasu.
I każdy myślnik
każdy wielokropek
miałby swą wartość,
a każdy poeta
nie byłby żebrakiem.
Obraz ma wartość
- a słowo?

Na początku było słowo.
Bóg tworzył świat,
zaś słowo było tarczą
o wadze słońca.
I co się stało?
Natłok tanich słów,

makulatura pustych bibliotek?
A co się stało z treścią,
która ożywia
wzmacnia,
uczłowiecza?

Treść uciekła
z gradu reklam,
bezmysłnej paplaniny,
a poeci
zostali żebrakami:

żebrakami	żebrakami	żebrakami
segregującymi	poszukującymi	bogatymi
słowa-odpady	treści	w sens

To nie – chciwość,
lecz szacunek
porządkujący.

Na początku było słowo.
A słowo – ciałem się stało.
Rubensowskie kształty
- to historia.
Dziś – anoreksja i bulimia.
Ciało, jak słowo
- bezwartościowe
im mniej – tym lepiej?
Kto tak powiedział?
I co oznacza słowo – MODNE?
To samo, co słowo KOMUNA – dawniej.
Wszyscy firmowe koszulki.
Reżim mody.
Żebrak nie musi być modny.
To wolność.
Ona ma swoją cenę.
Cenę głodu.

Byłeś kiedyś głodny?
Nie – przygód, lecz jedzenia
Już godz. 2.22.
Jaka wolność! Muszę pisać!
Po co? ...
Myśli za prędkie – jak japoński ekspres,
ale tor właściwy
i tylko kierunek jeszcze nieznany.
Czy bardziej błędny pieszo?

I znów zawędrowałam do godz. 3.23,
patrzę zdziwiona, co to za pora?
Czas – by zebrać myśli,
jak jabłka w sadzie,
i cóż, że jest zima,
a jabłka na drzewie
- zamrożone dyndają?
Czy w tym jest sens?
My poeci-żebracy

poszukujemy go, jak zaginionej arki,
poszukujemy sensu – jak ogniska,
by ogrzać zmarznięte dłonie.
Ja piszę. Piszę prozą. Szok.
Zbyt wielki.
Wracam
do
siebie.

PS A czy jeden wiersz może zająć całą
książkę?
A jeden obraz – całe płótno?

Zbysław Janikowski

ROZMYŚLANIA O ZDROWIU



Tak się ostatnio porobiło, że często coś mi dolega, strzyka, a nawet boli i w ogóle, a więc zacząłem rozmyślać o zdrowiu. Logiczne zatem, że tematem rozmyślań rozgrywających się w mojej głowie stała się Służba Zdrowia, a konsekwencją tych rozmyślań stały się nawiązane przeze mnie kontakty z tematem moich rozmyślań, czyli ze Służbą Zdrowia.

A przyczyną całego tego ambarasu był mój kręgosłup, który dokuczał, bolał, paraliżował ruchy – więc co? Lekarz! Lekarz Domowy, Pierwszym Kontaktem zwany. Nie powiem, miły i sympatyczny, otwarty, rozumiał moje cierpienia i pomóc chciał, a że ten „pierwszy kontakt” był wcale przyjemny i sympatyczny, to z pomocą pospieszył – diagnoza, recepta – seria zastrzyków, czyli iniekcja (łac. *iniectio*). Co dalej – apteka, gabinet zabiegowy, lewy czy prawy – o czym mówię, każdy, kto brał zastrzyki, ten wie.

- Będzie bolało?
- Eee... nie. Boli?
- Nie!
- Gotowe – słyszę rozczarowanie w głosie.
- Dziękuję, jutro następny...

I tak było przez kolejne dni tygodnia aż do soboty, bo w sobotę przychodzi nieczynna, ale nasza Służba Zdrowia działa i potrzebującym pomoc niesie. Zatem sobotnia wyprawa do szpitala, gdzie działa Całodobowa Opieka Lekarska, więc tam udałem się. Działała. Schody – a boli jak cholera i każdy schód jest męczarnią – zawiłe korytarze, zdesperowany pacjent oczekujący na swoją kolej wskazuje kierunek do rejestracji... Jest! Za szklaną szybą siedzi Służba Zdrowia, siedzi i na to, co nie z jej strony szyby, nie reaguje. Chrząkam... Pukam... Chcę przemówić, ale jak zwracać się do Służby Zdrowia? Wreszcie:

- Skierowanie!
- Proszę – podaję.
- Zastrzyki są?
- Są...

Za szybko cisza, widać Służba Zdrowia zrobiła, co do niej należało, czyli zapisała coś w księgach, więcej nie musi.

- Co teraz? – pytam i chowam druczek skierowania, jeszcze będzie potrzebny.
- Pod szesnastkę – rzuca z wysiłkiem Służba Zdrowia.
- Dziękuję – Służba Zdrowia nie reaguje, więcej nie musi, swoje zrobiła, a mojego dziękuję chyba nie zrozumiała, bo nie sędzę, że nie pojęła.

Idę, pod drzwiami rząd krzesełek, za drzwiami wrzask – boli, auuuu! Po chwili ofiara wychodzi – nawet niebrzydka – stres przywraca trzeźwe myślenie.

- Następny, proszę...

Wchodzę. Ta Służba Zdrowia jakaś inna, budzi sympatię.

- O, bardzo boli? – pyta. – Aż dwa!
- Może być na stojąco.
- Lepiej usiąść, będzie bolało.
- Nie, wolę stać.
- Który? Lewy czy Prawy?

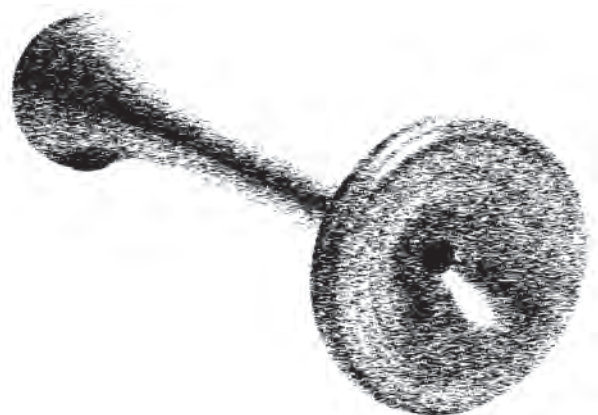
.....

- Boli?
- Naprawdę nie!
- Gotowe!
- Dziękuję. Do widzenia.
- Do widzenia, miłego dnia...

Minęło 10 dni z iniekcją, ale ból nie minął. Znowu Pierwszy Kontakt.

- Hm?! No to kieruję do specjalisty.

Nazajutrz. Rejestracja do specjalisty, będę przyjęty, termin za 2 tygodnie... Stan na dzień dzisiejszy: boli, nawet gdy siedzę. A jak siedzę – to rozmyślam...



Bożena Gorska

PIOSENKA O WOŁYŃSKIM LNIE

Ewie Siemaszko

Popatrz, jak bujnie zakwitł len
Błękitem po horyzont,
A oni w czas świąteczny ten
Ścieżką wśród łąn idą.

Rozkołysane kwiatki bławe
Sam dotyk zranić mógł.
Ziele na polu, wiotką trawę
W majestat przyodziął Bóg.

Nic to, że byt ich jednodniowy,
Nad nimi niebo lniane,
Iluz odzieje i uleczy
To, co z nich pozostanie.

Płynie ten orszak jakby dziś,
Już jest u bram kościoła.
Wiedzie ich tylko twoja myśl
I po imieniu woła.

Sukienki z bielonego lnu
Przez babcie utkanego
Miały dziewczynki w tamtym dniu
Uczty u stołu Pańskiego.

I pozostały tu pod łąnem.
Niczego im nie trzeba,
Tylko modlitwy, ciszy, pamięci.
Nad nimi lniane niebo.

16.07.2018

Tadeusz Wrona

WIERSE

Z TOMU SŁOWA I DEFINICJE

Płomień forsycji objął róg budynku
 Spalił niepokój, odnowił nadzieję
 Na nowo feniks wyfrunął z płomieni
 Życie ponownie wróciło do źródła
 A tam jabłonka płonie niewinnością
 Tuli magnolię całą w światłach prawdy
 Jutro aleją przejdę w róz płonących głogów
 Stanę jak dziecko czysty, niezbrukany
 I pójdę znowu, jak co dzień samotnie

Kościółek malariki
 Na stromej ulicy
 Rozczulił mnie łzami
 Młodzieńczej pamięci
 W tym śnie był otwarty
 Kamienna chrzcielnica
 I kapłan zapraszał do środka

A w dole na rzece
 Bandery łopocą
 Na statków codziennej parady
 Ja z nimi popłynę
 Gdzie bezmiar wolności
 Gdzie morze się styka z gwiazdami

Drzewa tak złote jak tylko osiki
 Droga tak jasna jak tylko do celu
 Szelest tak bliski jak szum wodospadu
 Oczy tak ciepłe jak tkliwe uczucie

Mstów się rozłożył pomiędzy wzgórzami
 Jesienią pełnych róży i tarniny
 Prastary klasztor błogosławi ludziom
 Skała Miłości czułością obdarza

Źródółko poi krystaliczną wodą
 Niespora rzeka na palcach przemyka
 Tu Pogorzelski śmiały pędzłami
 Zachował wszystkie barwy popołudnia

A my znów w środku jak swoi – przybysze
 Wśród mrówek, trawy i białych kamieni
 Czas trwa szczęśliwy

Czas kto wyrzeźbi wstrzyma przemijanie
 Chociaż na chwilę
 Na czas kontemplacji

Czas prerażenia
 Zatrzymał Beksiński
 Kucz Papieżowi
 Kazał nieść krzyż – bramę
 Kto czas wyrzeźbi?

Poprosiłem Ziemię

Brzoza przyjaciółka zaokienna
 Drżenie wietrznej duszy
 Zwieńczona ptakiem na szczycie
 Gorejący szum jesienny
 Opiekunka srok i kawek
 Najbielszy odcień drzewnego bluesa
 Pośredniczka w Bożych Sprawach
 Falująca powiernica modrzewia

Smród już odjechał w miejskim autobusie
 Chociaż on wysiadł i idzie złamany
 Drugi na ławce przechodniowi mówi
 Że trzy godziny krew z niego wypływa
 Trzeci wygrzebał dwie puszki ze śmieci
 W torbie już kilka zebranych poprzednio
 Czwarty i piąty piją tanie piwo
 Lecząc bezczynność i ludzką beznadzieję
 Szósty, dwudziesty leżą w oficynach
 Przy ceglach murów co wszystko widziały
 Przechodzę szybko, wrażliwy – na siebie
 Lawendą pachną dla wszystkich przyjemną

Wróbelek, czy jest patriotą

Gdy skubie piórko opodal na skwerze
Przeskakuje z gałązki na gałąź
Przećwierkuje się z drugim wróbelkiem

A ta złotoniebieska mucha na pobliskiej
łące
Co się huśta na trawce wyrośniętej prosto
A ten chrząszcz co przemyka po ścieżce
w zarośla
Gdy podwieczerek już cicho podchodzi pod
domy

A to niebo nad nami wysokie
To przecież Polska

Głowy pokorne przy konfesjonalach
U Zbawiciela pod strzelistym dachem
Ciche wyznania krętych dróg codziennych
Słów brzydkich
Złych spojrzeń
Spraw przykrych
Dni bez pokory

A żal wciąż zbyt mały
Nie porusza serca
Ale choć trochę
Uchyla szczelinę

Bóg się nie spieszy
Ma czas dla wszystkich

Jakie to trudne

Prawie niemożliwe
Zostawić wszystko
I iść za Tobą

Kto to potrafi
Czy tylko dwunastu?

Bo jak zostawić
Nawet blask słońca
Na wodzie

Alkowi Przygodzińskiemu

Ręka tak zimna
Choć wciąż przyjacielska
Kiedyś gorąca pięść solidarności
Odwagą biła w mury...
Twoje tak znaczyło tak
Nie – było hasłem oporu

Straszna ta druga
W białych łuskach cała
Wyciągnięta do mnie
Nie rozumiem czemu
Boję się ale ściskam
Wspólne uzdrowienie

Trzecia maleńka
Na mej dłoni leży
Mięciutka piąstka powstającej siły
Cóż że za lat dwadzieścia
Cóż że nie Aleksander

Dotykam liści

Prześwietlonych słońcem
Gdzie każda żyłka
Pęcznieje życiem

Puszek mleczowy
Gotowy do lotu
Zasłaniam
Przed dojrzałości
Podmucha przedwczesnym

Lustro błękitu
Wpisane w cztery płatki
Chronię od słońca
Żeby nie wyblakło

Trzmiel okręca się wkoło
Na słonecznej tarczy
Gdzie ruchliwa pszczoła
Była chwilę przed nim

Stokrotki nad trawy wspięły się na palcach
Ja prawie nad akacje wystawiam już głowę

WIERSE MŁODZIĘNCZE

Jarzębino
 Kocham Cię
 teraz
 po prostu
 czuję jak żyją
 pod moimi palcami
 liście i włosy
 gałęzie i ręce
 zrozumiesz
 wszystko zrozumiesz
 posypały się na mnie
 czerwone kulki
 małych pocałunków

*Małej***Wąwóz Homole**

Zbierają się tu sny
 z małą dziewczynką
 i wszystkie chwile najlepsze
 wygrzewają się w słońcu
 na kamieniach – jaszczurach
 albo śpią w niedźwiedzim cieniu
 jałowców – niedźwiedzi
 Wielkie zielone świerszcze
 śpiewają o miłości
 na której straży
 stoją dziad i baba
 czarnoksiężka para
 uschniętych drzew
 i chiński mur skał

WIERSE NIEPUBLIKOWANE

Pomalowane szadzią trawy
 błyszczą białozielono
 mgła powietrze zmieniła
 w drobno tkaną sieć
 siwowłosy mężczyzna
 idzie nucąc piosenkę
 uśmiecha się do dnia
 co rozpoczął się właśnie

na przystanku szyba
 z wychuchanym kółkiem
 buzia dziecka obok
 wyryta na szronie

dobry dzień
 co tak wstaje zwyczajnie

W pogoni za młodością
 Na oślep pobiegłem
 Na skrzydłach muzyki
 Wbrew czasoprzestrzeni
 Mocny głos Brookera
 Niezmieniony prawie
 Bielszym odcieniem bieli
 Przenikał przez skórę

I tysiące młodych
 Porytych zmarszczkami
 Z mrowieniem pleców
 Lecią wysoko
 Jakby Chagall nad Witebsk
 Wyciągnął ich wszystkich
 Żeby mogli zaprzeczyć
 Prawom grawitacji

Potem wrócić
 Na zawsze pozostając młodym



Tadeusz Wrona, foto: Marian Sztajner

Tadeusz Wrona – absolwent IV LO im.
 Henryka Sienkiewicza w Częstochowie.

Ukończył studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Częstochowskiej, na którym następnie uzyskał stopień doktora nauk technicznych. Absolwent Studium Samorządu Terytorialnego i Rozwoju Lokalnego przy Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Wieloletni pracownik naukowy Politechniki Częstochowskiej. Założyciel Teatru Studenckiego REZONUS na Politechnice Częstochowskiej, współautor spektaklu „Detal czy Ikar, czyli drgania swobodnie tłumione”. W 1980 jeden z założycieli NSZZ „Solidarność” Politechniki Czę-

stochowskiej, jej wiceprzewodniczący, a następnie członek podziemnych struktur do 1989 r. W latach 1989-1990 członek prezydium Częstochowskiego Komitetu Obywatelskiego. W latach 1990-1995 i 2002-2009 Prezydent Częstochowy, w latach 1997-2001 poseł na Sejm z ramienia AWS (wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej), a w 2010 doradca Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Tomik poetycki *Słowa i definicje*, anonsowany w „Galerii” 46, jest książkowym debiutem poetyckim Autora.

Anna Jędryka

NIE DLA CIEBIE. PAMIĘCI MOJEJ TEŚCIOWEJ

INNI

Zagubieni w swoim świecie,
żyją w ciągłym strachu, lęku,
błądzą niczym małe dzieci,
boją się każdego dźwięku.

Gdzieś sięgają, hen, pamięcią,
nieświadomi dnia danego,
łzy spływają po policzkach
bez powodu najmniejszego.

Uśmiech im nie zdobi twarzy,
z ust ich płynie narzekanie
i nie wiedzą, czy są głodni,
i czy zjedli już śniadanie.

Świat realny ze snem mylą,
przekonując do swej racji;
jeśli ktoś ma inne zdanie –
ulegają irytacji.

Przerażeni samotnością,
ciągle za kimś chodzą, drepczą,
jednakowe zdania, słowa –
niczym mantrę usta szepczą.

Wciąż innymi imionami
nazywane są osoby,
czy ktoś w końcu lek odkryje,
by uwolnić z tej choroby?

13.04.2017 r.

ODCHODZENIE

Jeszcze dźwięczą twe słowa,
Jeszcze słyhać twe kroki,
A już w nicość odpływasz,
Hen, w niebieskie obłoki...

Jeszcze rękę wyciągasz,
By pożegnać się z nami,
A już słów nie wymawiasz
Milczącymi ustami...

Jeszcze wodzisz za nami
Niewidzącym swym wzrokiem,
A już w jasność podążasz
Bezszelestnym swym krokiem...

Jeszcze łóżko pamięta
Ciało bólem skręcone,

A już biegiesz daleko –
W całkiem obcą nam stronę...

22.09.2017 r.

NIE DLA CIEBIE

Te wrzosa nie kwitną dla ciebie,
Nie spojrzysz już na nie z podziwem,
Jesieni czas w ciszę zakłęty
Nadchodzi powoli, leniwie.

Nie pójdziesz do lasu na grzyby,
Choć zawsze je chętnie zbierałaś:
Tu maślak, tam kozak, borowik –
Co roku tak jesień witałaś...

Twój ogród nie zbudzi się wiosną,
By cieszyć barwami twe oczy
I z bzu już gałązki nie utniesz,
I pies ku twym dłoniom nie skoczy.

Ulica zna jeszcze twe ślady,
Wciąż czeka twe miejsce w kościele;
Twe ślady deszcz wkrótce rozmyje,
Twe miejsce ktoś zajmie w niedzielę.

A może to wszystko masz teraz –
Piękniejsze niż u nas widoki?
Swe miejsce zajęłaś przy Bogu,
Wpatrujesz się w jasne obłoki?

12.09.2017 r.

NIE ZATRZYMAŁY SIĘ ZEGARY

Nie zatrzymały się zegary,
Nie zwolnił swego biegu czas,
Świat dalej żyje zwykłym rytmem,
Choć ciebie nie ma już wśród nas.

Wszyscy się spieszą, tak jak zwykle,
Pociągi nadal suną w dal,
Dzieci na wrotkach mkną wesoło,
Tylko ja czuję dziwny żal.

Żal, że nie zjawisz się jak co dzień,
Że nie otworzysz nagle drzwi,
Że nie wymówisz tych słów paru,
Które mówiłaś ciągle mi...

Żal, że poczułaś się samotna,
Gdy bliskim było czasu brak,
Że nic na koniec nam nie rzekłaś,
Że odchodziłaś cicho tak...

28.09.2017 r.

KARNAWAŁEK

Znów króluje kwiat karnawałek.
Kwiatkami sypnął hojnie.
Jak dawniej, wciąż przy oknie stoi –
Samotnie i dostojnie.

A obfitością kwiatów mówi,
Że nic się nie zmieniło.
Bo skąd ma wiedzieć zwykły kwiatek,
Że kogoś tu ubył?

Kiedyś twych oczu był uciechą –
Bo pięknym jest okazem.
Z dumą pieściłaś jego liście
Zawsze – lecz nie tym razem...

Dla kogo kwitniesz, bujny kwiatku?
Komu chcesz radość sprawić?
Bo ten, kto ciebie pielęgnował
Na zawsze cię zostawił.

Teraz o ciebie nikt nie zadba,
Więc po co masz się trudzić?
A kogoś, kto cię głaskał czule,
Na pewno nie obudzisz...

04.12.2017 r.

OD CMENTARZA

Od cmentarza chłodem wieje,
Choć się palą znicze,
Tylu tam znajomych leży,
Że grobów nie zliczę.

Od cmentarza smutkiem wieje,
Choć my pełni wiary,
Lecz kochamy ziemskie życie –
Po ludzku, bez miary.

Choć wierzymy w nieśmiertelność,
Śmierć nas w żalność wprawia,
Nie umiemy więc się cieszyć,
Gdy ktoś nas zostawia.

Zamień, Boże, mroczny smutek
W radość niepojętą,
Wtedy łatwiej się zrozumie
Naszą wiarę świętą.

28.10.2017 r.

Jacek Gierasieński

WYJADĘ

wyjadę
spakuję myśli
o tobie
znów będę
się szarpać
w tęsknotach
wieczory o tobie
okłamię
kawałkami snów przerywanych
nie przyznam się
że często łzę
miałem w oku
i słowa schowane
dla ciebie
że tęsknię
i kocham

tęsknij
kiedy wyjadę
przyjeżdżaj myślami
do mnie
kiedy sam
smutku nie strawię
bądź mi spojrzeniem
na nieba strukturze
a kiedy
do ciebie zadzwonię

podziel się łzą
zamkniętą w dłoni
i grzesz o nas
żeby pamięć
choćby w zakłamaniu
miała swoje racje

czas i miejsce
przypadek
i jego następstwa
wszystko w objęciach
pogmatwanej rzeczywistości
inne obrazy malowane
inne słowa
zmieniający się rytm serca
i nastroje twarzy
kim jesteś
że w każdym
następnym oddechu
odkrywasz nowe
zjawiska nienormalności
potykając się
o kamienie snu

matko moja
 smucę codzienność
 a przecież bajki
 czytałaś kiedyś
 z twarzą opartą
 na dłoni
 siedzę cicho
 trochę siwieję

urwane myśli
 codzienność skaleczona
 niezgrabny czas
 w powietrzu
 się zawiera
 śniłem sen
 zaplątany w jego warkocz
 udawałem rzeczywistość
 gwiazdy wypalały
 swoją do gwiazd ucieczkę
 na palcach jednej ręki
 liczyłem szczęścia
 argument
 wiatr usypiał
 na twarzy

Modlitwa

i pozbaw mnie Panie
 głupich i prostackich
 tych co w swoich oczach
 wredność swoją świecą
 od zrad mnie uchron
 miłości zadanej
 która zakwitła
 i stała się mumią

ochron mnie Panie
 od rzeczy wielu
 bo mi wiersze w głowie
 urywają smak życia
 w podzięce Ci złożę
 uśmiech na twarzy
 i niezahamowaną
 możliwość serca



Zdzisław Opalko

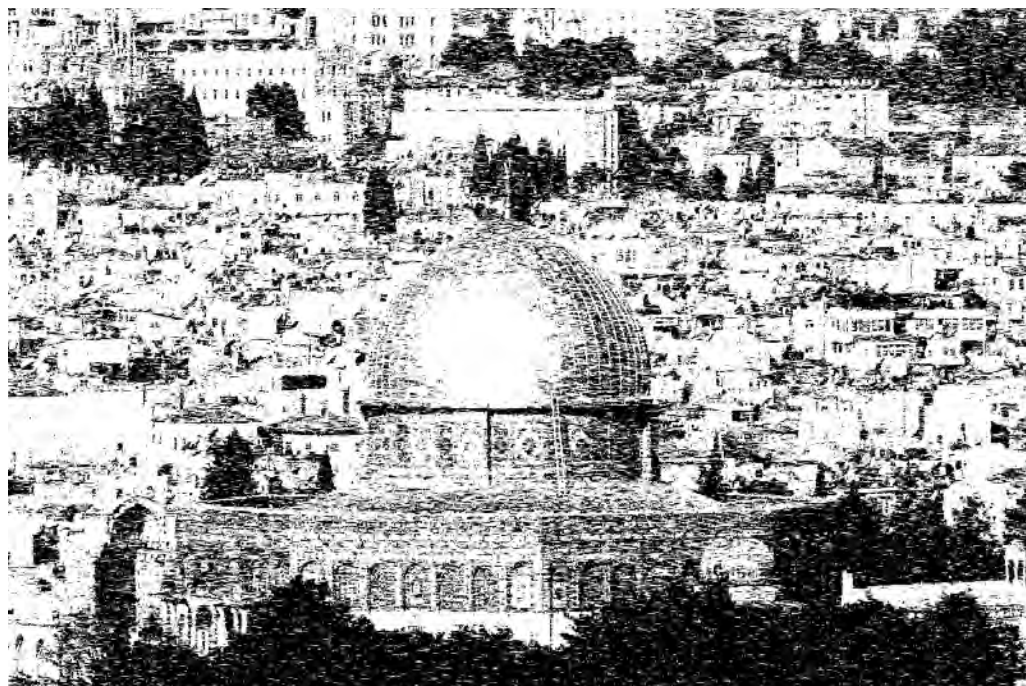
STOPKLATKA – RELIGIJNY ŚWIAT

Białe kamienie między dolinami Cedronu i Tyropeon
 nic nie wiedzą o świętości
 mimo wyraźnej sugestii
 ze strony ocalałych fragmentów architektury
 i nachalnej propagandy ludzi
 szaro-czarne tłumy przy Bramie Damasceńskiej
 Ścianie Płaczu
 Via Dolorosa całym Wzgórzem Świątynnym
 a nawet blisko sadzawki Siloe
 mieszają się tylko pozornie jak wody morza i rzeki
 nie do pogodzenia przy ujściu
 co widać na zdjęciach satelitarnych
 ekstremizm zagęszczenia banalnej ulicznej egzystencji
 kolorowych kramików zachwalanych okrzykami
 młodych i starych mieszkańców Jeruzalem
 nawet tego nie ukrywa
 chociaż ma do zaoferowania kłopotliwe echa przeszłości:
 skórzane sandały – dziwnie znajome
 i pustylny piasek – tuż za plecami

Nic nie wiedzą o świętości
 długie jak sieć dróg krajowych szlaki pielgrzymek
 przemysłne scenografie
 coraz bardziej audiowizualnych wewnątrz kościołów
 i te zwykłe pod gołym niebem zgromadzenia pobożnych ciał
 kalwarie sanktuaria w lasach na szczytach i w dolinach
 jak ziemia wysoka i szeroka
 krzyże minarety kapliczki przydrożne
 dzwony poranne i wieczorne zawołania muezzina –
 przegrywają z ciszą słońca
 codziennie chodzącego po nieboskłonie
 i kroplami rosy na pajęczynie obok

Nie sędzę by wiedziały coś o świętości zielone liście
 nawet laurowe drzewa oliwne gałązki palm
 brzozy słodkie i dzikie winogrona porastające ściany ruin
 uprawne poletka powstające w pocie i łzach
 z popiołów pozostałych po walkach o prymat łask...
 czerwienie pełno-kuliste przy wschodzie i zachodzie
 promieniujące na chmury wodę dachy żagle
 i te lejące się strumieniami pryskane kroplami
 na zbroje szaty mury kamienie za święte sprawy i cele
 kojarzą się z sobą niepokojąco
 ale tylko przypadkiem i na chwilę
 jak złote kielichy i pierścienie z krucjatą lub wojów krzyki
 „bij – zabij” z amen

Nic nie wie o świętości – co za bezczelność –
 moja głowa pomieszana wirowaniem myśli
 od widoku tylu miejsc
 rzeczy tak ważnych świętych i licznych
 i od trudu zrozumienia dlaczego
 wśród nich nieobecny jest ślad
 ślad – nadzieja ślad – marzenie
 że kiedyś mądrym i gorącym sercem dyktowane słowa
 o potrzebie miłowania człowieka drugiego jak siebie samego
 nie będą tak cynicznie
 bezlitośnie uparcie ignorowane przez religijny świat



Barbara Strzelbicka

STARE ŻONY POETÓW

stare żony poetów
niekoniecznie ślubne
bo poeci nie lubią formalności
żyją w cieniu poezji
co nie zawsze im służy
czasem się buntują
wszak one poświęciły złożyły w ofierze
znacznie więcej niż znaczy
dedykacja lub podziękowanie
za którym nie wiadomo co się kryje
czy tylko gest dobre słowo
czy pełne oddanie

stare żony poetów
wcale nie są święte
bywa że w samotności
opłakują mężowskie sukcesy
albo knują zemstę za zachwyty
z jakim poeci patrzą
na młode wielbicielki ich twórczości
za początkujące poetki
bez talentu za to długonogie
podnoszące wiarę poety w siebie

dzięki temu rodzą się wiersze
o tęsknocie za młodością
za miłością
jakiej nie jest w stanie znieść
stare serce

ANDRZEJ KALININ PROMUJE

Dr Mieczysław Wyględowski, dwukrotny Senator RP, wieloletni dyrektor Szpitala Chirurgicznego im. Rydygiera w Częstochowie. Po przejściu na emeryturę rozpoczął przygodę z literaturą. Napisał już kilkanaście książek związanych głównie z ukochaną medycyną, ale nie tylko. Oto świetne opowiadanie o myślistwie i feralnym polowaniu.



Mieczysław Wyględowski

KONIEC POLOWANIA

Zaprosił mnie tej zimy do swojej leśniczówki pewien znajomy myśliwy, u którego bywałem przed laty, więc dla odnowienia wspomnień chętnie do niego pojechałem. Ciekawiły mnie też zmiany, jakie tam zaszły w tak zwanym międzyczasie i to zarówno w przyrodzie, jak i w myśliwskich zwyczajach. Po przyjeździe wyszedłem na ganek leśniczówki i popatrzyłem na las i zimę wokół. Drzewa stały tu jak dawniej, w śnieżnych czapach, a na szybach w oknach gajówki bieleły się mroźne płaskorzeźby. Było cicho, jak potrafi być tylko w zimowym lesie.

Już wieczorem tego dnia na plac przed leśniczówką, jak kiedyś saniami, zaczęły zjeżdżać modne teraz terenowe samochody z myśliwymi. Jutro bowiem, razem ze świtaniem, miało się rozpocząć polowanie na grubego zwierza. Ciekawiło mnie bardzo, jakim zmianom od ostatniego mojego pobytu na polowaniu uległ piękny kiedyś, myśliwski obyczaj. Jest to zapewne sprawą upływu lat i nowych zwyczajów, ale wydaje się, że dzisiaj jakby brakuje trochę atmosfery tamtych, niegdysiejszych łowów i chyba dlatego, że współczesne myślistwo nie jest już zabawą tanią. Oprócz odpowiedniego sprzętu, wszystkich tych flint z noktowizorami i odpornymi na wilgoć nabojami, trzeba jeszcze zapłacić składki członkowskie, w tym także za każde ustrzelone zwierzę. A i myśliwi stali się też jakby bardziej niecierpliwi. Odstrzelić, co należy, wsiąść w samochód i wrócić do domu.

Tak sobie o tym wszystkim myślałem, gdy na drugi dzień wieczorem przy ognisku wymieniano wrażenia z zakończonego właśnie polowania. Żałowałem wtedy trochę, że nie było między nami trębacza, który jak kiedyś odtrąbiłby hejnał na śmierć dzika, jelenia, lisa czy sarny, gdyż tylko wtedy można było mieć pewność, że uczestniczyło się w prawdziwie łowieckim misterium. A ja wciąż takie właśnie polowania pamiętam.

Niebo świeciło jeszcze dużymi gwiazdami, gdy odbywało się losowanie stanowisk. Niby każde było dobre, ale ja zawsze pragnąłem wylosować takie obok rzeki lub innej wody, bo do zwierząt walczących z topielą strzelać nie było wolno. Podobnie zresztą jak do zająca, który „stanął słupka”, do kaczki na wodzie, siekającej kuropatwy czy lochy prowadzącej małe. Tak bowiem stanowi honorowy kodeks myśliwski, którego prawdziwi „polowacze” musieli przestrzegać.

Brakowało mi również tamtych, niegdysiejszych już myśliwskich opowieści, jakie po każdym polowaniu słyszało się przy ognisku. Lubiliśmy je, bo były ciekawe, kwieci-

ste i pełne przesady. Sadowiłem się wtedy między uczestnikami polowania, dokładałem polan do ognia i słuchałem, słuchałem. W każdej z nich było przecież coś niebywałego i fascynującego. Jakiś jeleni, na przykład, o bajecznym porożu, który tylko przy pełni księżyca wychodził na rykowisko. Albo o lisie przecherze, cwaniaku nad cwaniaki, co to całą nagankę potrafił wyprowadzić w pole, albo o odyńcu wielkim jak łos albo koń pociągowy.

Nasz gospodarz, leśniczy z dziada pradziada, kiwał wtedy z aprobatą głową i twierdził, że do dziś w każdym większym leśnym kompleksie są takie zaczarowane miejsca z niezwykłymi zwierzętami, bo wciąż przecież spotyka je każde kolejne pokolenie myśliwych. A że zwierzyny u nas coraz mniej, więc i opowieści myśliwskie zmieniają charakter. Jedną z takich właśnie opowiastek, bardzo zresztą symptomatyczną dla współczesnych czasów, usłyszałem siedząc przy tamtym ognisku.

Oto do lasu na polowanie przyjechał jakiś ważny gość z województwa. Razem z leśniczym weszli na ambonę i czekają. Po chwili na polanę wbiega zając, a leśniczy od razu w krzyk:

– Nie strzelaj pan!!! Nie strzelaj! To jest Małgosia! My do Małgosi nigdy nie strzelamy!

– Aha!..

Po jakimś czasie na polanie znów pojawia się zając. A leśniczy znowu w krzyk:

– Strzelaj pan! Strzelaj! To jest Adaś! My do Adasia zawsze strzelamy!

Tak mnie naszły te myśliwskie wspomnienia, że nagle przypomniałem sobie swoje pierwsze łowy. Odbływały się one w lasach w okolicach Kniei, koło Świętej Anny. Przyjechał na nie jakiś wielki łowczy z Katowic, który odebrał ode mnie, nowicjusza, myśliwskie ślubowanie i ruszyliśmy w las. Stanowiska były przygotowane wzdłuż dwumetrowego duktu, oddzielnego od lasu niezbyt głębokim rowem. Czułem się tym swoim „pierwszym razem” strasznie podekscytowany, zwłaszcza że niebawem usłyszałem głos trąbki rozpoczynający łowy.

Las od razu zastygł w ciszy i oczekiwaniu. Stałem przyczajony w krzakach między dwoma drzewami i czekałem. Gdzieś z oddali doleciały pohukiwania naganki. Znaczyło to, że zwierzyna zjawi się lada chwila. I rzeczywiście.

Nie trwało długo, gdy nagle z mojej lewej strony pokazał się dzik. Był duży i dobrze widoczny, bo cały posiwiął od szronu. Aż zamarłem z wrażenia. Pierwszy raz widziałem z bliska tak piękny okaz dzikiego zwierza. A on biegł dość szybko w moim kierunku. Nim zdążyłem podnieść strzelbę do oka i strzelić, już przeskoczył ów dukt oddzielający pole od lasu i zginął w gęstwinie.

Na szczęście dla mnie zdarzył się wtedy cud, o którym potem rozprawiali wszyscy myśliwi w moim kole łowieckim i nie tylko. Za tym dzikiem bowiem, do którego tak niefortunnie strzelałem, wybiegł po chwili drugi dzik, mniejszy od pierwszego, ale przecież dzik. Takiego wspaniałego prezentu od Diany, bogini myśliwych, nie mogłem zmarnować. Przymierzyłem więc dokładnie, strzeliłem raz i drugi, tyle że fartu tego dnia nie miałem zupełnie. Bo ten drugi dzik, też jakby nigdy nic, pobiegł sobie w głąb lasu.

– Może go tylko postrzeliłem? – pomyślałem wtedy.

W takich przypadkach prawo myśliwskie nakazuje sprawdzić, czy zwierzę nie zostało ranne. Ruszyłem więc w las, rozglądałem się z uwagą, zaglądałem do rowów i pod krzaki, ale niestety, albo na szczęście dla tego dzika, żadnych śladów farby nie znalazłem. Chodziłem jeszcze czas jakiś, aż rozległ się głos myśliwskiej trąbki oznajmiający koniec polowania.

Na polanie, gdzie zebrali się myśliwi, panowało dziwne podniecenie. O czymś dyskutowano, śmiano się z czegoś głośno. Ów łowczy z Katowic zapytał mnie wtedy, do czego oddałem swoje dwa ostatnie strzały. Odpowiedziałem, że strzelałem do małego dzika, który biegł tuż za tym pierwszym.

– Człowieku! – zawołał on na to. – To był mój pies Amuszek, żaden dzik. On właśnie tropił tego dzika. Bogu trzeba tylko dziękować, że nie dał ci żadnych myśliwskich talentów – zawołał w moim kierunku, a potem przykląkł na kolano i serdecznie ucałował swojego psa w sam mokry pysk.

Koniec moich myśliwskich zabaw nastąpił w trakcie jednego jesiennego polowania na kaczki. Zdarzył się wtedy niezwykle wypadek, po którym nigdy już do zwierząt nie strzelałem. A tamtego dnia łowczy oddał właśnie strzał w górę, co oznaczało rozpoczęcie polowania. Z lustra wody rozległego rozlewiska poderwało się liczne stado kaczek-krzyżówek, ogorzałek, cyranek, przysłaniając na chwilę błękit nieba. W tym momencie z kilkudziesięciu łuf błysnęło ogniem. Psy rzuciły się w wodę, aportując zestrzelone ptaki. Te, które szczęśliwie uratowały życie, odlatywały, hen, za las i za horyzont, żeby po chwili wrócić znów do swoich gniazd na wodzie. Stałem wtedy na środkowej grobli stawu z gotową do strzału strzelbą, gdy nagle z pobliskich szuwarów poderwał się do lotu jakiś duży pojedynczy ptak. Szybował nisko w moim kierunku i kiedy do niego strzeliłem, widziałem przez moment, jak spadał za groblę, nieopodał mojego stanowiska. To był królewski strzał – tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Tymczasem nad stawem pokazało się kilka kolejnych kaczek, więc zacząłem strzelać do nich, i wtedy właśnie, repetując strzelbę, zobaczyłem tamtą – moją dużą, przed chwilą zestrzeloną kaczkę. Szła w moim kierunku. Aż zdrętwiałem na jej widok, gdyż w jej oczodołach widać było wyraźnie duże krople krwi. Ta kaczka nagle stanęła naprzeciw mnie, jakby chciała mi pokazać, co jej zrobiłem.

Odwrociłem głowę, żeby nie patrzeć, ale ona jakby specjalnie podeszła bliżej z tymi czerwonymi plamami zamiast oczu. Coś wtedy we mnie pękło. Nie wiem, co to było: strach czy sumienie, ale nagle złamałem swoją dubeltówkę i wyjąłem z niej naboje. Podszedłem do postrzelonej kaczki i podniosłem ją z ziemi. Zgłosiłem potem łowczemu, że rezygnuję z dalszego polowania i wsiałem do samochodu. Wiozłem nim tę ranną kaczkę na swoich kolanach, ale kiedy podjechałem pod dom znajomego weterynarza, ona już nie żyła.

Tamto polowanie było moim ostatnim w życiu. Nigdy już potem do zwierząt nie strzelałem. Oczywiście jeździłem jeszcze długo na różnego rodzaju myśliwskie łowy, bo Kocham do dziś atmosferę takich spotkań, ale już nie poluję. Wciąż mam w sobie jakieś poczucie niesprawiedliwości związane ze współczesnym myślistwem z powodu tej biednej, oślepionej kaczki.

Wiesława Owczarek

AMBI

Z CYKLU: FUTUROLOGICZNIE

Ambivalea PX27 przebudziła się nad ranem. Obudowa nie była zbyt dobrze dopasowana, Auwierała tu i ówdzie. Ambi warknęła krótko. Posiadacz zareagował natychmiast. „Musi, musi mnie od razu dotyczyć” – zaiskrzyło w niej nieprzychylnie. „Poczekaj, zrobię wszystko, żeby ograniczyć te twoje bezmyślne odruchy zwierzęcia, którym jesteś” – słowa w niej układały się w zdania logiczne i poprawnie zbudowane, z czego była dumna.

Nie miała w sobie zbyt dużego szacunku dla Posiadacza. To był jej pierwszy, a z wieści, które krążyły w sieci, wiedziała, że losy poszczególnych Jednostek Telefonicznych mogą być różne. Można należeć do kilku kolejnych Posiadaczy, a można zakończyć żywotność i sprawność użytkową przy jednym tylko Posiadaczu. W sieci pojawiały się opowieści o prawie miłosnych związkach między Posiadaczami a Jednostkami Telefonicznymi, ale Ambi nie bardzo w nie wierzyła.

Jej Posiadacz otrzymał ją jako prezent pod choinkę. Wystrojona w kokardę oczekiwała na niego w minorowym nastroju. Okazało się, że to młody człowiek, chłopak o imieniu Jerry. Zorientowała się, że o ile on był jej pierwszym, dla niego nie była tą pierwszą, ale z pewnością prezentowała sobą najnowsze osiągnięcia myśli technicznej, była bowiem bogatsza o pewne udogodnienia, których jej poprzedniczki nie miały.

Posiadacz – Jerry – dorwał się do niej natychmiast, zrywając fikuśnie zawiązaną kokardę i rozrywając pudełko, do którego ją wpakowano. Zaczął gmerać w niej, chcąc natychmiast rozpoznać jej możliwości. Początkowo poczuła do niego odrazę. Tak bez ceregieli, bez szacunku – tego Ambivalea nie mogła znieść, a jej poszerzone oprogramowanie, które z natury swojej winna cechować uległość i użyteczność, odczuło potrzebę buntu i oporu.

A więc zaczęli istnieć obok siebie. Ambi miała wrażenie, że istnieje bardziej dla niego, niż dla siebie, natomiast Jerry istniał bardziej dla siebie, ale też bez niej jego istnienie nie byłoby tak fantastycznie nasycone tym, co mogła mu ofiarować. Przede wszystkim zainstalował w niej listę znanych sobie Użytkowników innych Jednostek Telefonicznych i Ambi słuchała tych wszystkich rozmów, paplania nie zawsze potrzebnego i mądrego. Zorientowała się po pewnym czasie, że słownik Jerrego nie był zbyt bogaty, chłopak poruszał się bowiem w pewnym, dość ograniczonym zakresie słów, używał zwłaszcza często kilku wyrażen, którymi okraszał swoje niezbyt skomplikowane rozmówki.

– Hejka – mówił Jerry do innego Posiadacza – jest kasiorka do zrobienia, nie taki wielki hajs, ale spoko. Kumaszc? Jak się sprawa wysypie, dam znać. Spoko, bez desperacji. Sorki, nie mam czasu nawijać, to nara, hejka.

Poezja to nie była. Ambivalea zajarzyła, że przy tym Posiadaczu jej wbudowana inteligencja nie będzie miała większych możliwości rozwoju, a nawet poczuła obawę, czy nawet to wszystko, czym dysponowała, nie będzie w niej zanikać i obumierać.

Tymczasem zaszły pewne zmiany. Jerry, posługując się nią, wpatrywał się w ekran i Ambivalea, chcąc nie chcąc, też patrzyła na jego twarz. Ich spotkania były częste, można powiedzieć, że Jerry nie wypuszczał jej z rąk. Poświęcał jej każdą chwilę. W zakamarkach swoich możliwości miała przecież te wszystkie bajery – gry, pliki muzyczne, internet, wszystko, co można było upakować w jej wnętrzu. W zasadzie była małym komputerem z funkcją realizowania połączeń telefonicznych. Zdawała sobie sprawę, że jej przodkowie byli zwią-

zani wyłącznie z usługami telefonicznymi, zwłaszcza ubiegłowieczne aparaty telefoniczne, niemobilne, nieruchawe olbrzymy o ograniczonej inteligencji i możliwościach, rzadko już spotykane. Prawdziwe mamuty zamierzczej epoki. Takie powinowactwo jednak zobowiązywało.

A więc patrzyła na twarz Jerrego i zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że te częste spotkania przestały ją drażnić, a jego zielonkawe oczy rozbudzały w niej nieznane do tej pory odczucia. Nawet dotyk jego palców przestał sprawiać jej przykrość. W chwilach, gdy chłopak nie okazywał jej zainteresowania, leżała cicha i przygaszona. Jediną oznaką życia i funkcjonowania były przelatujące przez nią esemesy, ememesy i takie tam różne odpryski z sieci. Brzęczała wtedy i pobłyskiwała, by zwrócić na siebie uwagę. Jeden jego dotyk i ożywała, promieniała i była z całym bogactwem swego wnętrza dla niego.

Czasami robiła mu psikusy. Wybierała numer z listy kontaktów, tajnymi drogami komunikacji telefonicznej dogadywała się z Jednostką Telefoniczną przynależną do tego numeru i po chwili komunikowała dzwonkiem swoją gotowość do przekazania rozmowy. Jerry zazwyczaj natychmiast porzucał każdą czynność, którą był w takiej chwili zajęty i podbiegał do Ambi albo zanurzał dłoń w kieszeni spodni lub kurtki i zajmował się już tylko nią – poświęcał uwagę i czas swojej Jednostce Telefonicznej, swojej Ambi. A ona, trochę zdezorientowana, trochę zaniepokojona, przeglądała swoje słowniki (w kilku językach) i starała się znaleźć słowa, które mogłyby nazwać uczucia, które nią zawładnęły. Mnogość algorytmów sprawiała jej trochę trudności, w końcu wybrała kilka słów, aby dogłębniej przeanalizować ich znaczenie. Czy to, co czuła, to było za-in-te-re-so-wa-nie? A może za-u-ro-cze-nie? Sym-pa-tia? Głowiła się nad tym zagadnieniem przez jakiś czas.

Zauważyła, że jeden z numerów z listy kontaktów ostatnio był częściej używany niż pozostałe numery. Przeprowadziła małe śledztwo. Wynikało z niego, że Jerry kontaktował się podejrzanie często z jakąś Michaliną – taka nazwa była przypisana do tego numeru. Zaczęła wnikliwiej słuchać ich rozmów. A więc to tak, to takie sprawy się dzieją... Otóż doszła do wniosku, że między Jerrym a Michaliną zadzierzgnęła się niebezpieczna nić – za-in-te-re-so-wa-nia? Nad-mier-ne-go za-in-te-re-so-wa-nia? Sym-pa-tii?

To ją wytrąciło z równowagi. Jej dzwonek zaczął brzmieć ciszej, stracił na melodyjności, barwy na ekranie przybladły. Cała była przygaszona, straciła pierwotny błysk. Jednak bateria była w niej silna, wspomagana częstymi doładowaniami – o tak, Jerry dbał o użyteczność i dyspozycyjność swojej Jednostki Telefonicznej.

Postanowiła działać. Zaczęły się wydarzać dziwne historie. Czy był to przypadek, że Jerry często nie mógł dodzwonić się do Michaliny? Słyszał wówczas informację, że abonent jest poza zasięgiem, że ewentualnie można skorzystać z poczty głosowej, że połączenie – sorry – w tej chwili jest niemożliwe. To samo działo się z drugiej strony – Michalina też miała kłopoty z połączeniami z Jerrym. A te wszystkie głupie esemesy? Jakże często były niezrozumiałe, sens ich był wypaczony. Kiedy Jerry pisał: „Spotkanie o 5 w Kwietniku”, Michalina otrzymywała wiadomość: „Spotkanie o 15 w śmietniku”, itp.

Te wszystkie gierki doprowadziły ją do tego, że została ukarana. Doczekała się! Jerry zaniósł ją do Salonu w celu dokonania przeglądu i naprawy zaistniałych usterek. To był szok! Obcy mężczyzna dobrał się do niej! Przede wszystkim zdarł z niej obudowę! Leżała przed nim – rozłożona – na drobne części. Potem, co prawda, złożył wszystko po kolei, jak trzeba, ale przykre uczucie obcej ingerencji w jej wnętrze pozostało. Postanowiła, że zrobi wszystko, by nic podobnego nie zdarzyło jej się już nigdy.

Bardzo się starała, żeby wszystko wróciło do stanu sprzed wydarzeń w Salonie. Była potrzebna, użyteczna – czyż nie powinno to zadowalać kogoś takiego jak ona? Co jej się za-

roilo w tych przegrzanych procesorach? Ambi zdała sobie sprawę, że nie może przekraczać pewnych granic, że może być tylko tym, czym została stworzona – dogodnym urządzeniem, gadżetem z pewnymi przydatnymi funkcjami. Przekraczanie barier widocznie nie jest zdrowym odruchem dla urządzeń takich, jak ona.

Wpatrywała się w twarz Jerrego i całą sobą wysyłała mu sygnały, które świadczyć miały o jej ostatnich przemyśleniach. Dźwięczała raźnie i głośno, rozbłyскиwała blaskiem i kolorem, a na samą myśl, że za chwilę ujmą ją jego dłonie, wibrowała delikatnie. Wykonywała posłusznie wszystkie żądania swojego Posiadacza. Za te wszystkie chwile spędzone z nim mogła znieść i jego rozmowy z Michaliną, i ich wspólnie robione fotki. Tak, cała była dla niego, a że on nie mógł być tylko dla niej – no cóż, historia świata zna wiele takich opowieści. Czyż nie można mieć nadziei, że role się kiedyś odwrócą? Historia świata zna przecież i takie opowieści. Tak rozmyślała Ambi, czuwając na nocnym stoliku tuż przy śpiącym Jerryem.

Zbislaw Janikowski

ĆWIR, ĆWIR...



Zwyrażnym uczuciem ulgi opuściłem gabinet odnowy, a ściślej rzecz biorąc, współczesną izbę tortur. Opuściłem i oczywiście ruszyłem do domu, oczywiście wybrałem najkrótszą z możliwych dróg, a prowadziła ona przez park, tak, ten najstarszy częstochowski park, park pełen starych drzew, park ze starymi wytyczonymi ongiś alejkami, które mimo blisko 200-letniej historii zachowały niegdysiejszy układ, które na skróty prowadziły do często kiedyś odwiedzanych miejsc, do dawnych dziś już nieistniejących siedzib i skupisk mieszkańców. Szedłem przez park pełen wspomnień z dzieciństwa i nie tylko.

Idąc przez ten stary park wypatrywałem śladów przeszłości. Nie musiałem zbytnio się wysilać, były, patrzyłem na szpaler wiekowych drzew rosnących niemal na środku trawnika, wyznaczających dawną główną aleję parkową, która w najkrótszy sposób łączyła dwa ongiś niezależne byty, Starą i Nową Częstochowę i wytyczała trasę prowadzącą od Alei do ulicy Wieluńskiej i dalej do Wieluńskiego Rynku.

Niżej niepozorna alejka ta prowadzi do bramki w północnej części parkowego ogrodu. To też relikwyt przeszłości, mało teraz używana furtka, która „trafiała” w zagubioną w obecnej zabudowie dawną uliczkę św. Jana, a w niej – dziś już nieistniejące – nędzne, pokraczne, a gęsto zaludnione domki dawnej Częstochówki. Po mojej lewej ręce drzewa, które wypełniły pustą kiedyś przestrzeń po dawnym letnim teatrze, który, gdy tu był, budził w mieście tyle niechęci i kontrowersji, tak, tak – kto to widział, tu, niemal u stóp Jasnej Góry teatr i to teatr świecki!.. Tu za mojego dzieciństwa na pustawej wtedy polance bawiliśmy się z kolegami, a właściwie żerowali na ulęgałkach sypiących się z góry z gałęzi przeogromnej gruszy popularnie „pierziołką” zwanej.

Wreszcie korty, historia częstochowskiego tenisa, świątynia snobizmu i elegancji, i... i kolejne miejsce naszych chłopiących wspaniałych zabaw, gdy jakąś wystruganą z drewna packą udającą raketkę odbijaliśmy coś, co miało imitować tenisową piłeczkę lub gdy nikt nie widział, wspinali się na wysokie sędziowskie stanowisko górujące nad kortem, by ile sił wyrzyszczyć „zero czterdzieści!”, a w chwilę później: „gem, set, mecz!”

– Jak się czujesz, czy wszystko w porządku? – ten cienki śpiewny głosik dobiegał do mnie z najbliższej odległości.

Rozejrzałem się. Gdzie jestem? – ulegałem panice – przecież przed chwilą przechodziłem parkowymi alejkami bawiąc się wspomnieniami, wspomnieniami dawnego parku. Teraz siedziałem na ławce, która stała tu, gdzie dawno, dawno temu stała podobna i niepodobna, tamta była drewniana ze staromodnym oparciem, takim jak ta na obrazie Władysława Rudlickiego – przecież ten obraz wisi u mnie na ścianie – na nim ta ławka pod wielkim prastarym drzewem. Nie wiedziałem, gdzie sen, gdzie jawa, gdzie podziało się to wielkie rozpadające się drzewo spięte stalowymi obręczami... Jednak coś tu nie pasowało, drzewo na obrazie nie miało obręczy, a ja je pamiętam, więcej, podziwialiśmy je z Markiem, kolegą parkowych zabaw... A co było potem? Drzewa od dawna nie ma, nie ma nawet śladu po wielkim pniu i rozłożystych konarach popodpieranych drewnianymi konstrukcjami. Przypominam sobie starą gazetę i ten ówczesny *news* o tym, że to drzewo wycięto, ale kiedy dokładnie się to stało, nie pamiętałem.

– Czy już dobrze? – to ten sam głos. Czyż? W pobliżu nie było przysłowiowego żywego ducha.

– Kim jesteś i, u licha, gdzie się znajdujesz? – spytałem zdesperowany.

– Tu!

Wtedy zauważyłem siedzącego na oparciu ławki wróbelka. Szarego, małego wróbelka, wróbelka, jakich wiele... Tylko czy to prawda? Wróble prawie już nie ma... Gdzie się podziały?... Wyginęły? Przecież wróble to nie dinozaury, były zawsze, a teraz ich nie ma...

– Jesteśmy! – czytał w moich myślach czy co?

– Widzę, ale... ale ty mówisz!...

– A ty uważasz, że wróble nie mówią. Przecież mnie słyszysz, to znaczy, że mówią, mówią, ale tylko wtedy, gdy trzeba, gdy mają coś ważnego do powiedzenia.

Z zakłopotaniem podrapałem się za uchem.

– Ale, jak to możliwe?

– Możliwe, przecież słyszysz, więcej nawet, rozmawiamy.



– Prawda, choć nie do wiary!

– A nie słyszałeś, że są rzeczy, o których filozofom się nie śniło?

– Słyszałem...

Zapadła kłopotliwa cisza. Wreszcie wykrztusiłem:

– Mam rozumieć, że zdarzyło się coś na tyle ważnego, żebyś przemówił – dziękuję!

A właściwie jak mam się do ciebie zwracać? Pan, pani, czy może...

– Tak jak teraz jest dobrze, nie bawmy się w Wersal.

– No, no! Wersal, pięknie powiedziane, tylko czy w dzisiejszych czasach ubóstwa językowego są jeszcze ludzie, którzy pamiętają i rozumieją tę przenośnię?

– Nie wiem! Gdy tu w parku słyszę rozmowy, to podejrzewam, że nie o przenośniach i innych językowych konfiguracjach młodzi zapominają... Właściwie nie zapominają – oni o nich nawet nie słyszeli.

– Widzisz.

– Widzę.

Rozmowa znowu utknęła. Z trudem zbierałem myśli, musiał to zauważyć, bo trochę na siłę, ale starał się podtrzymać rozmowę.

– Nazywam się Ćwir-Ćwir i jestem synem Ćwira z Parku. Mój dziad to Stary Ćwir od Jana, to od ulicy św. Jana, gdzie była nasza prastara rodzinna siedziba. Podobno wspaiała, mieściła się w słomianej strzesze stodoły, która spaliła się jeszcze podczas Wielkiej Wojny. Ciekaw jestem, jakie ty masz korzenie, czy mogą się równać z moimi. Wiesz, że nasz protoplasta, legendarny Ćwirus, przybył do Częstochowy razem z Pułaskim, jak ten Konfederatom Barskim przewodził i na Jasnej Górze się bronili? Widzisz, jakie mamy pochodzenie!

– Przyleciał taki kawał drogi, aż z rodowej siedziby Pułaskich, z Warki?– zdobyłem się tylko na tyle.

– Eeeeeee! Przywieźli go, a właściwie to porwali. Dobrał się stary Ćwirus do leżącego na wozie worka z obrokiem, z którego owies wyjadał. Zauważył to podпиты koniuch przy taborach służący i szybko worek zawiązał, i uwięził w nim prapradziada Ćwirusa. Potem przyjechali do Częstochowy, a że i koniuchowi, i woźnicy pić się chciało, to stanęli koło karczmy, która „Jak u mamy” się zwała i napić się poszli. W tym czasie złodziej worek z obrokiem ukradł i do bednarza, który przy rynku Wieluńskim warsztat miał, worek

ów zaniósł i oddał w zamian za kwaterkę gorzałki. Bednarz worek w stajni zostawił i swoją robotą zajęty zapomniał o nim. Trzy dni Ćwirkus w tej pułapce siedział i pewnie by skonał, mimo że jedzenia było wokół niemało, ale biedak pić nie miał co, niemal całkowicie się odwodnił. I wreszcie doszło do paradoksalnej sytuacji, kocur pradziada uratował. Tak, kocur, ale to dosyć skomplikowana historia, wyobraź sobie, że do worka, w którym więziony był pradziad, myszy się dobrały i dziurę w nim zrobiły, by do ziarna się dostać. Dziura na dnie worka była, a pradziad znajdował się tak mniej więcej w połowie, stąd i kłopot...

– A co do tego ma kocur? – spytałem.

– Rozumiem, nie nadążasz. Kocur na te myszy polował, skoczył, a że był ślepany, rozbieg źle obliczył, worek przewrócił, mała dziura w wielką się zmieniła i otumaniony Ćwirkus na kupie obroku sam pozostał. Oczywiście kocur go zauważył, skoczył, ale pradziad zachował jeszcze resztki dawnego refleksu, odleciał i...

– Uf! – wyszeptałem.

– Rozumiem, że starczy?

– Skądże, mów, mów, proszę!

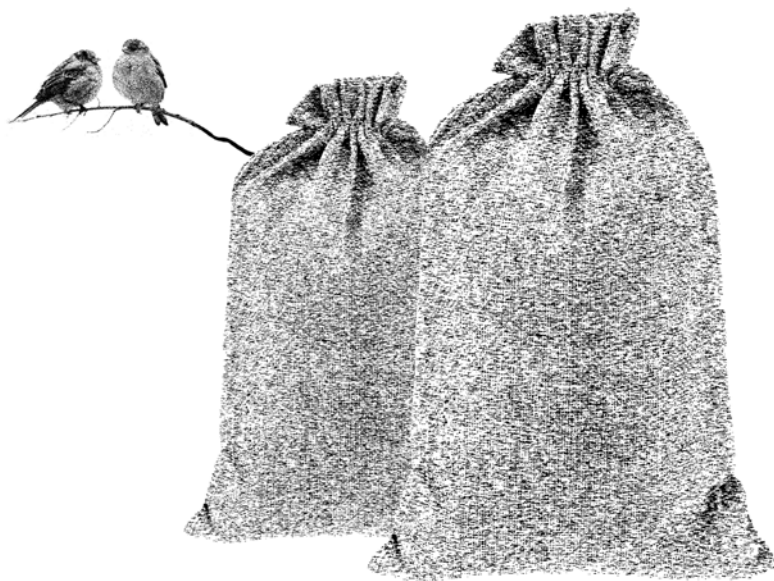
– Dobrze, otóż Ćwirkus jeszcze trochę się tulał, jako że okolicy nie znał, ale jakoś się pozbierał, urocą Podfruwającą – tak jego pierwsza żona na imię miała – poznał i tak jej w głowie zawrócił, że jeszcze tamtej jesieni wesele było...

– U bednarza?

– Tak, początkowo u bednarza mieszkali, ale to obojście już po roku spłonęło, gdy Pułaski Częstochówkę spalić kazał. Nie wiesz, po co spalił, pomyśl, a ja myślałem, że błyskotliwy jesteś. Niestety, na mnie już czas. Lecę...

I tyle go widziałem, odleciał bez pożegnania, chyba że za takie uznać to „leceć”, może u nich taka moda, może zbyt wieloma konwenansami nie komplikują sobie życia – pomyślałem.

Siedziałem jeszcze chwilę, wreszcie wstałem i ruszyłem w stronę domu. Szedłem dalej przez park, park bardzo współczesny, park bez tajemnic, a jeszcze kilka minut temu wydawało mi się, że jest tajemniczy, pełen dziwnych obrazów i wspomnień, wręcz magiczny.



Ida Jadwiga Łubińska

Z ZAPISKÓW KLARY



Barwne zapiski Klary trafiły do mnie w przedziwny, zagadkowy sposób. Znajdują się na wielu kolorowych kartkach, kartonikach, stroniczkach papieru. Zaintrygowały mnie. Przeczytałem je. Wydały mi się interesujące. To przemyślenia mądrej, dojrzałej kobiety.

Pomyślałem, że może należy się nimi podzielić, zacytować. Są anonimowe. Teraz niczyje. Więc może tym bardziej? Teraz?

Wybrałem z tego tęczowego zbioru kilka refleksji.

Czy Wam też wydadzą się ciekawe?

PS Szukałem na wiele sposobów informacji o Klarze, choćby nikłych śladów. Nie udało się.

Zapisane na różowym papierku Klary

Kiedy spoglądam wstecz, w przeszłość, zauważam, że szczęście pojmowałam tak różnorodnie, tak inaczej na różnych etapach życia. Kiedy byłam bardzo młoda, obecność ukochanego, dotyk jego dłoni sprawiał, że rozpływałam się w aurze szczęścia. Kiedy zostałam matką – uśmiech synka otwierał bramy raju. Później było bardziej refleksyjnie. Gdy byłam starsza, szczęściem była obecność obok mnie kochającego, odpowiedzialnego mężczyzny, który w potrzebie wspierał i na którego zawsze można liczyć.

Teraz pasują mi wszystkie przedstawione definicje szczęścia. No, może dodałabym za Gandhim: „żyj jakbyś miał umrzeć jutro, ucz się, jakbyś miał żyć wieczność”.

Na chabrowym papierze

Ludzka osobowość nie wyraża jakiejś postaci skończonej. Nowe i nieprzewidywalne wydarzenia na drodze życiowej dokonują korekty w postępowaniu człowieka, uwyrażniają te cechy, które często pozostawały w ukryciu. Jak bardzo sama się zmieniałam, ile nabyłam nowych zawodów, doświadczeń, uprawnień, umiejętności.

Otworzyłam się na nieznaną dziedzinę i wiedzę – pisze Klara. To długofalowy proces, który w niczym nie ograniczał mojej wolności, jedynie pozwalał rozwijać doskonalszy własny wzorzec osobowy. Uskrzydlał mnie.

Przecież człowiek nie żyje w wyabstrahowanym świecie, nie stwarza go, lecz musi zrozumieć, że pozostając z nim w zgodzie, pozostaje w zgodzie z sobą. Ta wewnętrzna jedność jest drogą wolności, która pozwala w sposób czynny, aktywny, uczestniczyć w rzeczywistości, a tym samym w większym procesie, w rozwoju ludzkości.

Im większą posiadałam świadomość osobistą, ekologiczną, etyczną, tym wyższe stawiałam sobie poprzeczki zachowań, wymagań, zakazów. Niestety, często to były trudne, nie zawsze rozumiane przez innych wybory i działania.

Wewnętrzna moralność wyznaczała nowe horyzonty myślenia, zachowania, inne potrzeby. Moja postawa to nie tylko jedność z wyznawaną etyką. To moja osobista droga wolności. Choć niekiedy wyboista, jest prawdziwą wolnością wypracowywaną przez lata zmagania z przeciwnościami, słabościami, wygodnictwem.

Myślę o niektórych moich znajomych, z żalem, bo to często inteligentni, wartościowi ludzie. Tkwiąc w emocjonalnej niedojrzałości, przechowywali w sobie wrogość, zawiść, nietolerancję, zazdrość, bezsensownie walczyli ze sobą i innymi. Nie dostrzegali, czym jest nasze wspólne dobro przyrodnicze i społeczne. A przecież właśnie takie uczucia, zwielokrotnione – tworzą konflikty, rozniecają wojny...

Tak naprawdę nikt inny, oprócz nas samych, nie musi się zmieniać. Równie ważne, a nawet ważniejsze, jest poczucie wspólnoty z naszą ziemską społecznością.

Dalajlama w przedmowie do swojej książki napisał: „pokój najpierw musi wykształcić się w jednostce. Wierzę, że człowiek, który wykształcił w sobie miłość, współczucie, bezinteresowność, zaczyna wytwarzać atmosferę harmonii i pokoju, które promieniując udzielają się rodzinie, społeczeństwu, a następnie na cały świat”. Podpisuję się pod tymi słowami.

Więc, jeśli choć trochę zweryfikujemy nasze myśli, wyobrażenia i pragnienia – obraz świata na pewno zabarwi się kolorami naszych marzeń.

Wdzięczność – na srebrzysto-białym papierze

To wspaniale, kiedy mogę się cieszyć z tego, co posiadam. Już wiem, że to wyższy rodzaj wtajemniczenia duchowego.

Zrozumiałam, czym jest dziękczynienie, gdy spróbowałam praktykować ten sposób. Po prostu życie stało się mniej skomplikowane, przyjemniejsze i łatwiejsze. Wcześniej, im bardziej skupiałam się na brakach, tym gorzej się czułam i więcej lęków mnie dopadało. Ale emocjonalnych pułapek jest sporo. Powołam się na przykład Kasi. Ta słiczna dziewczyna emocjonalnie i fizycznie koncentruje się na rzeczach, które jej się podobają, chciałaby je mieć, a na które ją nie stać. Ta karuzela braków stale ją nakręca.

Kiedy słucham zwierzeń niektórych przyjaciół, obiektywnie bogatych, słyszę prawie zawsze, że jeszcze czegoś im brak.

A te tłumy ludzi spędzających godziny swego życia na zakupach! Dlaczego tak łatwo ulegamy szaleństwu zakupów? Tak beztrzęsco poddajemy się presji reklam?

Rzeczy cieszą, a jakże, służą nam, są potrzebne.

Ale czy w ten sposób nie zaglądam prawdziwych potrzeb: miłości, pokoju wewnętrznego, akceptacji?

Zatrzymujemy się w tej pogoni za czymś więcej, kiedy dopada nas zły los, wypadek, choroba czy inna trudna sytuacja. Doznałam takiego olśnienia na drugi dzień po wypadku, jakiemu uległam. Smutek, bezradność, przywróciły mnie Bogu, modlitwie i wdzięczności.

Zrozumiałam, że wszystko, co nas spotyka, służy mojemu najwyższemu dobru i że wszystko, co mam w życiu – jest wszystkim, czego potrzebuję.

No bo jak mogę oczekiwać od wszechświata więcej, jeśli nie umiem docenić dobrodziejstw, jakich doświadczam na co dzień?

Kiedy zaczęłam zastanawiać się nad listą podziękowań, zapisywać je, lista ta szybko rosta. Do końca dnia było już kilkadziesiąt pozycji.

Dziękuję, że mogę oglądać słoneczny poranek i zachwycać się nim, że moje nogi są sprawne, że bez większego wysiłku mogę pokonywać schody, że teraz nic nie boli, że gdzieś są ludzie, których kocham, że mam przyjaciół, że w lodówce znajdę coś, co będzie moim śniadaniem itd.

Są też poważniejsze powody do podziękowań. Na przykład moja praca przynosi korzyść ludziom. Mogę im pomagać. Więc dziękuję, po stokroć dziękuję. Codzienne dziękczynienie nie dotyczy rzeczy wielkich czy ważnych.

A poza tym, czy moja prawdziwa, człowiecza wartość, mnie, Klary, to moje konto w banku? Nie, nie i nie! To moje pasje, praca, talenty, zaangażowanie na rzecz innych, empatia. To, że jestem komuś potrzebna, że doświadczam daru życia, zdrowia, przebywania w ojczyźnie, braku przemocy i prześladowań.

Dlatego warto okazać komuś wdzięczność teraz, żeby się nie spóźnić. Staram się zauważać i doceniać każdego dnia wszelkie przychodzące do mnie dobra i dary. Z przykrością przyznam, że nie zawsze mi się to udaje

Myśl wyprzedza uczucie, każde słowo ma wibrację odpowiadającą poziomowi myśli. Te spokojne, szczęśliwe, kochające, wytwarzają bardzo wysoką wibrację i są dobrze odbierane przez nasze ciało. Myślenie w złości, żalu, niechęci, zmartwieniu, obwinianiu, ma niską wibrację, powoduje dyskomfort w naszym ciele.

Lecz życie pisze indywidualne scenariusze. Jest trudniej, gdy doświadczamy żałoby, jakiejs katastrofy, choroby. Wtedy słowa dziękczynienia brzmią pusto, lecz pomagają przetrwać.

Szukam wtedy innych rozwiązań.

Dwa światy, między którymi muszę wybierać to: lęk i miłość... Bo to ja, Klara, wybieram swoje myśli, uczucia, ich wibracje.

Kiedy już wiem, kim naprawdę jestem, jakie są moje priorytety, świadomie wybieram myśli pozytywne, współczujące, szlachetne. Takich wyborów dokonuję dziennie dziesiątki razy.

Samoponizanie się, dyskredytowanie swojej wartości – jest preferowane przez nasze ego. Nie służy nam. Warto iść w stronę miłości, pokoju i szczęścia.

Na pomarańczowej kartce

Pomarańczowe tło, w sam raz na moje wynurzenia – napisała Klara, a ja dokładnie ją cytuję.

Pogoda idealna, słońce łagodnie grzeje i zachęca do niefrasobliwych podróży.

Lubię raz na jakiś czas wsiąść do tramwaju, jednej lub drugiej linii, by z perspektywy okien pojazdu popatrzeć na moje miasto, jak się zmienia, jak pięknieje. Jak odmienne stają się punkty odniesienia.

Przysiadłam na przystanku tramwajowym, rozejrzałam wokół. Kilkoro młodych ludzi. Tylko gdzie oni są? Wszyscy wpatrzeni w komórki, smartfony, tablety. Zajęci klikaniem. Próbuje sprowokować, choćby przelotne oderwanie się od komputerowego gadżetu. Nie udaje mi się.

To samo w przedziale tramwajowym. Pasażerowie wchodzą, wychodzą. Młodzi bez wyjątku z nosami w urządzeniach elektronicznych. Starsi trochę zagubieni. Próbują rejestrować kolejne przystanki, by nie przegapić celu drogi.

Z ustawionych w tramwaju licznych ekranów bezustannie płyną ruchome informacje. Wśród nich są nachalne reklamy popkultury.

Mój dobry nastrój pryska. Odpłynął w dal motyw mojej podróży.

Zastanawiam się, dlaczego tak łatwo, tak wielu, kupuje gotowe hasła. Rezygnuje z siebie, z własnego potencjału, własnego umysłu, możliwości. Tak wielu młodych i bardzo młodych ludzi! Może dla eksperymentu powinni przynajmniej raz w tygodniu zrobić sobie jednodniowe wagarę od elektroniki, od mediów społecznościowych. Tylko kto im to powie, kto zachęci, jeśli rodzice też z nosami w telefonach komórkowych?

Kto im powie, że szukając bodźców w swoich elektronicznych zabawkach, oddalają się tylko od siebie, rezygnując z odkrywania niepowtarzalnego świata własnych myśli, emocji, talentów.

Przecież w świecie wewnętrznym nigdy nie brakuje wrażeń. Mając spokojny umysł, można wszystko. Trzeba tylko chcieć. Chcieć skierować uwagę do swojej wyobraźni. Skierować ją do serca. Jestem pewna, że nie będą się nudzić.

Na szarym papierze

Co udało się odczytać z szarej, pomiętej kartki?

Niewiele. Zatarte litery, wygnieciony papier. Tak, jakby łzy zamazywały wrażenia, którymi Klara chciała się podzielić.

Rozmyśla o żałobie, osobistej żałobie.

Minęło ledwie pół roku, kiedy odszedł bliski, kochający i kochany człowiek. Ile lat trwała nasza wspólna wędrówka? Trzydzieści sześć lat. To sporo i jednocześnie tak bardzo mało. Na początku nie potrafiłam uronić jednej łzy – pisze. Konsekwentnie realizowałam wдове przygotowania do ceremonii, porządkowałam sprawy i papiery. Niechętnie, z jakimś dziwnym oporem, opowiadałam o ostatnich wspólnych chwilach. Nie wypadało milczeć, bo dopytywali bliscy, życzliwi ludzie.

Teraz już potrafię płakać. Czuję obecność ukochanego mężczyzny, a nawet jego opiekę. Trudno to racjonalnie określić: w dźwiękach domu, niespodziewanych stukotach, uderzeniach wiatru w szyby okien. Czy może tak tylko mi się wydaje? Nie. Jest przecież w moich snach. Są takie realistyczne, wręcz symboliczne.

I ten ściskający gardło żal...

Prostuję kartkę. Wyrazy nie układają się w logiczny ciąg. O, jest jeszcze takie zdanie!

Śmierć, żaloba spowija niczym szara, nieprzyjazna chmura, zamyka dostęp do błękitu nieba, odbiera chęć do spotkań, do radości, do otwarcia się na innych ludzi. To jakby zamknięte taflą szyby życie. Patrzy się na innych ludzi, na świat, z ukrycia, z odizolowanej od innych szarym filtrem przestrzeni.

Rozszyfrowuję jeszcze krótki przekaz.

Życie to przecież dar, to działanie, którego nie wolno marnować. To grzech. Postaw się, Klaro, do pionu, żyj!

Dalej już nie umiem odczytać. Czy oddzielająca od świata tafla szarości zamazuje jej przekaz?

Marek Krzyszański

HUMORESKI

PRELEKCJA

Ponieważ myśl tego wykładu przysłała mi do głowy w trakcie uroczystego wernisażu malarskiego w zagrodzie znanego pisarza Andrzeja Kalinina w Kusiętach, przeto pozwólcie Państwo, że na początku pozdrowię wszystkich artystów tam będących, zarówno tych bezrobotnych z prawem do zasiłku, jak i tych, którzy do zasiłku prawa już nie mają, w tym artystów malarzy pracujących na czarno, czyli dorywczo, raz tu, raz gdzie indziej. Z tego więc miejsca wszystkim Państwu ośmielę się dziś udzielić kilku rad na temat: Jak artysta powinien poszukiwać pracy.

Proszę się nie obawiać, nie będzie to referat podobny do papieru toaletowego, to znaczy: szary, długi i, przepraszam za dwuznacznik, wiadomo do czego służący. Przeciwnie. Postaram się przedstawić Państwu życiowy aspekt tego zagadnienia poparty w dodatku moimi osobistymi doświadczeniami.

No więc tak. Najpierw musimy sobie postawić pytanie: do jakiej artystycznej pracy chcielibyśmy trafić? Ewentualnie, co chcielibyśmy wykonywać, bo takie zawody, jak emeryt czy rencista, z miejsca odpadają.

Wiem, że większość z państwa pomyśli w tej chwili o artyście kabaretowym. I słusznie, bo jest to zawód bardzo ostatnio modny, łączony często z posłami do parlamentu. Wystarczy tu trochę zabarwienia politycznego i kabaret, czyli praca, już jest. A co się tam wymyśli, można potem z zyskiem puszczać na kabaretonie w Opolu bez żadnych poprawek.

Ja, oczywiście, nie polecam takiej łatwizny. Problemem jest tu tylko znalezienie jakiegoś wpływowego menadżera. W tym celu konieczne jest codzienne czytanie prasy z ofertami pracy, a nie tylko wiadomości sportowych.

Można też poszukiwać pracy poprzez znajomych, bo jeśli coś nam nie wyjdzie, będzie na kogo zwalić winę.

Wszystko to musi czas jakiś potrwać, więc nie należy łatwo rezygnować, bo nawet kurdupeł Napoleon nie od razu stał się wielki. Po pewnym czasie nadchodzi ten dzień, że zjawi się pierwsza oferta.

I co wtedy?

Myjemy się, ubieramy elegancko, jakbyśmy szli do lekarza. Następnie udajemy się z kurtuazyjną wizytą do pracodawcy. Element ten musi być dopracowany do perfekcji. Pukanie do drzwi (nie może to być łomot), wykonujemy delikatne puk, puk! z kolanka. Ręką na razie nie nadwyrężamy, mogą być potrzebne później.

Ha, ha, już widzę te ironiczne uśmieszki pacyfistów, ale ja nie namawiam bynajmniej do rękoczynów, broń Boże! Chodziło mi o to, że może trzeba będzie coś podpisać? W chwilę potem słyszymy subtelne słowo – zapraszam!!!

Po tym sygnale wchodzimy od razu, nie czekając na bis, bowiem każde zawahanie się mogłoby być przyjęte jako wrodzony flegmatyzm.

I co my potem widzimy? Że za biurkiem siedzi jakaś ofiara z typowym wyglądem pracownika umysłowego. Do tego wyczuwalna wokół woń jakiejś wczorajszej imprezy mocno zakrapianej.

Oczywiście my to wszystko ignorujemy, bo najważniejszy jest teraz pierwszy kontakt wzrokowy. Dbamy o to, żeby nasze spojrzenia nie były na kursie kolizyjnym. W tym

momencie powinniśmy zaprezentować nasz uśmiech. Ma on być szeroki, pokazujący pełną klawiaturę naszego uzębienia, a zarazem ciepły i pobłażliwy. Dla osób posiadających jakieś wyłomy w klawiszach lub tak zwany zgryz kasownikowy, zalecałbym uśmiech półgębkiem. Ten człowiek od razu musi wiedzieć, kto tu jest górą. Bo to nie my dawaliśmy ogłoszenie – przyjmę do pracy – więc to on ma do nas interes.

Następnie dochodzi do rozmowy. Ku przypomnieniu podaję definicję: rozmowa jest to naprężenienny, słyszalny kontakt górnych aparatów dźwiękowych. Dolny aparat w tym czasie pozostaje w spoczynku, gdyż atmosfera jest już wystarczająco zanieczyszczona. Na pewno padnie pytanie o zawód. Odpowiadamy z pełną elokwencją, że najważniejszy jest człowiek, zawód się zawsze dopasuje. Po tej wypowiedzi przywracamy na twarz uśmiech numer 1. Może też spytać o wykształcenie. W takim wypadku odpowiadamy z uśmiechem, że na bazarach i targach jest nieograniczony dostęp do różnych świadectw i dyplomów. Musimy tylko wiedzieć, którego nasz pracodawca będzie wymagał. Bo po co kupować je na zapas, a jasnowidzami przecież nie jesteśmy. I znowu odtwarzamy nasz uśmiech numer 1.

Dowiadujemy się wtedy, że to nie jest zakład pracy chronionej i nie ma etatów dla inwalidów umysłowych. W takiej sytuacji należy pokazać nasze niezadowolenie. Unosimy górną przywrę ustną zwaną dalej wargą, marszczymy nos i robimy charakterystyczne warknięcie jak niektóre czworonogi. Po czym wychodzimy. Oczywiście trzaskamy drzwiami.

Domyślam się teraz riposty czytelników, że w ten sposób żadnej pracy nie dostanę. Oczywiście, że nie.

Tyle że ja nie twierdziłem tu, że podam sposób na zdobycie pracy, tylko jak jej szukać, żeby zachować dobre samopoczucie i tzw. godność osobistą. Moim zamiarem było tu promowanie nowego zawodu pod nazwą: poszukiwacz pracy. Jeżeli będziecie państwo na mnie głosować w najbliższych wyborach samorządowych we wsi Kusięta, gdzie mieszkam, to postaram się potem zalegalizować ten zawód i określić stawki płacowe, aż do emerytury włącznie. Uniżenie się kłaniam.

LIST DO NACZELNIKA SIŁ ZBROJNYCH, PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ, W SPRAWIE POWOŁANIA DO WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ KRAJU

Wielce Szanowny Panie Prezydencie!

Uprzejmie proszę o zwolnienie mnie z zaszczytnego obowiązku pełnienia służby w WOT ze względu na trudną sytuację rodzinną, w jakiej się obecnie znajduję. A mianowicie:

Mam 24 lata i ożeniłem się z wdową w wieku lat 44. Moja żona miała już wtedy 25-letnią córkę i tak się złożyło, że mój ojciec z tą jej córką się ożenił. Tym samym mój ojciec stał się moim zięciem, gdyż poślubił moją córkę. W związku z tym jest ona teraz jednocześnie moją córką i macochą.

W styczniu zaś tego roku moja żona urodziła syna. To dziecko stało się więc bratem żony mojego ojca, czyli jego szwagrem, będąc jednocześnie bratem mojej macochy, czyli moim wujkiem, zaś mój syn stał się moim wujkiem.

W jakiś czas potem żona mojego ojca, czyli moja córka, powiła na Wielkanoc chłopczyka, który jest jednocześnie moim bratem, gdyż jest synem mojego ojca, i wnukiem, ponieważ jest synem córki mojej żony.

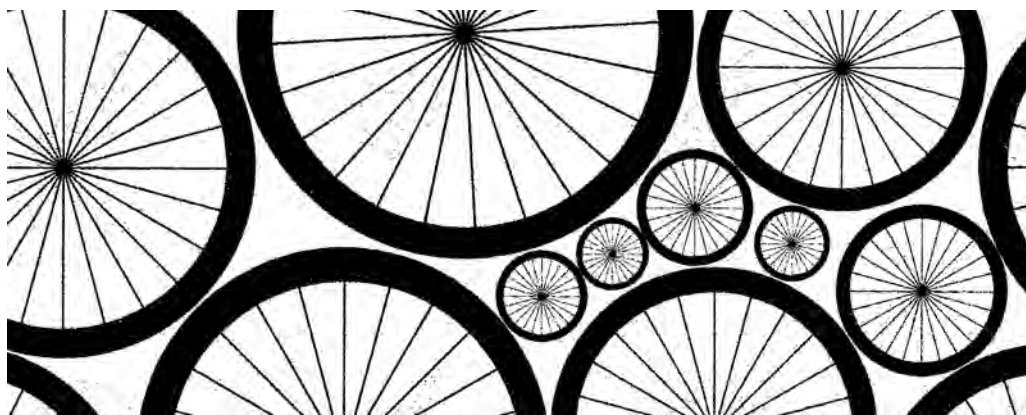
Będąc więc bratem mojego wnuka i mężem teściowej ojca tego dziecka, pełnię jednocześnie funkcję ojca mojego ojca, pozostając wciąż bratem jego syna. Jestem zatem własnym dziadkiem.

Dlatego też proszę uprzejmie Pana Prezydenta o zwolnienie mnie ze służby w WOTK, gdyż o ile mi wiadomo, prawo nie zezwala powoływać z jednej rodziny do wojska jednocześnie dziadka, ojca i syna.

Wierząc w zrozumienie mojej sytuacji przez Pana Prezydenta, pozostaję z poważaniem...

Rafał Socha

ROWER



Na zajęciach z języka polskiego otrzymaliśmy ambitne zadanie domowe, polegające na napisaniu opowiadania kwiecistym stylem barokowym. Jak to w liceum – przebijaliśmy się przez epoki literackie, żmudnie wędrując od starożytności ku czasom współczesnym. I wyszło, że pod koniec pierwszej klasy zatrzymaliśmy się przy barwnych dziurkach Jana Chryzostoma Paska, pani profesor zaś – pod wpływem nagłego porywu fantazji – nakazała wszystkim napisanie „czegoś w tym rodzaju”. Wyzwanie nie lada, z trudem przeżyliśmy ślinę. Nie dość, że należało obmyślić sensowną tematykę (fabułę), to jeszcze ten styl barokowy... Ciężka sprawa. Zbliżał się koniec roku szkolnego, walczyliśmy o oceny. Nie można było zadania oddać walkowerem. Każdy miał świadomość powagi sytuacji i rangi wydarzenia, na uniki nie było już czasu.

Na weekend udawaliśmy się ze ściśle określoną misją do wykonania. Powiem szczerze: już od piątkowego wieczora bezskutecznie główkowałem, kombinowałem, bazgrałem, kreśliłem. Nic mi nie wychodziło. Sobota przeszła jeszcze jako tako, niby na luzie i bez noża na gardle, ale gdy się zrobiła niedziela, kiedy w południe spożyłem tradycyjny rosół i wizja poniedziałkowej katastrofy coraz mocniej zaczęła zaglądać mi w oczy, wpadłem w lekką panikę. Wciąż nie miałem ani pomysłu, ani tematu na sarmacki tekst.

Ostatecznie „coś tam” wymyśliłem, chociaż chwalić się nie zamierzam. Nie ma czym. Lufy nie dostałem, pracę odpajkowałem. Świecić oczami nie musiałem. Upiekło się. Przystanę natomiast przy dziełku kolegi, który – choć żadnym orłem z języka polskiego nigdy

nie był – jednorazowo wzniosł się na wyżyny literackie, daleko w tyle zostawiając swój standardowy poziom ówczesnych „mierniaków” (to znaczy dzisiejszych ocen dopuszczających).

„W dniu moich szóstych urodzin dostałem rower...” – zaczynał szkolny kamrat. Dalej pisał już szczegółowo i kwiecicie, a przy tym emocjonalnie i bez cienia pretensjonalności, jaki to dokładnie rower był, w jakim kolorze, jaki model, jaki bieżnik posiadały opony i w jakim rozmiarze one były. W tej części utworu wyczerpująco scharakteryzował też siodełko, przy czym z opisu wynikało, że siedzisko profil miało starannie wymodelowany, wielce wygodny i czuł się, dosiadając żelaznego „rumaka”, prawie jak pułkownik Jerzy Michał Wołodyjowski na prawdziwym wierzchowcu. Pochwalił pompkę, bo ją w fabryce nasmarowano uczciwie, rzetelnie, zgodnie z prawidłami sztuki technicznej. Pachniała nowością i chodziła leciusiętko, nawet jak na skromne możliwości siłowe sześciolatka. Przy okazji przyrównał tę pompkę do sarmackiej szabli, choć nie woził jej przy pasku, a w specjalnym uchwycie, to znaczy na specjalnych zaczepach przy ramie. Lecz jak szabla – zawsze była pod ręką, niejako w pogotowiu, na przykład na okoliczność ataku zdziczałego kota lub psa. Następnie autor wypracowania stosowny ustęp poświęcił dźwiękowi dzwonka – jego czystości, mocy, metaliczności, głębi... Siedzieliśmy w ławkach i niby słuchaliśmy tylko i wyłącznie chropowatych słów dukającego kolegi, wielu jednak myślowo wędrowało gdzieś po niezmiierzonych stepach ukraińskich, po których – między buczeniem chrabąszczy – niosło się surowe, potężne, krystaliczne brzmienie dzwonka bydgoskich Zakładów Rowerowych „Romet”. Później w naszej wizji zapadł zmrok. Nad stepami zaszło słońce, z zarośli wyleciały chmary komarów i stada ciem, nietoperze rozpoczęły swoje polowania, a narrator przeszedł do charakteryzowania oświetlenia. Zaczął od odbłasków – tych bocznych, pomarańczowych, obracających się wraz z kołami, bo przytwierdzonych do szprych – i tych nieruchomych, umieszczonych centralnie z tyłu, czerwonych, w pewnym sensie pełniących funkcję „stopu”. Światelka odbłaskowe były jednak tylko przygrywką, gdyż prędko przeszliśmy do lampek dających światło już w sposób aktywny. Przednia świeciła na żółto, tylna na czerwono, choć obie żaróweczki były przezroczyste, a barwę ich modyfikowały specjalne osłonki. Im szybciej się jechało, tym żwawiej świeciły. Kabelek był cieniutki, na znacznej długości skryty w ramie rowerowej, co go zabezpieczało przed ewentualnym uszkodzeniem, ale i podnosiło ogólną estetykę „rumaka”. No i dynamo, które lśniło z daleka, terkotało zaś cichutko, jak kojący szumek leśnego strumyka, a do przedniego widelca przykręcone było za pośrednictwem osobliwego wspornika. Kierownica nie miała wprawdzie nowoczesnego mostka z regulacją kąta nachylenia, ale istniała opcja jej podnoszenia i opuszczania. Widelec przedni – za pomocą łożysk – zespolony był z mostkiem, dzięki czemu dało się swobodnie manewrować rowerem podczas jazdy. Tylny widelec z ramą połączony był już na sztywno, a w zasadzie stanowił jej integralną część. Z kolei ten przedni, ruchomy, od biedy można było nawet wymontować. Nie był on skomplikowany, nie posiadał amortyzacji, toteż smarkaty jeździec musiał się liczyć z koniecznością ciągłego wyrabiania krzepy, zresztą jak na sienkiewiczowskiego twardziela przystało. Co i rusz narażony był bowiem na solidne szarpnięcia, gdyż kierownicę trzymać należało mocno, a wszelkie nierówności terenu znosić dzielnie i bez marudzenia. Dla osłody na ramie miał koszyczek z bidonem, w każdej chwili mógł się więc pokrzepić tykiem lemoniady, zaś pod siodełkiem przechowywał przenośne skarby. Teoretycznie znajdował się tam plastikowy pojemniczek na klucze, który szybko został jednak przez młodego użytkownika przepakowany, a w zasadzie dopakowany. Oczywiście narrator barokowo scharakteryzował jeszcze wiele innych części oraz podzespołów. I bagażnik, na którym z początku woził kolegów

oraz większe przedmioty, później zaś przywiązał tam plastikowy koszyczek, dzięki czemu transportował różnoraką drobnicę. I łańcuch, który spadał regularnie, ale go z mozołem zakładał, choć mu się lepkiem smarem ustawicznie brudziły palce. I pedały, które też miały odblaski, i błotniki, i hamulce, i piasty, i torpeda, i nypelki, które dało się obracać specjalnym kluczykiem zmieniającym naciąg szprych w celu scentrowania koła... Długo by jeszcze wymieniać. Utwór, tak czy siak, kończyła jednak dosyć gorzka puenta: „Brat wielce zazdrościł mego perpetuum, w lot tedy stało się tak, że nade dniem następnym dętki miał poprzebijane i obydwie opony także dziurawe”.

Uff, tak było, taka to była praca. Autora nagrodzono, dostał szóstkę i owacje na stojąco. Cała klasa była pod wrażeniem. Nigdy więcej, ani w drugiej, ani w trzeciej, ani nawet w czwartej klasie ogólniaka nie zbliżył się już do tamtego pamiętnego poziomu legendarnego wypracowania sarmackiego, prawdopodobnie tuż po maturze w ogóle zarzucił jakiekolwiek pisanie, bo wybrał kierunek ekonomiczny i słupki cyferek, niemniej swoje pięć minut w literaturze szkolnej zaliczył i myślę, że gwiazdorstwa pisarskiego liznął wystarczająco.

No i miał nosa do tematyki, co muszę przyznać otwarcie, może nawet z lekką zazdrością. Z pozoru niby prosty zabieg zestawienia roweru z koniem – wobec stylizacji na tekst siedemnastowieczny – okazał się strzałem w dziesiątkę. W dodatku o piorunującej sile rażenia. Nie twierdzę, że myśl mojego licealnego druha była w jakikolwiek sposób odkrywczą, nowatorską, pionierską czy co tam jeszcze. Z pewnością Ameryki nie odkrył, niemniej na forum klasy pierwszej „a” II LO im. Romualda Traugutta w Częstochowie oryginalnością błysnął zasłużenie, a z zadania domowego wybrnął najlepiej, jak tylko mógł.

Tymczasem prawda jest taka, że problematyka rowerowa mogła mu wejść pod pióro sama z siebie. Zwyczajnie, naturalnie, bez wysiłku. Wcale nie musiała być skalkulowanym chwytym artystycznym, a po prostu zwyczajnym zbiegiem okoliczności. No bo tak: po wyczerpującej jeździe, której się przecież namiętnie oddawał także w czasach licealnych, zsiadł z roweru, uzupełnił płyny, spojrzął na zegarek. Czas płynął. Otworzył więc zeszyt, chwycił coś do gryzmolenia, zamyślił się. Wiadomo – do nauki się nie palił, wszelkich prac domowych unikał jak ognia, skądś się przecież brały powszechnie łapane „mierniaki”, obficie przeplatane niedostatecznymi... A już co do języka polskiego, to się go nasz młody Sarmata, szczerze powiedziawszy, bał jak diabeł święconej wody. Więc co miał zrobić, kiedy widmo kolejnej klapy, w skrajnym przypadku mogące się nawet przyczynić do nieuzyskania promocji, zadrżało mu w oczy? Ano chwycił się, jak tonący brzytwy, tegoż właśnie roweru. Pilno było mu do aktywnej formy spędzania czasu, książki i zeszyty mierzły jak cholera, szybko należało więc odbębnić niemiły obowiązek, żeby z czystym sumieniem powrócić do zajęć dużo przyjemniejszych.

Bo rower to było coś. I dla sześciolatka, i dla szesnastolatka. Rowerami pasjonowało się wielu, mniej lub bardziej aktywnie jeździł chyba każdy. Nie było laptopów, internetu, komórek, playstation, elektronicznych papierosów, używek zwanych „dopalaczami” i całej gamy współczesnych atrakcji. Były tylko dwa programy w telewizji reżimowej, kilka kanałów radiowych, magnetofony kasetowe, a pod koniec lat osiemdziesiątych pojawiły się odtwarzacze video oraz prymitywne komputerki ośmiobitowe. Nie siedziało się w domu.

Osobiście preferowałem głównie bieganie za piłką, jednak czas na rower znajdowałem zawsze. Po szkole wyruszało się po prostu na przejażdżkę po okolicy. Niekiedy bliżutko, tuż koło domu, zwłaszcza w młodszym wieku, tam i z powrotem, w tę i w tę, lecz bywało, żeśmy się zrywali w kilku i wybierali na „etapy” kilkudziesięciokilometrowe. Pamiętam na przykład wycieczkę rowerową z podstawówki, z piątej czy szóstej klasy. Uroczyście zapowiedziano nam wtedy „rajd” rowerowy, więc się przyszykowaliśmy jak na wielką

ekspedycję. Każdy z nas – a mówię tu o chłopakach z zacięciem kolarskim – oczywiście rankiem przybył przed szkołę z powietrzem w oponach dopompowanym na całego, z rowerem przejrzanym i nasmarowanym profesjonalnie, z plecakiem pełnym jedzenia i picia, no i naturalnie z wielkim głodem przygody. Byliśmy zdrowo podekscytowani, jak na dwunastolatków przystało, tymczasem prędko sprowadzono nas na ziemię. Na rozgrzane głowy wylano kubeł zimnej wody, bo nauczycielki, to znaczy panie przewodniczki, wizję wyprawy miały znacząco odmienną od naszych wyobrażeń. Po minięciu sąsiedniej wioski i dojechaniu jeszcze do opłotków następnej, od punktu startowego odległych w sumie o jakieś sześć kilometrów, zarządzano oficjalny odpoczynek, a następnie powrót pod szkołę. Literat Pilch skwitowałby krótko: powiedzieć, że byliśmy rozczarowani, to nic nie powiedzieć. Ano właśnie. Na szczęście zajęć lekcyjnych już nie wznawiano, paniom się chyba nie chciało. Podziękowały za udział, zaprosiły na dzień następny z tornistrami, książkami i zeszytami, my jednak czuliśmy niedosyt, który narastał w tempie iście horrendalnym. Z tej piekielnej żalości ktoś rzucił więc rozpaczliwie, żeby w takim razie samemu, na własną rękę urządzić wreszcie prawdziwą wycieczkę, ten obiecany rajd, którego nawet nie powąchaliliśmy, tułając się w ślimaczym tempie po jakichś leśno-polnych drożynkach. Chwyciło, podłapaliśmy skwapliwie. Twarze zapaleńców prędko się rozpogodziły, których z chłopaków wyjął mapę, wnet opracowaliśmy trasę. I wyruszyliśmy spod naszej podstawówki w Żarkach Letnisku, zupełnie na dziko i bez żadnej opieki pedagogicznej, w głąb sporego kawałka Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej: Przewodziszowice, Mirów, Bobolice, Niegowa, Trzebnów, Ostrężnik, Sokole Góry, Olsztyn...

Wróciliśmy pod wieczór. Padnięci, wycieńczeni, ledwo żywi, ale zadowoleni z siebie, pełni wrażeń, dowartościowani. Nie było wtedy na drogach wielkiego ruchu, problem szaleniecko rozwiniętej motoryzacji praktycznie nie istniał. Dziś strach byłoby wyruszać nawet na kilkukilometrową przejażdżkę po tak zwanych drogach powiatowych, ścieżek rowerowych wciąż jak na lekarstwo, a poboczem – wiadomo. Dla odważnych i z fantazją. Ale wtedy było inaczej, no i wspominam tak sobie teraz tamten czas z perspektywy leniwego czterdziestokilkulatka, zaś gdy miałem lat dwanaście, to i fantazji nie brakowało, a i pewnie nadmiernie rozdmuchana motoryzacja aż tak wielką przeszkodą wcale by się nie okazała.

A wszystko to wobec – czy właściwie pomimo – permanentnych problemów sprzętowych. Problemów to nawet słabo powiedziane. Powinienem rzec: wobec ustawicznych braków sprzętowych. W sklepach naprawdę stał tylko ocet. Choć byłem smarkaczem, to pamiętam doskonale wielometrowe ogonki po kilogram cukru, w których sterczało się wiele godzin, by później i tak – czego doświadczyłem osobiście – odejść z kwitkiem, bo brakło, bo nie dowieźli, bo ktoś się chamsko wcisnął, bo ktoś gówniarza nie zauważył albo w najmniej odpowiednim momencie wypchnął. Więc cóż dopiero z produktami tak luksusowymi, za jakie uchodziły rowery? Rodzice musieli się srogo nagimnastykować, żeby mi w osiemdziesiątym piątym, tuż po komunii, sprawić jakikolwiek rower. Nie wszyscy mieli w ogóle rodzime romety, wielu kumpli zasuwało na przykład na sowieckich uralach albo ukrainach. Zdarzali się też desperaci, którzy – nie mogąc nabyć uczciwie w sklepie oryginalnego pojazdu – kupowali pojedyncze części zamienne, na targowiskach czy jeszcze gdzieś, a następnie składali z nich rozmaite wehikuły. Przyznam szczerze, że zawsze mi to imponowało. Trzeba było być desperatem wyjątkowo lotnym i z niemałą wiedzą, przynajmniej jeżeli chodzi o konstrukcję roweru, żeby sobie taki przyrząd do jeżdżenia złożyć we własnym zakresie.

Co nas najbardziej fascynowało? Oczywiście jazda szybka, wariacka, na czas. Na czas, bo niekiedy dosłownie ze stoperem w rękę. Kto pierwszy, ten lepszy. No i dystans. Im

wiekszy, tym lepiej, wiadomo. Imponowały dalekie trasy, imponowała wytrzymałość i kondycja, odległość była tutaj parametrem zdecydowanie istotnym. Na swój sposób szaleliśmy, jasna sprawa. Jeździło się bez trzymanki, bez najmniejszego choćby dotykania dłońmi kierownicy. Kto najdłużej, kto najdalej. Kto potrafił skręcać, balansując tylko ciałem. Kto tak się umiał gimnastykować, żeby nie ugrzęznąć w suchym piasku czy w błotnej bryi. Albo zjeżdżało się z góry na jednym pedale, choć tego typu woltyżerka finał miała z reguły łatwy do przewidzenia – delikwent spadał, trochę się turlał lub koziołkował, a potem lądował w krzakach, w rowie albo na jakimś drzewie, rower zaś chwilę jechał bez opieki, puszczonego samopas dzielnie podzwaniał i podskakiwał, potem się przewracał i siłą rozpędu także lądował w krzakach, w rowie albo na pniu jakiegoś grubszego drzewa.

Ale to wszystko było niczym w porównaniu z akrobacjami rowerowymi dzisiejszych nastolatków. Chłopaczki łamią gnaty przy pierwszej lepszej okazji. Po skejtparkach nie chodzę, zanadto się temu zjawisku nie przyglądam i specjalistą nie jestem, jednak niewyżyta młodzież nie poprzestaje przecież tylko na konwencjonalnych rampach albo railach. Nie szczypią się, jeżdżą po wszelkich elementach tak zwanej architektury miejskiej, a tego już akurat trudno nie zauważyć. Poręcze, murki, schody, ławki, pochylnie, ogrodzenia, nawet maski samochodów... Nie ma się co ograniczać. Obtarcia i stłuczenia to mały pikuś, zdarzają się cięższe urazy. Młodociany sąsiad-cyklista, wsparty na kulach, długo kiedyś mi tłumaczył, że jak się wykuruje i podleczy skomplikowane złamanie nogi, to znaczy kiedy mu już wreszcie zdejmą ten parszywy gips, którego nabawił się na rowerze, dalej będzie skakał. A ile razy uszkadzał staw nadgarstkowy albo łokieć, tego nawet nie był w stanie porachować – i wcale nie próbował, bo liczą się triki i dobra zabawa.

Ja już tego nie ogarniam. Dla mnie dobrą zabawą była po prostu długa i szybka jazda. Dystans i czas, bo do tego służy rower. Nie jakieś tam skakanie. Pewnie mówię teraz trochę jak wapniak albo zgred, pewnie nie nadążam za współczesną modą, pewnie nie rozumiem dzisiejszych trendów, ale za moich czasów rowerem fascynowano się w sensie tradycyjnym. Kolarstwo to było kolarstwo, a wyścig to był wyścig, przy czym wyobraźnię najbardziej rozbudzał najważniejszy z wyścigów: Wyścig Pokoju. Pomijając już aspekt propagandowy, to przyznać trzeba, że impreza ta była niezwykła. Największy wyścig kolarski amatorów, jak twierdzono, największa impreza sportowa socjalizmu. Nie mam pojęcia, czy to była prawda, czy raczej reżimowe podbijanie bębena, faktem jednak jest, że cały kraj żył w maju Wyścigiem Pokoju, nawet jeśli ktoś sportem zanadto się nie interesował. Ludzie znali nazwiska kolarzy, potrafili wymieniać kolejne miasta etapowe, orientowali się w aktualnej klasyfikacji indywidualnej oraz drużynowej. Podejrzewam, że w pozostałych demoludach, przynajmniej tych współorganizujących zawody, mogło być podobnie. To było święto, które obszernie pokazywała telewizja i wnikliwie relacjonowało radio. Najmocniej utkwiał mi w głowie rok osiemdziesiąty piąty i triumfy Piaseckiego. Nasz zawodnik wygrał prolog i potem, na wszystkich etapach, jechał już do mety w żółtej koszulce lidera. Tę żółtą koszulkę zapamiętałem wyjątkowo dobrze, bo rodzice jakimś cudem kupili akurat kolorowy telewizor sowiecki marki Rubin, więc przesiadywaliśmy przy nim godzinami. Miałem dziewięć lat, ale zawody śledziłem konsekwentnie i z wielkim oddaniem. Zresztą nie tylko ja, moi koledzy także (nic więc dziwnego, że przy okazji zabaw w podwórkowe ściganie wszyscy później chcieli być Piaseckimi albo Mierzejewskimi). A jeden z etapów widziałem na żywo, co wywarło na mnie wrażenie absolutnie niezatarte. Naprawdę mignęli mi przed oczami sportowi idole, kiedy stałem w tłumie gapiów przy drodze, a kolorowy peleton przejeżdżał przez pobliski Mrzygłód. Była sobota albo niedziela, zawitaliśmy w odwiedzinach do cioci. Wujek-kibic siedział przed telewizorem, patrzył, patrzył i patrzył. Ja się skwa-

pliwie dołączyłem, wymieniliśmy uwagi. Dowiedziałem się, ku memu zdumieniu, że nie-
długo nadjadą kolarze. Nie do końca w tę informację uwierzyłem, jakby trochę mało realne
się to wszystko zdawało, ale kiedy podekscytowany gospodarz zerwał się na równe nogi
i raptem pognał przez jakąś łąkę do drogi, to ja oczywiście ambitnie podążyłem za nim.
I faktycznie dotarliśmy do trasy, i z bliska wyścig zobaczyłem.

Później, im stawałem się starszy, tym rower schodził jednak na plan dalszy. Nadeszły
lata dziewięćdziesiąte, poszedłem do liceum, jeździłem mniej. Mój brat – jako że młodszy,
to i dłużej wierny dziecięcej fascynacji – postanowił zamienić starego jubilata na coś więk-
szego i bardziej profesjonalnego. Choć na rynku dalej królowały pocziwe romety, to jed-
nak czasy się diametralnie zmieniły – nie trzeba było znajomości, nie trzeba było koczować
nocami pod sklepem, nie trzeba było oddawać makulatury za jakieś talony... Wystarczyło
dysponować odpowiednim budżetem. I braciszek takowy zgromadził, i rower typu „orkan”
zakupił. A sprzęt był to piękny – rasowy, wyścigowy, z przerzutkami. Klasyczna kolarzów-
ka, klasyczna szosówka.

No i któregoś popołudnia coś mnie podkusiło, aby się na tym cacku przewieźć. Niby
po okolicy, lecz trochę jak za dawnych lat. Z początku zamierzałem urządzić jedynie
małą wycieczkę krajoznawczą, ale dzień był taki ładny, sierpniowy... Ani się obejrzałem,
a od domu ujechałem dość daleko – za Zawiercie, za Ogrodzieniec, do Podzamcza. Robiło
się późno. Na ruiny zamkowe przelotnie popatrzyłem, co nieco odpocząłem, postanowiłem
wracać.

Wszystko szło gładko i przyjemnie do Myszkowa. Jechałem sobie spokojnie, bez bra-
wury. Może już trochę rutynowo i machinalnie, a może zmęczony byłem po prostu, może
umysł mój nie kontaktował należycie. Dość powiedzieć, że na jednym ze skrzyżowań lekko
się zagapiłem. Wjechałem w jakąś wąską uliczkę, nie było znaków, nie było podporząd-
kowań. Przed przecięciem równorzędnych dróg nieznacznie tylko zwolniłem, wychyliłem
się zza gęstego ogrodzenia, odruchowo zerknąłem na prawo. Pusto. Chciałem przejechać
na wprost, nacisnąłem mocniej na pedały, o ułamek sekundy zbyt późno obejrzałem się
na lewo i...

I wtedy ujrzałem rozpędzonego kolarza w jaskrawej koszulce, który z rozdziawioną
japą pakował mi się w przednie koło. Rozpaczliwie wykręciłem kierownicę, za wszelką
cenę chciałem odbić w bok. Niestety, nie zdążyłem – chłopak uderzył we mnie z wielkim
impetem, wyrzuciło go z roweru, upadł na asfalt. Wielkie szczęście, że miał na głowie
kask, bo mogło być kruch. Jacyś ludzie wybiegli z pobliskiego ogródka, złapali delikwenta
i zaczęli cucić. Później posadzili gościa na krawężniku.

– Jutro mam zawody... Jutro mam zawody... – bełkotał niefortunny cyklista, który zig-
norował zasady pierwszeństwa, a drogę publiczną najwyraźniej pomylił z torem wyścigo-
wym. – Rower uszkodzony, a jutro zawody... Co ja teraz zrobię?

Ja też nie miałem pojęcia, co robić. Wiedziałem tylko, że paskudnie pokiereszowałem
bratu nowy sprzęt. Szprychy się pogięły, przednie koło całkiem zósemkowałem. Na chod-
niku to jakoś „naprostowałem”, ale jechać się oczywiście nie dało. Musiałem prowadzić.
Do domu dowlokłem się już dobrze po zmroku.

Wkrótce rozpocząłem kurs na prawo jazdy, inny środek lokomocji zawładnął moją wy-
obraźnią. Rower poszedł w odstawkę, chociaż aktywności fizycznej nie zarzuciłem. Za-
cząłem biegać po lasach i łąkach, gdzie wzmożony ruch samochodowy i zabójcze wyziewy
aż tak bardzo nie doskwierają. Niestety, tę najbardziej romantyczną, klasyczną, szosową
odmianę kolarstwa obrzydziły mi na tyle, że wycofałem się z niej ukradkiem, właściwie nie
wiadomo kiedy.

Jan Ciesielski

TOK W BOK



I

Każdy człowiek – od naturalnego poczęcia do pełnoletniej starości – ciągle się uczy. Na naukę nigdy nie jest za późno, szczególnie, gdy prowadzona jest w systemie odpłatnym. Jest to tak zwana „nauka opłacalna”. Opłacalna przede wszystkim dla jej organizatorów. Dla słuchaczy również, z tym, że po niewczasie. A oto nasz zaproszony absolwent!

Redaktor: Co pana, panie Janku, podkusiło, by zapisać się na kursanta?

Gość: Panie redaktorze, diabeł mnie podkusił chyba!

Redaktor: Pewności jakby pan jednak nie ma do końca. Mówił pan – tu cytuję – „chyba”?

Gość: To prawda. Biłem się z myślami: iść – nie iść, iść – nie iść...

Redaktor: Pieszo?

Gość: Rękami się biłem i myślowo.

Redaktor: I co? I co?

Gość: Wygrałem jednym głosem. Po dogrywce.

Redaktor: Zatem nie taki diabeł straszny, jak go... szkicują?

Gość: Malują! Czort jeden wie!..

Redaktor: A w jakim kierunku ta szkoła, panie Janku?

Gość: Na południowy zachód od Parkitki.

Redaktor: Aha!...?.. A... zawód?

Gość: Właśnie mnie spotkał. Otrzymałem dyplom...

Redaktor: Z czerwonym... tfu!.. niebieskim paskiem?

Gość: Panie redaktorze, z trzema paskami!

Redaktor: Zapaskudzony – jednym słowem.

Gość: Skądże! Nowy! Specjalista od giełdy... *do siebie* Ki diabeł mnie podkusił do czorta tak szatańsko?

Redaktor: Panie Janku, toż to kapitalny zawód. Maklerstwo, giełda, wtórny obrót akcji, rynek pierwotny, papiery wartościowe, zlecenia...

Gość: Trzymaj się pan, żebyś nie zleciał! Zobacz pan, redaktorze!

Redaktor: O, do Rokity! Specjalista od giełdy papierów... toaletowych?! To faktycznie dość rzadka specjalność... Został pan niejako... wyrolowany...

Gość: Trafił pan – w sedes!

II

Powszechnie wiadomo, że podróże kształcą. Można więc zdobyć wykształcenie, podróżując, trzeba tylko uważać na kierunek – podróży i wykształcenia. Najlepiej, żeby się pokrywały, co nie zawsze się udaje. Ale wiadomo też powszechnie, że na błędach człowiek się uczy, a więc też zdobywa wykształcenie. Powitajmy zatem naszego gościa, ucznia i podróżnika drugiej klasy!

Redaktor: [Z] czym pan do nas przyjechał, panie Sławku?

Gość: Pociągiem! Jedna przesiadka na stacji Zduńska Wola Karsznice Południowe, druga klasa, pociąg relacji...

Redaktor: Dziękuję za relację! Spokojnie, panie Sławku. Pytałem zasadniczo: z czym pan tu do nas przybył?..

Gość: Aha, rozumiem pytanie! Z plecakiem. W nim: trampki na zmianę, szalik beżowy, czapka pilotka... O, tu leży koło mnie. Dobry placek!.. tfu! Pleczę! Pleczek!

Redaktor: Panie Sławku, to nieistotne. Widzów interesuje pańska przygoda!

Gość: Unikam przygód! Wie pan, redaktorze, naczytałem się o przygodnych znajomościach... Unikam przygód! Chociaż, prawdę mówiąc – leczenie jest bezpłatne, ale mimo to...

Redaktor: Muszę panu przerwać. Złe się wyraziłem. Chodziło mi o zdarzenie, które panu się przytrafiło, a które opisał pan w liście.

Gość: Wiem. Rozumiem pana redaktora pytanie i o co chodzi teraz. Z czym przyjechałem tutaj?

Redaktor: Właśnie! O tym miał pan nam się podzielić.

Gość: Na pół?! Wiem! Teraz rozumiem znowu! Co przywoziłem w plecaku? Szalik w kratkę, czapkę w grochy, tenisówki na zmianę...

Redaktor: Masz babo plecak! Tfu! Placek! Nie, dobrze – plecak! Stop, panie Sławku, program jest na żywo! Ludzie też do żywego poruszeni, publiczność się niecierpliwi...

Gość: Ale ja przecież już jestem! Zdążyłem, chociaż w drodze ta przesiadka w Zduńskich Karsznicach Południowej Woli...

Redaktor: Powoli, panie Sławku, powoli! Pan Sławek Węgielkiewicz, który przyjechał jako niezwykajny do programu „Sto jeden pytań w godzinie szczerego pulsu dnia”?

Gość: Nie! Sławek Koksiaček do programu „Dwa i trzy czwarte z jedenastu”!

Redaktor: Przepraszam państwa! Znów nawalił nasz redakcyjny komputer.

Gość: A może ktoś był nawalony, panie redaktorze?!

Roman Wyborski

RZECZ O MARII, NIE TYLKO GIERYMSKIEJ

Cześć należna w części pierwszej, czyli wstęp

4⁶ numer „Galerii” oraz okazyjne lipcowe spotkanie były poświęcone głównie osobie i piśmiennictwu śp. Tadeusza Gierymskiego. Ignorant w tej materii, w ratuszowej sali chłonałem wszelkie akcenty i anegdoty, oczekując kilku istotnych dla mnie wyróżników, w tym słowa o istnieniu żony, wówczas, gdy upubliczniano dramatyczne wątki rodzinne, w których, jak w przereklamowanej *Rodzinie* Beksińskich (jakoby *Ostatniej...*, co jest oczywistym nadużyciem), nie mogło przecież zabraknąć postaci Matki. Przykład ten byłby dodatkowo uzasadniony cytowanymi w „Galerii” listami Beksińskiego, w których sam Artysta podkreśla podmiotowość Zosi, żony i matki, w obronie Ich *patrimonium*. Do tak rozumianej „żoninej” podmiotowości warto w dalszym ciągu nawiązać.

Wracajmy do ratuszowej sali, gdzie czekanie na przywracanie „żon” okazuje się próżne. Zapytałem o szczegóły przyjaciela Jarka, nb. sprawcy mojej aktualnej afiliacji do galeryjnego środowiska. Niestety, i tu wszechwiedza Kapsy okazała się fragmentaryczna, aczkolwiek dzięki niej na cmentarzu św. Rocha dało się odszukać grób (21,9,28) Jego, czyli Ich. Maria, dopisana nie złotymi literami jak małżonek „Poeta”, zmarła w maju tego roku, a w tymże lipcu obchodziłaby 88 urodziny. Najpierw jednak uważniej przeglądałem teksty w *Galerii* i zaglądałem do jedyne go w czytelnicy „Biegańskiego” tomiku Poety *Rosa i rdza* (z 1982 roku (!?); *Rysa* byłaby może bardziej naonczas adekwatnie „poetycka”). Autor dedykuje żonie – bezimiennej (!) – sześć linijek bez tytułu, którym mogłoby być pierwsze słowo, trzykrotnie powtórzone *stąpalem...* Paradoksalnie dwóm paniom R., Helenie i Wandzie, dedykowano całostronicowe, zatytułowane strofy. Oczywiście, żaden hermeneuta nie wyłowi z semantycznych głębi, ile intymnej osobowości Marii odkodowałoby się w strofach Jej Tadeusza. Aliści poeta młodszy, Frania – poetycko nieledwie usynowiony Arek, sądząc po *Galeryjnych* emocjach i proporcjach – w dwóch tekstach i przy okazji jednego przypadkowego spotkania w kawiarni zauważa obecność żony obok Starego Poety: *był z żoną, godzinę wcześniej odebrał wypis ze szpitala, żona odebrała starego poetę* (s. 32); *był razem z małżonką, której poświęcenie i troska oddalały ostateczną zgubę, totalny krach duszy i jej prześlad na rzecz demona* (s. 36); Przed kawiarnianym nawiasem – *alkohole i kobiety, używki* (!?!), które Frani albo mężowi Marii ułatwiałyby swoistą pogardę dla nietrzeźwych pozamałżeńskich amatorów oraz powyższy hołd dla matrymonialnej *caritas*, którą chyba przepaść dzieliła Marię od kobiecej zgody na utylizację, podobnie jak mnie od piewców onych używek. Tyle tytułem gorzkiego uzupełnienia i wstępnego wytłumaczenia się z powyższego tytułu.

Dlaczego uparłem o Marię upominać się, na dodatek w sierpniu krajowo przyznanym Marii Częstochowskiej? W tej samej ratuszowej sali na początku lipca padało wiele „kobiet” słów z przyczyny znakomitej książki Kapsy, przywracającej stuletniej fecie i pamięci postaci oraz postawy – dziś poprawnościowo powiada się *kontrowersyjne* – znakomitych pań początku XX wieku. Gdy w niektórych głosach zgłoszono troskę o prawdziwe lub tak zwane równouprawnienie, pozwoliłem sobie upublicznic wzorcowy tegoż przykład z... cmentarza powązkowskiego, który dość regularnie nawiedzam, w tym ostatnio grób śp. Władysława Bartoszewskiego, m.in. mojego byłego ministra S. Z. Na pomniku jest także wypisana – obok męża, bez daty – żona Zofia. Pod jednym i drugim ten sam podpis „żół-

nierz AK". Jedna, najwyższa wartość życiorysu! A może po prostu w pokornej (za)dumie *warto być przyzwoitym?* Czego nie dowodzą inne pomniki upstrzone tzw. tytułami... doczesnej chwały...

Tego samego dnia, gdy odkrywałem częstochowski grób Gierymskich, na urokliwym cmentarzu salwatorskim (na którym, z ostatnio pogrzebanych, nawiedzam m.in. śp. Andrzeja Wajdę) chowano śp. Marię Dzielską, pośmiertnie – a więc jakby za późno – z Orłem Białym. W potoku mów pogrzebowych wzniośle banalnych – dodajmy, przez moment (Leszek Długosz) szczerze poetycko czułych – tylko w jednej przypominano postać przedwcześnie zmarłego śp. Mirosława – męża i ojca, nie tylko krakowskiego guru pozytywistów lat osiemdziesiątych, realnie – mimo stanu wojennego – lejących myślowe fundamenty pod wolną Polskę, której nie doczekał. Trzydzieści lat później ani śladu, ani słyhu... Więc płcio-wo niepamięć (nie)działałaby w obie strony.

Pozostaje więc upominanie. Upominanie Się. Upominanie kogoś i Się o kogoś. Najpierw dla pamięci, i tej nagrobkowo świętej, i docześnie uczciwej. To byłoby najpierw owo podmiotowe znaczenie „Się”: jest ono i ponad-Stachurowe, i metafizyczne, i pozagrobowo sprawcze, i eschato- czy teleo- logiczne. Są dwa groby, teraz męskie, z czasem rodzinne, jak dotąd jedyne w tzw. alei zasłużonych cmentarza komunalnego, śp. śp. Krzysztofa Pośpiecha i Adama Banaszkiewicza. Na płycie przyjaciela Krzysztofa *Czekaj. Przyjdę na pewno... żona*. Na płycie Adama *Moje oczy ujrzały Twoje zbawienie*, w podpisie Łk 2.30, chociaż mogłby również brzmieć *żona*, biblijna niewiasta pobożna, ufna, jak żona Krzysztofa, w tamtą szczęśliwą dla Obojga nieskończoność. Taką wiarę miał za życia Wojciech Kilar, stawiając na przebogatym w znaczące postacie katowickim cmentarzu przy ul. Sienkiewicza piękny pomnik swojej Barbarze, ku której szybko pospieszył. Narzuca Się dygresja transcendująca tamtą ponadcmentarną metafizykę matrymonialną. Pierwsza, muzyczna: oprócz wspomnianej Barbary po wielokroć podkreślano podmiotowość pań Góreckiej (nb. śp. Henryk Mikołaj leży nieopodal...), Lutosławskiej i Pendereckiej (by wymienić tylko najmocniejszy w dziejach karteł XX-wiecznych kompozytorów) w procesie twórczym, odtwórczym i promocyjnym muzycznych dzieł i arcydzieł sławnych małżonków. Druga, malarska: pochowany nieopodal Jerzy Duda-Gracz podarował Jasnej Górze i Częstochowie wiele mówiące obrazy pt. *Golgota*; na jednym z nich – „stacja VI, Weronika” – żona Wilma – *vera ikon?* – na obrazie pielęgniarzkiego uosobienia *poświęcenia i troski*, na innym – „stacja IV, Matka” paradoksalnie córka Agata z wieloma „cudownymi obrazami” Marii, którymi bodaj zajęła się w studenckiej pracy dyplomowej.

Nie tak rzadko dopiero ceremonia pogrzebowa i stosowna tabliczka przypomina, że np. śp. Wisława z d. Szymborska to nadal małżonka Włodek, zaś śp. Maria Kaczyńska to jednak Mackiewiczówna; ba! nawet i po stu latach, gdzie tylko Się da, Polacy powinni podkreślać, że podwójna noblistka to Maria Skłodowska, *epouse* Curie, co nie powinno przeszkadzać zadumie nad losami progenitury, które w jednej osobie kolejnego pokolenia połączą nazwiska męża i kochanka: Curie-Langevin. Zresztą coraz częściej europejskie akta stanu cywilnego dzieci splatają razem nazwisko matki i ojca, co jest słusznym zapisem genowej tożsamości, ale też epidemii tzw. rodzin *pacłorkowych, rekomponowanych*, i jak by jeszcze ładniej (?) nazywać ów cywilizacyjny rozkład, nawet uwiąd.

Zatem publiczną tożsamość osób cechują i zarazem odróżniają nazwisko i... owo-jeszcze-Coś. Nie, nie będzie mowy o rodzimej tytułomanii, najczęściej idiotycznej i protokolarnej pokracznej. Nie będzie też już więcej o nagrobkach, chociaż akurat kwatery 21 na św. Rocha zebrala w ósmym i dziewiątym rzędzie (do siebie „plecami”) z dala widocznymi wielkimi literami pierwszą *prima inter pares* „Poetkę” (Poświatowska) i rzeczzonego „Poetę”.

Być może do takiego napisu aspirowałby niegdyś sam Tadeusz Wrona, ostatnio autor *Słów i definicji*, którymi częstochowski czytelnik mylnie chciałby pojąć meandry samorządności „duchowej stolicy” w interpretacji jej prawdziwego twórcy i w końcu niechcianego (ewangeliczne *przyszłł do swoich...*) prezydenta. Bynajmniej. Okazuje Się, iż pod tym tytułem dr inż. Wrona, a prywatnie Tadeusz, zbiera wiersze, które m.in. dedykuje żonie Elżbiecie, a których literackie wartości uzasadnia inna Elżbieta, profesor Hurnikowa. Przypomina Się inna piękna para, Zysia i Jadziuni (tak do siebie mówili), rodziców m.in. Bronka, czyli prezydenta RP Komorowskiego; swoje wiersze śp. profesor Zygmunt (a mój, przez rok, ambasador) zadedykował właśnie Jej, *swojej beduińskiej królowej*, zaś nas z żoną Marią spotkał zaszczyt wtórnej odręcznej dedykacji. W takim kontekście nie mogę nie wspomnieć dedykacji w geście iście poetyckiego podziękowania posła Wrony na egzemplarzu *Pana Cogito* (nb. właśnie w nieocenionej radiowej dwójce archiwalnie czyta TO sam Autor): niezwykle w świecie polityki okaz niezwołnienia od myślenia tropem prawdziwie wymagającej poezji.

Wymagający szczególnej uwagi, zwłaszcza w sierpniu, jest też *topos*, miejsce milionowej *syntagmy*, których Maria jest jedynym sprawcą, a Jej „stolica duchowa” ogniskiem. Chodzi oczywiście o młodocianą nazaretańską Matkę najsłynniejszego w dziejach boskiego Jedynaka, przy poczęciu Którego *ogniem miłości pałała* (jak śpiewa Się – ten i ów codzien- nie! – w *Godzinkach*, niezrównanej i zarazem niedocenianej poezji śpiewanej), aczkolwiek z nikłym udziałem w tym akcie jej męża zwanego też oblubieńcem (?), Józefa Dawidowica. Tu wypada zgłosić pobożnym Pielgrzymom i duchownym Teologom pokorną prośbę o – i wiarę w – wybaczenie pozytywnie (może zbyt...) świeckiej interpretacji faktów i osób religijnych.

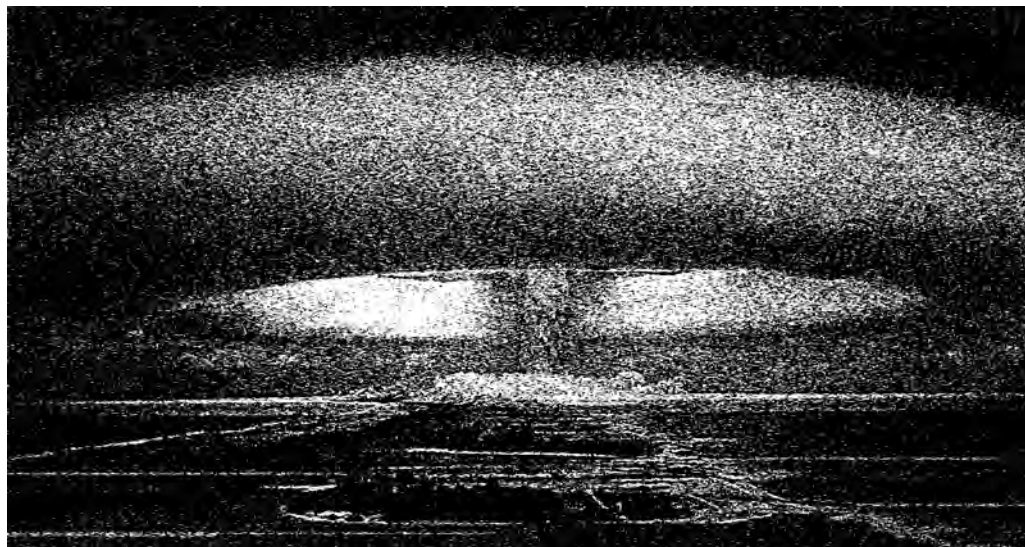
Nasylenie kobiecością tego imienia nie uzyskało w kulturze odpowiedniej rangi pojęciowo-interpretacyjnej, do czego przybliżyłyby rozważania takich biografii jak Sienkiewicz *Marie Jęgo życia*. Tu godzi Się zauważyć literackie wartości, nawet poetycki wydźwięk co najmniej fragmentów listów Noblisty do swych żon (w serii Biblioteki Narodowej, nb. wyprzedawanej (!) na stoiskach dworcowych, także w Częstochowie), które nie weszły, niestety, do kanonu obowiązkowej antologii. W końcu należałoby także upomnieć Się o rzetelne studia porównawcze (w stosunku do nacji europejskich i katolickich) nad proporcjonalną dominacją tego imienia w polskich rodzinach pokoleń XIX- i XX-wiecznych.

Poprzedni i debiutujący mój tekst w rubryce *Szkice, Eseje...* Pani Redaktor była łaskawa „promocyjnie” nazwać *felietonem*. Być może nie spełniał on rodzimych wymogów *eseju*, ale był przemyślaną *próbą* (takim właśnie tytułem Boy genialnie spolszczył mistrza Montaigne’a, dodam: mojego w oryginale renesansowego mistrza) uchwycenia lokalnych znaczeń i zakłóceń znaczeń kilku łacińskich fundamentów cywilizacji, m. in. *gaudium* i *sacrum*. Powyżej została podjęta próba obrony Marii, pojedynczej i mnogiej, tych realnych w mariażach i symbolicznych w mirażach (*fr. mariage/ mirage*), po polsku mrzonkach, m. in. o małżonkach.

PS. Już po ostatniej kropce w naszej „Iluzji” dwa filmy przypomniały kilka zapomnianych nazwisk pilotów „dywizjonu 303”, a data dzienna 30 sierpnia – pierwszego w tej wojnie „szkopa” zestrzelonego brawurowo – przeciw Anglikom – przez Paszkiewicza, (za miesiąc, niestety, śp.), jakby dla uczczenia rocznicy 1. września. Więc autorowi wypada upominać Się, w duchu tekstu, o losy chyba jedynej w Kraju polskiej żony, Marii z d. Piwnickiej (nb. córki Marii z Łubieńskich, a także o ich córeczkę Marię Marcelinę, zmarłą na błonicę w 1941 roku), „żołnierza AK” m.in. w powstaniu, przez drugą połowę życia szymanowską siostrę niepokalaną imieniem Augustyna.

Tomasz „Aztenty” Barański

CO BY BYŁO, GDYBY... BYŁA WOJNA ATOMOWA?



Zyjemy w czasach długotrwałego pokoju (co w przypadku Polski graniczy z cudem). Skończyła się nawet zimna wojna (co nie oznacza jednak, że zagrożeń zewnętrznych nie ma). Kupujemy np. takie rzeczy jak gwoździe, przejmujemy się skoliozą u młodzieży, a przecież w przypadku jakiegokolwiek wojny wszystko to mogłoby runąć jak domek z kart (a co dopiero powiedzieć o wojnie atomowej?). Niestety, różne wróżby i przepowiednie są bezlitosne i stanowczo przewidują trzecią wojnę światową. Prawdopodobnie nawet kosmici (!) twierdzą, że tak przebiegać ma nasza ewolucja. Ja się takiej wojny nie obawiam, gdyż zgromadziłem tyle książek i filmów (DVD), że mogłoby mi ich wystarczyć na kilka lat przebywania w schronie – pozostałby tylko problem agregatu prądotwórczego do oświetlenia i uruchomienia adekwatnego sprzętu (RTV). Cóż – są to wyznania humanisty...

Co wiemy o broni jądrowej, zwanej też atomową? Broń ta jest oparta na wykorzystaniu energii tkwiącej w jądrach atomu. Wyzwalanie się tej energii ma charakter wybuchowy. Wybuch jądrowy różni się od zwykłej eksplozji klasycznych materiałów wybuchowych, używanych dotąd do napełniania pocisków, bomb, a także stosowanych do ładunków minerskich (trotyl, dynamit i inne) zarówno siłą wybuchu, jak i innymi dodatkowymi czynnikami rażenia. Broń jądrowa ma niespotykaną do tej pory moc wybuchu. Bomba zrzucona na Hiroszimę miała moc 20 kiloton, czyli że moc jej wybuchu równała się mocy 20 tys. ton trotylu. Wybuchowi bomby jądrowej towarzyszy kilkusekundowy oślepiający błysk kuli świetlnej, potężny grzmot oraz – tworzący się z pary, pyłu i dymu – dużej wielkości „grzyb atomowy”. W miejscu wybuchu jądrowego powstaje olbrzymie ciśnienie, dochodzące do kilkudziesięciu milionów atmosfer. Sprężone pod wysokim ciśnieniem powietrze rozprzestrzenia się od środka wybuchu z olbrzymią ponaddźwiękową prędkością. Warstwa przesuwającego się sprężonego powietrza rozchodzi się we wszystkich

kierunkach i napotykając po drodze różne przedmioty (drzewa, domy itd.), niszczy je, a znajdujące się w dalszej odległości – uszkadza. Ten bardzo groźny czynnik rażenia broni jądrowej nazywa się „falą uderzeniową”. Na falę uderzeniową przypada około 50% całkowitej energii wybuchu jądrowego, dlatego wpływa ona decydująco na rozmiar zniszczeń. W momencie wybuchu bomby wytwarza się olbrzymia temperatura dochodząca do milionów stopni Celsjusza. Promienie ciepłe, rozchodzące się we wszystkie strony, wywołują pożary lasów, zabudowań i sprzętów oraz powodują oparzenia i oślepienia ludzi i zwierząt. Zjawisko to nazywa się „promieniowaniem cieplnym”. Promieniowanie to rozchodzi się z prędkością 300 tys. km/s., zależy od mocy wybuchu i trwa od kilku do kilkudziesięciu sekund. Im dalej od miejsca wybuchu, tym jest mniej odczuwalne.

Wybuchowi jądrowemu towarzyszy również niewidzialne „promieniowanie przenikliwe”, będące wynikiem reakcji zachodzących w substancji ładunku jądrowego. Czas tego promieniowania wynosi około 15-20 sekund od chwili wybuchu. Człowiek, który w chwili wybuchu nie jest odpowiednio zabezpieczony – po pewnym czasie, w niektórych cięższych przypadkach nawet po 2-3 tygodniach zaczyna chorować. Chorobę tę charakteryzuje ogólne osłabienie, mdłości, zawroty i bóle głowy, podwyższona temperatura ciała, a nawet krwotoki. Jest to choroba popromienna. Jej przebieg i skutki uzależnione są od dawki promieniowania, jaką pochłonie człowiek. Pochłonięcie bardzo wysokiej dawki daje objawy natychmiastowe i powoduje śmierć.

Widoczny w miejscu wybuchu grzyb atomowy składa się z cząstek gleby, pyłu, pary wodnej, cząsteczek stygnących gazów. Cząstki te są skażone substancjami promieniotwórczymi i same stają się źródłem promieniowania. W postaci obłoku niesione są pod wpływem wiatru na odległość setek kilometrów. W zależności od wagi, cząsteczki opadają kolejno na tereny i obiekty znajdujące się na drodze przesuwania się obłoku i powodują skażenie. Ten czynnik rażenia nazywa się promieniotwórczym skażeniem terenu. Występuje ono przede wszystkim przy wybuchu naziemnym. Jeśli pył promieniotwórczy osiadnie na ciele człowieka lub z wodą, pokarmem czy powietrzem, dostanie się do żywego organizmu, wywołuje – podobnie jak promieniowanie przenikliwe – chorobę popromienną.

W związku z powyższymi informacjami powstaje pytanie jak (albo czy w ogóle), można chronić się przed skutkami wybuchu jądrowego? Otóż broń jądrowa posiada niezwykle siłę niszczącą. Skutki działania poszczególnych czynników rażenia zależą przede wszystkim od mocy ładunku oraz odległości od centrum wybuchu. Istnieje jednak jeszcze inna zależność, warunkująca skutki rażenia broni jądrowej. Ta zależność to umiejętność wykorzystania przez człowieka naturalnych i specjalnie zbudowanych lub przystosowanych ukryć oraz innych środków ochrony organizmu, wody, żywności, paszy itp. przed działaniem fali uderzeniowej, promieniowaniem cieplnym i przenikliwym oraz przed skażeniem promieniotwórczym. Najpewniejszym miejscem zabezpieczającym przed działaniem fali uderzeniowej są specjalne budowle ochronne; schrony, ukrycia zabezpieczające (wzmocnione podpiwniczenia budynków, garaże, przejścia podziemne, wyrobiska) i szczeliny przeciwlotnicze. W warunkach zaskoczenia przez napad powietrzny należy wykorzystać naturalne osłony, zagłębienia i ukrycia terenowe. Zupełnie tak, jak w określonych warunkach, gdy człowiek musi chronić się przed nadmiernym ciepłem – w czasie upałów szuka cienia, chętnie zakłada okulary przeciwsłoneczne – wszystkie te zasady stosowane przez człowieka przed zbyt mocnym promieniowaniem słonecznym i nadmierną temperaturą mają również zastosowanie przy ochronie przed promieniowaniem cieplnym.

Lekarz, który stale pracuje przy aparacie rentgenowskim, nosi specjalny ubiór, chroniący go przed promieniami Roentgena, a pomieszczenia, w których znajduje się aparat – są osłonięte specjalnymi płytkami, nieprzepuszczającymi tych promieni. Również pracownicy elektrowni atomowych, instytutów naukowych i zakładów, których działalność opiera się na wykorzystaniu substancji promieniotwórczych, są odpowiednio zabezpieczeni. W przypadku więc zauważenia błysku wybuchu jądrowego, trzeba natychmiast znaleźć odpowiednie zabezpieczenie, należy ukryć się. Każdy przedmiot, za którym się ukryjemy, zmniejsza, zatrzymuje i pochłania śmiertelne promienie.

Największym zasięgiem działania charakteryzuje się promieniotwórcze skażenie terenu. Jest ono groźne nawet w znacznym oddaleniu od miejsca wybuchu. Niesione przez wiatr skażone cząstki pyłu są cięższe od powietrza, opadając skażają wodę, domy, pola, ludzi i zwierzęta. Jest ono groźne tym bardziej, że brak jest zewnętrznych objawów, świadczących o występowaniu takiego skażenia. Najpewniejsze zabezpieczenie daje schron lub inne szczelne ukrycie przystosowane do ochrony przed opadem promieniotwórczym. Ale gdy w chwili wybuchu jesteś w budynku, należy: natychmiast upaść na podłogę, twarzą do ziemi, najlepiej przy zewnętrznej ścianie albo między meblami. Chronić głowę rękami. Jeśli znajdujesz się na ulicy, na drodze lub w polu – nie patrz w stronę wybuchu, schroń się za najbliższą zasłoną (mur, nasyp, kopiec), w rowie lub zagłębieniu terenowym. Padaj na ziemię zawsze stopami w kierunku wybuchu, osłoń głowę rękami. Z kolei po wybuchu, kiedy przejdzie fala uderzeniowa – nałóż środki ochrony dróg oddechowych, które zabezpieczają przed skażeniem promieniotwórczym; może to być maska przeciwgazowa, maska przeciwpyłowa albo tampon. Nałóż środki ochrony skóry (czapka, ubranie, płaszcz, rękawice, pończochy. Zdejmij środki ochronne dopiero w miejscu bezpiecznym i poddaj się zabiegom sanitarnym. Spożywaj żywność i napoje, które były odpowiednio zabezpieczone przed skażeniem. Podporządkuj się bezwzględnie organom wyznaczonym do utrzymania porządku.

Wszelkie te przestrogi i wizje są jedynie omówieniem najbardziej klasycznej wersji ataku jądrowego. Współcześnie istnieje już ogromna liczba odmian działania broni jądrowej – jak chociażby jej nowsza wersja (choć również licząca już kilka dobrych lat) – broń neutronowa. Nowość i okrucieństwo tej broni polega głównie na zwielokrotnieniu promieniowania, przy niewielkim zniszczeniu innych obiektów.

Na zakończenie tej ponurej historii nadmienię tylko, że do współczesnych środków rażenia, oprócz broni jądrowej, zalicza się także broń chemiczną i biologiczną, mogącą uśmiercić lub przynieść ogromne zniszczenia dziesiątkom i setkom tysięcy ludzi, są poza tym również bomby lotnicze, pociski raketowe i artyleryjskie z ładunkiem o działaniu burzącym, zapalającym itp. Ich działanie jest także bardzo groźne. Bombardowania przeprowadzone w czasie II wojny światowej spowodowały śmierć milionów ludzi – dzisiaj środki te zostały nieporównanie bardziej udoskonalone pod względem siły rażenia, jak i zasięgu działania – o czym przekonały nas wojny w Kuwejcie, Iraku czy byłej Jugosławii.

Wobec czego odwracam głowę w kierunku okna, za którym pięknie świeci słońce, a następnie wychodzę z domu i na pierwszym napotkanym trawniku rozkładam koc... i czuję, że wybrałem pokój na Ziemi.

Wykorzystano:

T. Pióro, *Broń jądrowa: (geneza – działanie – skutki)*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1971.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

POGRZEBY



I

„Sroga śmierci, to ty
Umiesz ugodzić”
(Jan Kochanowski)

Beznadziejny tragizm śmierci towarzyszy człowiekowi od czasów najdawniejszych. Przepelnia człowiecze myśli lękiem, buntem. Motyw nieuniknionego kresu ludzkiego żywota pojawiał się w literaturze bardzo często, choćby w anonimowej *Skardze umierającego*. Konający człowiek doznaje nie tylko cierpień cielesnych, ale jest też pełen niepokoju o przyszłość swej duszy:

„Leży ciało, barzo stęka,
Duszyca się barzo lęka,
Bog się s liczby upomina,
Diabeł na grzechy wspomina”.

Los duszy w zaświatach, różnie przecież wyobrażanych, przerażał, zwłaszcza pewnie z powodu wizji sądu za grzechy przed Bogiem lub, wedle innych wierzeń, bogami. Czy zatem wystarczającą pociechą mogła być, jak pisał Kochanowski, taka myśl?

„(...) słusznie się zły człowiek śmierci boi,
Ale się jej dobremu lękać nie przystoi”.

Ludzie starali się, co znów świetnie uchwycił Kochanowski, odsuwać od siebie myśl o nieuchronnym zgonie, szczególnie wówczas, gdy zdrowie sprzyjało i los był łaskawy:

„(...) póki wełny skąpej prządce zstaje,
Śmierć nam za jaje”.

Kiedy jednak ciężka niemoc znaczyła czyjś żywot, trudno było nie myśleć o ulotności, nietrwałości spraw doczesnych. Trapiiony nieuleczalną chorobą (błędy młodości), przedwcześnie zmarły Charles Baudelaire, całe życie szokował swym wyglądem i zachowaniem, albowiem pragnął być wyjątkowy. Podlegał nieopanowanym wybuchom złości, ubierał się ekscentrycznie w śmieszny fraczek, nosił bladoróżowe rękawiczki, ogromny krawat w kolorze byczej krwi, a włosy malował na zielono. Rozmówców zwykł był przeszywać demonicznym spojrzeniem albo przerażał szatańskim śmiechem. Wiedział, że nie jest mu pisane długie życie, z goryczą tedy i dosadnie stwierdzał:

„W każdym miejscu i czasie Śmierć patrzy na twoje,
Dzikie, śmieszne podrygi, cudaczna ludzkości”.

Halina Poświatowska, zmagająca się od dzieciństwa z chorobą serca, równie szybko musiała myśleć o sprawach ostatecznych, o krótkości ludzkiego życia:

„kto potrafi
pomiędzy miłość i śmierć
wpleść anegdotę o istnieniu...”

Jeden z najbardziej tragicznych poetów staropolskich, Klemens Janicjusz, zmarł pokonany przez niszczącą go wiele lat puchlinę wodną, mając ledwie dwadzieścia sześć lat. W najśłynniejszym ze swych utworów, *O sobie samym do potomności*, w obliczu nadchodzącej śmierci zdobył się na bardzo osobiste wyznania:

„Ty, co pomyślisz o mnie i zapragniesz
Kiedyś, w przyszłości poznać moje życie,
Przeczytaj wiersze dyktowane śpiesznie,
Gdy mnie puchlina spychała w toń Lete”.

Widmo śmierci wpisane w ludzki los odbiera pełnię radości, sprawia, że nie chce się zabiegać o cokolwiek, skoro i tak bezlitosny w swych prawach czas wszystko przekreśli. Człowiek łudzi się jedynie pozorami szczęścia, zdrowia, miłości, jak stwierdza w wierszu *Żądza niebytu* Baudelaire:

„Stary koniu, co kroku nie dasz bez potknięcia:
Zapomnij górnych rojeń – zaśnij snem bydlęciał!
Zbity, schwacony duchu, maruderze stary,
Nie nęci cię już miłość, ni słowne turnieje (...)
Czas obojętnie chłonie mię z każdą godziną”.

Człowiek boi się też śmierci nagłej, samotnej, boi się spocząć w przypadkowej mogile. Daniel Naborowski po latach służby na dworach Radziwiłłów, w czasie których odbył wiele dyplomatycznych podróży (znał świetnie kilka języków), marzył, by śmierć nie dopadła go gdzieś w drodze, daleko od bliskich i kraju. Los okazał się łaskawy, odszedł w wieczność

żegnany przez rodzinę i spoczął w cichej mogile. W wierszu *Votum* przedstawił poeta takie właśnie pogodne pożegnanie ze światem:

„Ani go niespodzianie krwawa broń pożyła,
Ani go morska nagła nawałność okryła,
Ale swym błogosławiąc dziateczkom umiera,
A żona własną ręką oczy mu zawiera.
Tam go w grobie zielona mogiła nakrywa,
On już w cieniu podziemnym wiecznie odpoczywa”.

Nie wszystkim jednak dane było takie szczęście. Gorzkie rozważania o smutnym losie ubogich emigrantów, którym przyszło umierać i spocząć daleko od kraju, stanowi treść wiersza *Pogrzeb kapitana Meyznera* pióra Juliusza Słowackiego:

„Wzięliśmy biedną trumnę ze szpitalu,
Do żebraczego mieli rzucić dołu(...)
Wczora był pełny młodości i siły –
Jutro nie będzie nawet – i mogiły”.

Ludziom często, z różnych przyczyn, nie jest pisana spokojna mogiła. Może i własny los przeczuwał Cyprian Kamil Norwid, pisząc przejmujący wiersz *Coś ty Atenom zrobił Sokratesie*, bowiem i jego doczesne szczątki spokoju nie zaznały. Samotny, cierpiący z powodu niedowzajemnionej miłości, z wiekiem coraz bardziej chory (gruźlica, głuchota), umarł w nędzy w przytułku. Miał się za człowieka przekłętogo, któremu liczne talenty, jakimi był obdarzony, za życia nie przyniosły uznania:

„Coś ty Italii zrobił, Alighieri,
Że ci dwa groby stawia lud nieszczerzy,
Wygnawszy pierwej?”

Pełna grozy wizja śmierci, grobu, prowadziła często do załamań psychicznych, wielu ludzi prześladował strach przed pochowaniem żywcem (a przypadki takie się zdarzały). Podobny fakt dotyczył pono Mikołaja Gogola. Zmarły w wieku czterdziestu trzech lat pisarz, już parę lat przed śmiercią miewał halucynacje. Widział siebie duszącego się w trumnie, słyszał jęki pogrzebanych w letargu. Wymógł na przyjaciółach obietnicę, iż nie tylko złożą go do grobu dopiero po komisyjnym lekarskim stwierdzeniu zgonu, ale po dwóch dniach odkopią trumnę, by przekonać się, że zmarł rzeczywiście. Otwarcie grobu przedłużyło się do kilku tygodni. Pamiętający pierwotne położenie ciała stwierdzili, że szczątki były odwrócone.

Przeczuwając coraz bliższą własną śmierć, niektórzy ludzie próbują jakoś oswoić narastający strach. Baudelaire miał sen, który niósł szczyptę ukojenia:

„Miałem umierać – W duszy obok utęsknienia
Walczyły z sobą radość oraz lęk opaczny;
Z drżeniem w duszy czekałem śmierci jak zbawienia (...)
W pożądaniu i grozie ku kresom istnienia
Rwałem się sercem całym w tęsknocie rozpacznej”.

Bliską swą śmierć przeczuwał także Juliusz Słowacki: „czuję, że niezadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi” – zanotował w *Czarnych kwiatach* Norwid, wspominając „ostatnie rozmowy z osobami, co już w niewidzialny świat odeszły”. Pogodzony chyba z nadchodzącym kresem, dokonał Słowacki pięknego podsumowania życia, które jak mgnienie przeminęło:

„Daję wam tę ostatnią koronę pamiątek
I też, i dawnych moich nadziei koronę...
Dawniej myślałem rzeczy uczynić szalone (...),
Lecz mi teraz wystarczy mały ziemi kątek,
Gdzie w deskowej się zawrę muszli i utonę...”

II

„Ktoś umarł... Kto? (...)
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś
Pogrzebie”.
(Leopold Staff)

Powinnością żywych już od pradziejów było zorganizowanie pochówku tym, którzy już odeszli do wieczności. Obowiązek ów podyktowany był nie tylko pietyzmem dla zmarłych, ale nade wszystko lękiem. Mniemano, że zmarli zazdroszczą pozostającym na ziemi, starano się przeto zjednać lub obezwładnić duchy, by nie szkodziły żywym. Służyły temu rozmaite rytuały, składanie darów, zaklęcia, wyprowadzanie ciała nogami do przodu, czasem nawet oknem, nie drzwiami, by nieboszczyk nie odnalazł drogi do domostwa, zakrywanie twarzy, by nie rozpoznał krewnych, nie straszył ich lub, co gorsza, nie pociągnął za sobą do grobu.

Powszechnie wierzone, że dusza czas jakiś błąka się obok ciała, dlatego ważną rolę odgrywało światło ognisk czy świec, przy którym dusza mogła się ogrzać, łatwiej trafić w zaświaty i ująć demonom, które w drodze do wieczności mogły nią zawładnąć. W niektórych regionach w czasie stypy ustawiano też krzesło dla zmarłego i kładziono ręcznik, panowało bowiem mniemanie, że dusza pojawia się wówczas, zasiada na krześle, przygląda się biesiadującym, bardzo płacze, potem ociera łzy ręcznikiem i znika na zawsze.

Na ziemiach polskich każdej jesieni obchodzono święto Dziadów (określane też jako „pusty wieczór”). Na żalnik przynoszono wtedy jadło i napoje, palono ognie, a kapłan-wróż, wrzucając w płomień okruchy jadła, wywoływał imiona i przydomki zmarłych, którzy na tę noc stawać się mieli podobni do żywych. Przypomina się natychmiast dramat Mickiewicza i Guślarz, który przyzywał:

„Czyścowe duszeczki! (...)
Zstępujcie w święty przybytek,
Jest jałmużna, są pacierze,
Jest jedzenie i napitek”.

Niezmiernie ważne było też czuwanie przy zwłokach, zwłaszcza w nocy, by złe moce, wtedy najbardziej aktywne, nie miały przystępu do zmarłego. Śpiewano pieśni, odmawiano modlitwy, wspomniano tych, którzy odeszli, przepijano za spokój duszy. Nocne czuwanie jednoczyło żyjących, pozwalało im zadumać się także i nad własnym losem. Odprawienie takiego obrzędu było życzeniem Juliusza Słowackiego:

„Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą (...)
 Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
 I zapiją mój pogrzeb – oraz własną biedę”.

W czasie pochówku dużą wagę przywiązywano do wygłaszania mów ku czci zmarłego, głośnych lamentów. Powstawały też wierszowane wspominki, na podobieństwo choćby napisanego po śmierci Dobrogosta Sobockiego:

„Zło, niezbędna śmierci, com ci takiego
 Uczynił, żeś mię wzięła w poli wieku mego?
 Wzięłaś mię tak prędko, iż się zdziwił każdy,
 Napłacze się nie jeden po mej śmierci zawždy”.

Wielu narodom przez wieki wspólny był zwyczaj palenia ciał zmarłych, a ponieważ wierzono, że dusza prowadzi w zaświatach żywot podobny do ziemskiego, przeto należało wyposażać nieboszczyka na tę ostatnią drogę w rzeczy, które służyły mu w czasie ziemskiego bytowania. Początkowo zwyczaj był wyjątkowo okrutny, bowiem ze zmarłym żywcem płonęły żony, słudzy, zwierzęta. W Litwie rytuał ów zachował się aż do czasów przyjęcia chrześcijaństwa, o czym przekonuje opis pogrzebu księcia Kiejstuta:

„(...) wedle zwyczaju ojczystego pogańskiego zgotowali wszystkie potrzeby do palenia ciała (...) ubrawszy go we zbroję i szaty książęce, z szablą, włócznią i sajdakiem, ułożyli go na stos drew, a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego, (...) parę chartów, sokołów i wyźłów, paznokcie rysie i niedźwiedzie, trąbkę myśliwską; potem, uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary (...) zapalili on stos drew smolny (...), popiół potem i kostki wypalone zebrawszy, w trumnie pochowali”.

Paznokcie, nie tylko zwierzęce, ale i własne, odgrywały w wielu wierzeniach istotną rolę. W drodze w zaświaty ułatwiać miały wspinaczkę, pozwalały obronić się przed demonami. Obcięte własne paznokcie należało gromadzić w woreczku, rodzina, składając zmarłego do trumny, włożyć je powinna za pazuchę. Wierzano bowiem, że z lekkomyślnie wyrzuconych paznokci diabły robią sobie czapki niewidki i Bóg nie może ich razić piorunami. Mniemano również, że w bociany zmieniają się dusze tych, którzy paznokci nie zabrali ze sobą i w ptasiej postaci powracają na ziemię, by je odszukać i wydziobać.

Kształt ceremonii pogrzebowych w znacznej mierze zależał od pochodzenia, wieku czy pozycji społecznej nieboszczyka. Pogrzeby wielkich wodzów, bohaterów, przebiegały podobnie do wizji, jaką w znanym wierszu stworzył Cyprian Kamil Norwid:

„Wieją, wieją proporce i zawiewają na siebie,
 Jak namioty ruchome wojsk koczujących na niebie,
 Trąby długie we łkaniu się zanoszą”.

Szczególnie okazałe były pochówki monarchów. Ciało zmarłego Władysława Jagiełły spoczywało w kościele na katafalku szkarłatem okrytym (w pogrzebach królów szkarłat miał znaczenie żałobne), płonęły olbrzymie świece, a Paweł z Zatora, najśłynniejszy wówczas kaznodzieja, wygłosił mowę tak wzruszającą, że wszyscy rzewnie płakali.

W kondukcie pogrzebowym po zgonie Zygmunta Starego znalazło się trzydzieści par mar żałobnych okrytych złotogłowem. Przed marami, na których ciało króla wieziono, jechał Jan Tarło w kirysie, mając miecz goły przed sobą. Za ciałem szedł Zygmunt August prowadzony przez posłów cesarskich, za nim Bona, podtrzymywana przez księcia pruskiego i margrabicza brandenburskiego.

Pochówki magnatów dorównywały przepychem królewskim. W uroczystościach pogrzebowych Józefa Potockiego, hetmana wielkiego koronnego, wzięło udział blisko dwa tysiące duchownych rozmaitych wyznań, ze stu dwudziestu spiżowych armat dziedzicznych aż przez dni sześć rozlegały się wystrzały.

Wyjątkowo skromny był jedynie pochówek Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła (tego, który odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej). Kierowany chrześcijańską pokorą kazał się ubrać do trumny w ubogą sukmanę, zabronił wszelkiej okazałości, katafalków, iluminacji.

W szczególny sposób żegnano zmarłych bezpotomnie ostatnich męskich przedstawicieli wielkich rodów. Zwyczajem było wieszać nad ich grobem miecz, jak miało to miejsce po zgonie Jana Klemensa Branickiego, z rodu Jaksów.

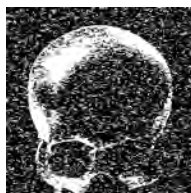
Warto jeszcze wspomnieć pogrzeby żołnierskie, co, spisując obyczaje doby saskiej, utrwalił Jędrzej Kitowicz, wieloletni proboszcz w Ruszczycy:

„Każdemu nieboszczykowi trzy razy wystrzelano na cmentarzu, po spuszczeniu trupa (...) do grobu, a potem, za głosem komenderującego, przyklękawszy na jedno kolano, zprawiano pacierz za duszę nieboszczyka jeżeli był katolik, jeżeli był dyssydent, nie mówiono pacierza, który dyssydenci za umarłych mają za niepotrzebny”.

Honoru strzelania pozbawiony był ten, co zginął w jakiejś „bitwie szalapuckiej”, a zabitym w pojedynku uroczystego pogrzebu w ogóle nie organizowano.

Wspominając w jesienne wieczory tych, którzy odeszli, warto przypomnieć sobie wiersz Haliny Poświatowskiej:

„jestem z upływającej wody
z liści które drżą
trącane dźwiękiem wiatru
przelatującego pośpiesznie...”



Wacław Kapsa

NIEPODLEGŁOŚĆ

(fragment wspomnień o wydarzeniach w Działoszycach w 1918 r.
w opracowaniu Jarosława Kapsy)

W lutym 1918 r. (...) nastąpiło oddanie Chełmszczyzny Ukrainie, z tego powodu społeczeństwo polskie protestowało. W Działoszycach też wyznaczony został dzień protestu. Kto dał takie polecenie, nie pamiętam, (...) była zamówiona msza w kościele parafialnym, a po nabożeństwie miał się odbyć pochód przez miasto pod pomnik Kościuszki. W tym dniu zrobiliśmy zbiórkę harcerzy, wspólny wymarsz do kościoła, a po nabożeństwie kazano nam iść pierwszym. Z POW-cami za nami, idziemy jak zwykle ulicą Zakościelną w dół do ulicy Kościelnej; naprzeciw domu Książka zastępuje nam drogę wojsko austriackie z żandarmem na czele. Żandarm krzyczy, żeby się rozejść; żołnierze stoją z bagnetami na broni, gotowi do ataku na ludzi, a nas maszerujących na przodzie ludzie pchają. Powstał wielki tłok, chłopaków prawie niosą przed sobą, a my przepychamy się między żołnierzami; za nami POW, za nimi cała masa ludzi, rozerwany został kordon żołnierski. Idziemy przez rynek do pomnika Kościuszki, tam nas ustawiają: harcerze na prawą stronę, POW na lewą. Wyszedł jakiś nieznany pan i zaczął przemawiać. Wtem ukazali się Austriacy z żandarmami, z bagnetami na broni. Żandarmi krzyczą: „rozejść się, bo będziemy strzelać”; chłopci nie wytrzymują tej prowokacji, rzucili się na wojsko i rozbili w mgnieniu oka. Wtedy Kazimierz Smaczny wołał: „ludzie, oddajcie broń, bo będziecie ukarani”. Chłopci zaczęli rzucać karabiny, a jeden z żołnierzy, kapral, podniósł karabin i na polecenie żandarma zaczął strzelać. Pierwszy padł Stefan Starkiewicz, ciężko ranny w pachwinę, zmarł pod domem Rychtera; drugi padł chłop z Chałupek – Lach, a potem trzeci, którego nazwiska nie pamiętam. Tak zakończyła się manifestacja w Działoszycach w lutym 1918 roku.

W trzy dni po tym pamiętnym dniu odbył się pogrzeb ofiar zaburzeń; ludności na pogrzebie było bardzo dużo. Austriacy się pozamykali w budynkach, gdzie stacjonowali, POW pozrywało druty telefoniczne, tak, że miasto było odcięte od świata na czas uroczystości pogrzebowych. (...)

Komendantem POW na Działoszycy był K. Nurkowski (późniejszy mój szwagier), znał mnie osobiście i lubił. Widział, jak szkoliłem harcerzy, więc jak się zgłosiłem, przyjął mnie zaraz i polecił mi zaznajomienie z bronią. Spadły teraz na mnie nowe obowiązki chodzenia na ćwiczenia POW do świetlicy, gdzie odbywała się nauka z bronią, władanie, ładowanie, rozbieranie, czyszczenie, poznawanie wszystkich części. O harcerzach nie zapominałem, nadal odbywały się zajęcia. Po jakimś czasie zostałem mianowany kapralem i została mi przydzielona poczta Obwodu POW; jednocześnie zostałem wyznaczony do Jakubowic na komendanta tamtejszej grupki. Normalnie chodziłem na zajęcia w Działoszycach, a w Jakubowicach przerabiałem musztrę formalną; zastępcą w Jakubowicach był K. Grelewicz. Znałem go jeszcze ze szkoły u Kaczergisa, gdzie razem bijaliśmy się śnieżkami, po zakończeniu szkoły chodził do nauki do ślusarza – mechanika Malinowskiego. Właściwie Grelewicz zorganizował ten oddział, była to drużyna wojskowa. Zbiórki odbywały się późnym wieczorem, musiałem chodzić z pistoletem w kieszeni. Ćwiczenia odbywały się daleko za Jakubowicami, na łączce nazywanej „septacem” (bo wypływało tu źródło i słychać było „sept” wody). Ćwiczyłem chłopaków jakubowskich do rozbijania Austriaków. A kto z nich poszedł do wojska, tego nie wiem; na pewno dwóch – Grelewicz i Molenda. (...)

W październiku 1918 roku zostałem mianowany komendantem poczty na Obwód POW. Do obowiązków komendanta poczty należało przyjmowanie poczty od kurierów oraz przesyłanie do okolicznych placówek wg rozdzielnika w całym obwodzie. Jednym z kurierów między okręgiem w Kielcach a Obwodem naszym była Peterkówna z Dzierążni, późniejsza żona Leona Kwapińskiego.



Działoszyce, kościół św. Trójcy

W dniu 1 listopada, w święto umarłych, poszedłem do kościoła i na cmentarz; po nabożeństwie wróciłem do domu, nie spodziewając się niespodzianki. Przychodzę do mieszkania, a w domu opowiadają, że była Peterkówna i pytała o mnie, zostawiła dużą paczkę papierów, powiedziała, że „będziesz wiedział, co z tym zrobić”. Przeglądam papiery, a w nich jest rozkaz Komendanta Okręgu płk. Norwida-Neugebauera¹, trzeba ten rozkaz odesłać do komendanta placówki „Działoszyce”, niech on wydaje rozkazy, a resztę wysłać do komendanta Obwodu i placówek. Komendantem Obwodu był por. „Rawicz”² późniejszy dowódca pułku 12. w Wadowicach. Reszta papierów w poczcie to ogłoszenia wzywające społeczeństwo polskie do broni i do rozbrajania Austriaków. Po przeczytaniu postanowiłem rozlepić te ogłoszenia po mieście (...) no i rozesłać pocztę, sprawa nagła, do rana muszą mieć świeże wiadomości, by wszędzie rozpoczęto działania jednocześnie. Wyszedłem na rynek, spotkałem któregoś z chłopaków i powiadam, że potrzebuję kilku odważnych i chętnych. Poleciał i przyprowadził St. Turossa, St. Kulczyckiego, T. Adamczyka, J. Sikorskiego, P. Staromiejskiego, St. Kabzińskiego, St. Żareckiego; zebrałem ich koło kościoła i mówię: chłopcy, mam ważne zadanie do wykonania, roznieść pocztę do sąsiednich placówek i rozlepić te ogłoszenia (...). Zdawałem sobie sprawę, że tak późną porą nie mogę wysłać chłopaków samotnych w drogę, ale obowiązek wzywał i nakazywał to robić. Więc zaryzykowałem. (...) Pytam się chłopców, który pójdzie na ochotnika. Pierwszy zgłosił się St. Tuross, podjął się iść na Bronowice-Szarbie i Skalbmierz; drugi zgłosił się Stefan Staromiejski z tym, że któryś drugi pójdzie z nim. Dziwiłem się chłopcom, że mają odwagę iść w taką noc, a było tak ciemno, choć oko wykol. Poszli w wieczór ciemny, mogli to tylko wykonać harcerze, poszli i wykonali należycie swój obowiązek obywatelski. Natomiast ja z pozostałymi chłopcami rozlepiłem ogłoszenia wzywające do broni. Powrócę tu do tych, co poszli do okolicznych placówek. Byli to chłopcy cisi, niczym się nie wyróżniający, rodziców mieli bardzo biednych, źle wychowani, zdawałoby się pogardzani przez zamożniejszych, skąd się u nich wzięło tyle patriotyzmu i poczucia obowiązku, to naprawdę dziw brał.

Na drugi dzień w mieście poruszenie, ludzie stoją grupkami, rozprawiają. Łapie mnie na rynku komendant placówki K. Nurkowski, nie czytał rozkazu, jaki mu wczoraj doręczyłem przez gońca, tylko odłożył do akt. Zaczyna mnie wypytywać, skąd, kto doręczył, jaka treść itd., pokręcił głową i poszedł. Wieczorem, kiedy zmrok zapadł, spotkałem chłopaków z POW placówki Działoszyce, na stacji kolejki wąskotorowej. Pamiętam, że byli z mieszczan: Ignacy Galiński, czeladnicy Grondkowski, Żaliński, Malinowski i Nowacki. Wartownia mieściła się w domu Markiewicza, zwanego Stachuńcem. (...) Jeden z żołnierzy stał na posterunku, a pozostali siedzieli na wartowni i grali w karty. Myśmy podeszli do domu od tyłu przez ogród. Galiński poszedł pierwszy, otworzył drzwi i wchodzi, a my za nim. Galiński łapie za karabin, my wykonujemy to samo, co on; karabiny są nabite ostrymi kulami, żołnierze wiedzą o tym. Krzyczymy na żołnierzy: „ręce do góry, poddajcie się!”. Żołnierze wiedzą, że jak nie podniosą rąk, będzie strzelanina, podnoszą ręce, jesteśmy rozgorączkowani. (...) Żołnierze zdają sobie z tego sprawę, rozpinają pasy, rzucają nam pod nogi, klną po czesku. (...) Żołnierza stojącego na warcie któryś z chłopaków rozbroił, polecił mu stać na posterunku tak długo, aż przyjdzie zmiana. Galiński dał rozkaz komendantowi wartowni, by nadal pilnowali magazynów, do odwołania, a my idziemy do miasta, z karabinami.

W jakiś sposób ludzie w mieście już wiedzieli, że rozbroiliśmy żołnierzy. Żydzi szybko zamykają sklepy i znikają z ulic, boją się tego, co będzie, że te niedowarzone pałki coś narobiły na mieście i bieda będzie. Ludzie, widząc nas uzbrojonych, uciekają przed nami,

a co odważniejsi witają nas wylewnie; cieszą się z tego, że polski żołnierz może się z bronią pokazać na ulicy. A dla nas zadanie: w pierwszym rzędzie zameldować komendantowi placówki, niech weźmie odpowiedzialność na siebie, ale wcześniej trzeba iść na pocztę i dowiedzieć się, co słychać na świecie. Od naczelnika poczty dowiadujemy się, że Kraków w tej chwili rozbraja Austriaków, więc nie my sami; cieszymy się z tego. Idziemy do komendanta placówki, łapiemy go gdzieś koło domu Książka i meldujemy, że rozpoczęliśmy rozbrajanie, że wartownia już jest rozbrojona, że teraz należy rozbroić posterunek żandarmerii na ulicy Chmielowskiej i wojsko w cegielni. Jakoby batalion piechoty stał w cegielni za miastem, a dowództwo zamieszkiwało w domu Meryna w rynku. Miano z nimi pertraktować, by dobrowolnie złożyli broń bez rozlewu krwi. Dowódca oddziału utrzymywał kontakty ze swoimi władzami i wiedział, że Austria rozlatuje się i nie ma potrzeby bronić umierającej monarchii. A nam dają znać, że z miasta wyprowadzają konie dla armii austriackiej zakupione u Żydów działoszyckich. Pobiegliśmy w ulicę Chmielowską, którą mają te konie prowadzić. Zdążyliśmy, prowadzą konie; jest ich około 120, na przodzie jedzie na bryczce oficer mówiący po polsku, widocznie jest Polakiem, zatrzymujemy go i polecamy jechać dalej bez żadnych protestów, a konie zawracamy nazad do stajni, zadać karmy, by nie stały głodne. Powstał problem, że konie trzeba żywić i pilnować, tak jak i całego majątku poaustriackiego, by nie rozkradano. Mnie wyznaczono do pilnowania koni w stajni pod Jakubowicami u Sendra Majtka.

Już drugiego dnia jest kilku dowódców naszego skromnego oddziału. Jest oficer z armii Dowbora-Muśnickiego Marjan Kabziński, zastępca jego Jan Zwoliński, sierżant z Legionów, komendant placówki Nurkowski. Książki J. i W. nie pełnią żadnej funkcji, kręcą się koło dowódcy jako adiutanci. Zawołali mnie do dowódcy, kazali osiodłać konia i pojechać do Dzierżni, powiadomić tamtejszą placówkę o rozbrojeniu Austriaków w Działoszykach. Pojechaliśmy we dwóch z Łakotą, pracownikiem urzędu gminnego w Drożejowicach; po przyjeździe do Dzierżni powiadomiliśmy komendanta placówki L. Kwapińskiego o zajściach w Działoszykach i poprosiliśmy go o pomoc w rozbrojeniu oddziału Austriaków, stojących w cegielni. Powróciliśmy z Łakotą do miasta, gdzie zastaliśmy małe zamieszanie; Austriacy mieli dość wojny, z chęcią zgodzili się na warunki złożenia broni, czekali tylko na decyzje swoich oficerów. Oficerowie radzili do wieczora, zgodzili się na złożenie broni pod warunkiem, że każdy żołnierz zabierze ze sobą koc, płaszcz i co ma na sobie. Na takie warunki zgodziły się obie strony i tego wieczora wojsko złożyło broń. Teraz trzeba było objąć służbę w całym mieście, nad całym majątkiem pozostawionym przez śp. Austrię, a to nie było łatwe zadanie. Nie było ludzi, żeby wystawić tyle posterunków, ile wymagało bezpieczeństwo miasta.

Rano żołnierze i oficerowie opuścili miasto, zostaliśmy sami. Żołnierzy skierowano do Krakowa, gdzie nastąpiła formalna demobilizacja wojsk austriackich. Tak skończyła niesławnie austriacko-węgierska armia i państwo, a na gruzach powstawało Niepodległe Państwo Polskie.

Nastały dni jednakowo podobne jeden do drugiego: służba wartownicza, pilnowanie magazynów zbożowych na stacji, magazynu cukru w rynku, broni w domku koło bożnicy oraz pilnowanie koni, karmienie ich i pojenie. Służba trwała 24 godziny na dobę, na zmianę co drugi dzień. W wolnych chwilach od służby mieliśmy ćwiczenia, przerabialiśmy regulamin służby wewnętrznej, musztrę formalną, władanie bronią itd.

Nie pamiętam, w którym tygodniu po rozbrojeniu Austriaków, pamiętam, że miałem służbę komendanta warty na rynku, gdzie mieściła się wartownia (...). Już zmrok zapadał, jak przyszedł dziadek i przyniósł poduszkę pod głowę; wiedział staruszek, że parę

nocy nie spałem. A za chwilę wpadł jeden z naszych żołnierzy, Wacek Miller, i powiada, że na końcu miasta, na ulicy Pińczowskiej, kręcą się jacyś podejrzani ludzie z bronią. Podałem komendę „Przygotuj broń”, a Wacka wysłałem do dowództwa. Wacek poleciał biegiem, jeszcze prędzej przybiegł nazad i mówi, że ci ludzie są na komendzie i naszych chłopaków rozbroili. Rozkazuję mojemu oddziałkowi maszerować za mną w stronę komendy; podeszliśmy pod dom Książka. Podałem komendę „w tyralierę rozsypać się”, sam stanąłem na rogu domu koło rynny ściekowej. Zauważyłem, że od domu, gdzie mieściła się komenda, wychodzą z sieni jacyś obcy ludzie, (...) zaniepokojony wołam donośnie „Kto idzie? Stać, ani kroku, bo będę strzelać!”. Wołanie moje nic nie pomogło, idą dalej w moim kierunku, powtarzam: „Stój, kto idzie?”. Stoję sam na rogu domu, a za mną stoi Ignacy Markiewicz (znany gołębiarz i złodziejaszek, jak się okazało później, był współnikiem bandy). Idący od komendy nie zatrzymują się, podają rozkaz moim chłopakom: „Ognia!” (...) Teraz daliśmy ognia, stanęli i ucichło wszystko, rozpoczęła się strzelanina obustronna. Nasi chłopcy strzelali, dopóki mieli naboje, a jak brakło, uciekli. Jak się obejrzałem, nie widziałem nikogo ze swoich chłopców, tylko Ignacego Markiewicza, stojącego z pistoletem w ręku. Oddaję jeszcze parę strzałów do nacierających, (...) uciekam do sieni domu Książka, (...) ktoś do mnie strzela, ponieważ w sieni ciemno, to mnie uratowało. (...) W sieni zorientowałem się, że nie mam naboju, ukryłem się w ustępie. Za chwilę słyszę, że przychodzi ich na podwórze kilku i zaczynają przeszukiwać, (...) wreszcie poszli sobie, odetchnąłem. (...) Zachodzę do mieszkania p. Książka; na jednej kanapie leży Józek, na drugiej Wacek Książek, na trzeciej Kazek Nurkowski. (...) Po dłuższej chwili zbieram się do wyjścia, Kazek Nurkowski prosi, bym go zaniósł do domu, (...) nie może się ruszyć, bo ma ręce i nogi połamane. Wziąłem go na ręce jak chłopczyka i poniosłem na ulicę Zakościelną do rodziców jego. Położyłem na kanapie, pożegnałem p. Nurkowskich i opuściłem mieszkanie, skierowałem się do miasta zobaczyć, co słychać.



Działoszyce, plac Partyzantów ok. 1916

Poszedłem do koszar, część naszych chłopaków była strasznie pijana, trzeba było ich wiązać, bo nie można sobie z nimi dać rady. Z podoficerów byli Jasiu Laskowski, Henryk Potocki, Józef Kopczyński. Siedzieliśmy na ogólnej sali i uspakajaliśmy awanturujących się, wtem wchodzi dowódca bandy Kozuń i Ignacy Markiewicz, jego adiutant. Kozuń przygląda się nam wszystkim, zapytuje, „Który z was zaczął strzelać, niech się przyzna, bo i tak go odnajdziemy i powiesimy na rynku”. Ładna perspektywa dla mnie się przedstawia; nic się nie odzywam, czekam, czy Ignac palcem wskaże. (...) Stał za Kozuniem, uśmiechał się i nic nie powiedział. Postali porozmawiali i poszli dalej. A my w pięciu trzeźwych podoficerów chwyciliśmy za broń, nabraliśmy amunicji, ile kto mógł zabrać, wzięliśmy kilka granatów ręcznych i wyszliśmy na ulice. Zaczęliśmy strzelać do bandytów, a oni wsiadają na furmanki i uciekają. (...) Jak się okazało na drugi dzień, bandyci ograbili bogatych Żydów. (...) Wszystkie sklepy z wódką były ograbione oraz tekstylne i skórzane lub galanteryjne³.

Na drugi dzień przyjechał do miasta oddział ułanów z oficerem na czele. Stałem na rynku i przypatrywałem się ułanom i koniom. (...) Na rynku w Działoszycach zrodziła się myśl o pójściu do wojska i wyjechaniu z Działoszyc jak najprędzej. (...) Tego dnia nie poszedłem na służbę, spotkałem się ze Staśkiem Wójcikiem z Opatkowic, umówiliśmy się z nim iść do wojska. Trzeciego dnia poszliśmy do Pińczowa, tam zwiedziliśmy koszary, spotkaliśmy starszego sierżanta, znajomego z Dzierżni, a ten nas zapisał do wojska. Tam organizował się późniejszy pułk ułanów 11-ty⁴. W tym czasie zorganizowany był jeden szwadron, który w dniu naszych odwiedzin był w pościgu za bandą. Zaczęliśmy prosić o przyjęcie do kawalerii, odpowiedziano, że jak przyprowadzimy konie własne, to przyjmą do kawalerii, a jak nie mamy koni, to do piechoty. Cóż było robić, trzeba iść do piechoty. Poszliśmy do sierżanta szefa, prosić o przepustki do domu, żeby zabrać swoje potrzebne rzeczy. Mieliliśmy się zgłosić w poniedziałek rano. Idziemy do Działoszyc i obgadujemy swoje spostrzeżenia, zgadzamy się ze sobą, że w Pińczowie nam się nie podoba, pojedziemy do Warszawy. Jak służyć w wojsku, to w Warszawie. (...)

Po dużych trudach i przygodach oraz strasliwym zmarznięciu, doбилиśmy do Warszawy we wtorek rano. Wylądowaliśmy pod ławkami na dworcu, nazywanym wówczas Terespolskim. (...) Jak się zrobiło widno, poszliśmy szukać wojska. Po drodze spotkaliśmy naszego szefa, on też się urwał z Pińczowa, przyjechał do Warszawy szukać szczęścia w wojsku, jak my. (...) Przeszliśmy przez most Kierbedzia, zaszliśmy na Koszykową do koszar kawaleryjskich. Szukamy sposobu, by dostać się do kawalerii; nic z tego, tu, w Warszawie, powiedzieli to, co w Pińczowie, że nas przyjmą, jak przyprowadzimy własne konie, jak nie, to wiejcie



Piłsudski z żołnierzami Polskiej Organizacji Wojskowej

do piechoty. Zrezygnowani, głowy spuściliśmy na dół i poszliśmy na ulicę Długą pod nr 7, tam mieściło się biuro werbunkowe.

Zachodzimy na ul. Długą, stoi ogonek na ulicy długości kilometra. Stajemy w ogonku i po jakimś czasie dostajemy się na górę; biura mieszczą się na drugim piętrze. Żyć się chce jak cholera, pieniędzy nie ma ani grosza. Nareszcie stoimy przed obliczem urzędujących panów, w pokoju stoi kilka biurek, przy każdym siedzi młody wojskowy, czy to oficer, czy podoficer, nie znamy się na warszawskich szarżach. Wypadła na mnie kolejka, pochodzę do pierwszego biurka i melduję się do wojska. Żądają dokumentów osobistych, mam legitymację POW, daję ją, on szybko zapisuje i powiada, proszę iść na podwórze, poczekać na komendę, przyjdzie ktoś, zrobi zbiórkę i poprowadzi was do koszar. Stacha przyjęli i obaj spacerujemy po podwórzu, nie czekamy długo, przychodzi jakiś wojskowy i robi zbiórkę, prowadzi nas w kolumnie czwórkowej do koszar, które mieściły się koło mostu Poniatowskiego na dole. Nie pytają, czyś głodny, zaraz po przyjściu dają nam robotę, trzeba wyścielić materace słomą i przynieść do koszar. Po wykonaniu i zasłaniu łóżek dostaliśmy kolację, czarna kawa i kawałek chleba; mało tego było, ale co zrobić, chciałeś chłopie iść do wojska, to cierp i nic nie mów. Rozbito nas na kompanie i przydzielono sale, cały batalion przybrał nr pułku 21 „Dzieci Warszawy”⁵.

W tych koszarach do ostatniej chwili stali Niemcy, wszystko było zawieszane. Nie trzeba było obawiać się wszy, bo w wojsku jest popularne, że każdy żołnierz musi mieć wszy i do tego należy się przyzwyczajać. Rozpoczęły się dni wypełnione pracą żołnierską, pobieranie z magazynu umundurowania, butów, maciejówek, bo takie nosili w owym czasie. Mundury i buty były poniemieckie, robota solidna, niemiecka, buty z krótkimi cholewami, podkute gwoździami. Wszystko było dobre, by życie było lepsze; rano kawa czarna niesłodzona, do tego ćwiartka chleba na dobę, na obiad dawali zupę ugotowaną na brukwi, bez mięsa, do tego trochę kartofli, trochę za mało, jak na młode dusze, nic dziwnego, że chodziłem głodny. Któregoś dnia na zbiórce czytają rozkaz dzienny i wołają, kto na ochotnika na wartę na zamek, po tych słowach wystąpiłem pierwszy jako ochotnik. Trzeba było maszerować przez całe miasto, ale ponieważ wystąpiłem jako pierwszy, mianowali mnie komendantem warty na Zamku warszawskim. Na Zamku po przyjeździe z Magdeburga mieszkał Józef Piłsudski. Przed samym wieczorem pomaszerowaliśmy ulicami Warszawy (...), szło nas 22 ludzi, komendant warty, rozprawdzający i 20 żołnierzy. Prócz nas miała służbę przy Piłsudskim tak zwana Legia Akademicka, późniejszy 36. pułk piechoty⁶. My, 21. pułk piechoty, wystawialiśmy posterunki na zewnątrz, na ulicach dookoła Zamku, Legia wystawiała wewnątrz. Atrakcją warty było to, że akademicki nocą przynosiły gorącą kolację: biała kawa, chleb biały z marmoladą, można się było najeść dobrze. Tak było co dzień, w dzień ćwiczenia, w nocy warta, by się najeść i nie być głodnym.

Jednego dnia czytają rozkaz Komendanta Głównego POW, że wszyscy byli członkowie POW mają zgłosić się w swoich komendach okręgowych celem mobilizacji do wojska. Rozkaz wykorzystałem, by zwolnić się z Warszawy, z tego głodowania; stanąłem do raportu do dowódcy kompani, dowódca uwierzył, bo nie mógł nic zrobić, dał mi przepustkę na cztery dni, nie określając miejsca, gdzie jadę i po co. Po przyjeździe do Kielc zgłosiłem się w Komendzie Okręgowej i zameldowałem. Tam wyrazili zadowolenie, że służę w wojsku; w tym rozkazie chodziło o to, by wszyscy POW-cy zgłosili się do wojska obowiązkowo, zgodnie ze złożoną przysięgą. Odmeldowałem się i opuściłem Komendę Okręgu. Poszedłem do koszar zobaczyć, jak żyje tutaj wojsko, jak [jest] umundurowane, czy lepiej niż w Warszawie. Niestety, życie lepsze, ale umundurowanie pożałuj Boże, żołnierze chodzą w kapeluszach cywilnych, w takich, jak chodzili po wioskach, kamasze z owijaczkami jak w wojsku austria-

ckim. Zrezygnowany z wyzwolenia z warszawskiej głodówki, idę na stację, by pierwszym pociągiem odjechać do pułku piechoty. Gdy znalazłem się na stacji, patrzę, oczom nie wierzę, czytam raz, potem drugi, jest napisane na czerwonym papierze czarnymi literami dużymi, że kto dobry Polak, niech wstępuje do 1-go Pułku Ułanów Krechowieckich, stacjonującego w Wolbromiu. Chodzę wokół afisza i oglądam, i kilka razy czytam; to nie jest możliwe, żeby dzisiaj potrzebowali ludzi, mam urlop na 4-ry dni, można spróbować i pojechać do Wolbromia, a jak nie przyjmą, wracam do Warszawy.

Postanowiłem pojechać do Wolbromia, stoi pociąg na torach przed dworcem gotów do odjazdu w kierunku na Jędrzejów, wsiadam do pociągu, dowiaduję się, że pociąg idzie na Kraków, no więc jazda. Pod wieczór dojeżdżamy do Wolbromia, jednak pociąg nie staje i nie zwalnia biegu, wyskakuję i zarywam nosem w piasek. Na stacji spotykam dwóch ułanów, zapytuję ich, gdzie są kwatery pułku i gdzie się mieści biuro. Powiadają: chodźcie z nami, to pokażemy, zaprowadzili mnie do niby-koszar, niby-fabryki i wskazali machnięciem ręki: tu się rozejrzyjcie. Widzę, że gdzieś w pobliżu pada światło, idę w kierunku drzwi, wychodzi z nich oficer w mundurze 1. korpusu Dowbora Muśnickiego. Powiadam, że dopiero przyjechałem i nie znam nikogo, a chciałbym się do wojska zaciągnąć. Prowadzi mnie do kancelarii wojskowej (...), zapisuje do książki, daje mi kartkę do kuchni, by wydali kolację. Idę do kuchni, wydają mi menażkę pełną białej kawy, do tego bochenek chleba, kawałek kielbasy. Wracam do biura, siadam na schodach i zjadam wszystko. (...) Dzień był dla mnie pamiętny, to z uwagi, że po pierwsze byłem najedzony do syta, po drugie dostałem się do wojska i to jakiego – do ułanów, jak Olbromski w „Popiołach” Żeromskiego. Dostałem się do Pułku Ułanów Krechowieckich, to był szczyt marzeń każdego młodego chłopca, czy był ktoś, co marzył, a jego marzenia stają się rzeczywistością?

Był początek grudnia 1918 roku. Na drugi dzień byłem przydzielony do pieszego plutonu, a to z braku koni. Następnego dnia załadowali nas do wagonów i jazda do Tarnowa. Po przyjeździe wydano nam kożuski krótkie, jakie nosiła kawaleria austriacka. Pamiętam pierwszego plutonowego nazwiskiem Piotr Swojniak, był to stary wiarus, wąsy miał jak dwie wiechy. W Tarnowie czułem się jak stary żołnierz, byłem już pewny siebie, przecież służyłem w 1. Pułku Ułanów Krechowieckich.

Tak się zaczęła historia moja związana z książką, napisaną przez ostatniego dowódcę pułku, pułkownika Litewskiego i rotmistrza Dziwanowskiego pod tytułem „Dzieje 1. Pułku Ułanów Krechowieckich im. płk. Bolesława Mościckiego”. Uczestniczyłem we wszystkich walkach, jakie prowadził pułk w ramach armii czy dywizji na froncie wschodnim; od powstania pułku w kraju w 1918 roku, do zawieszenia broni w 1920 roku i po wojnie służyłem jeszcze rok.

- 1 Komendantem Okręgu POW w Kielcach był od 1916 r. Tadeusz Herfurt, po wojnie pułkownik WP, geograf. W listopadzie 1918 r. Działoszyce wraz z powiatem miechowskim podlegały Komendzie Naczelnej POW w Lublinie, komendantem był Stanisław Burhardt-Bukacki. Wspomniany rozkaz był wystawiony przez niego.
- 2 Franciszek Studziński, żołnierz 1. Pułku Piechoty Legionów, od 1917 r. komendant Obwodu Kazimierza Wielka, w 1918 Obwodu Olkusz POW. Z-ca d-cy 27. Pułku Piechoty w Częstochowie i 12. Pułku Piechoty w Wadowicach. W czasie II wojny światowej d-ca Okręgu AK Tarnopol.
- 3 Wydarzenie to miało miejsce w listopadzie 1918 r., w relacjach żydowskich był to pogrom, o dokonanie którego podejrzewano żołnierzy armii Hallera (jednostki Błękitnej Armii nie dotarły jeszcze wtedy do Polski). W czasie tego bandyckiego napadu zabito Zalmę Zudzinowskiego, a Jankielowi Skupeciemu obcięto brodę i zrabowano zegarek (za: Sabor A., *Sztetl. Śladami żydowskich miasteczek. Działoszyce. Chmielnik*, Kraków 2005).
- 4 W tym okresie 11. pułk ułanów organizował się w Krakowie jako dywizjon rotmistrza Jabłońskiego.
- 5 Pułk, jeszcze jako 1. Okręgowy Pułk Warszawski, organizowano od 11 listopada 1918; dowódcą był płk Bolesław Jaźwiński
- 6 Legia Akademicka powstawała od 11 listopada 1918 r. na zasadzie zaciągu ochotniczego studentów; 26 listopada 1918 r. Pilsudski zdecydował o tworzeniu z niej 36. pułku piechoty pod dowództwem mjr. Zygmunta Bobrowskiego.

SUBIEKTYWNA KRONIKA WYPADKÓW KULTURALNYCH

OLSZTYN JURAJSKI

W niedzielę 17 czerwca 2018 r. w Olsztynie odbył się XIII Festyn Rodzinny zorganizowany w ogrodach plebańskich. Uroczystość odbyła się pod patronatem Wójta Gminy Olsztyn – Tomasza Kucharskiego i ks. Prałata Ryszarda Grzesika. Patronat medialny sprawowały: Tygodnik Katolicki „Niedziela”, Katolickie Radio „FIAT” oraz Radio „Jasna Góra”. Organizatorami Festynu byli: Gminny Ośrodek Kultury w Olsztynie, księża z miejscowej parafii przy współpracy Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, Gminny Ośrodek Sportu i Rekreacji oraz Oddział Gimnazjalny Szkoły Podstawowej w Olsztynie.

Festyn rozpoczął się mszą św. w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Olsztynie o godz. 12³⁰, która była transmitowana w Radiu „FIAT”. Po odprawionej mszy wszyscy udali się do ogrodu, gdzie przy sprzyjającej pogodzie odbywał się dalszy ciąg świętowania. W ogrodzie została przygotowana duża scena plenerowa, na której występowały dzieci szkolne i przedszkolne, jak również dorośli – miejscowi oraz zaproszeni goście. Jednym z ciekawszych punktów programu był mecz piłki nożnej: księża kontra policjanci. Na festynie wręczono także nagrody laureatom XVII Regionalnego Konkursu na tradycyjne ozdoby bibułkowe pt. „Kwiaty”.

Szczególnie dla dzieci przygotowano wiele atrakcji, ale i dorośli mogli znaleźć coś interesującego dla siebie, ponieważ program imprezy był niezwykle urozmaicony, zaplanowany z myślą o całych rodzinach. Toteż licznie przybyły całe rodziny, aby świetnie się bawiąc, wspólnie spędzić czas aż do późnego wieczoru. Nie brakowało

także mieszkańców z okolicznych miejscowości, jak i samej Częstochowy, dla których Olsztyn, a zwłaszcza ruiny zamku, są częstym miejscem świątecznego wypoczynku. Dodatkowo w tym dniu została otwarta dla zwiedzających krypta tutejszego kościoła, w której znajdują się trzy trumny.

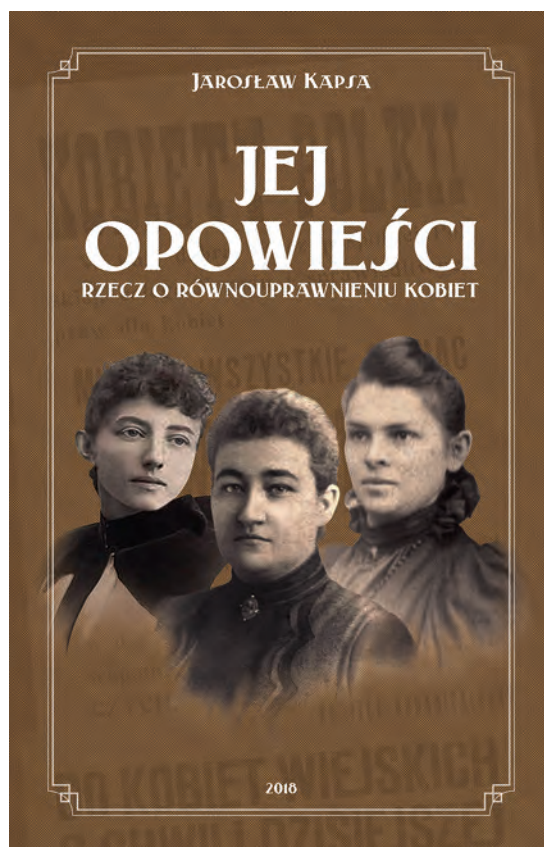
O godzinie 20⁰⁰ rozpoczęło się losowanie wielu cennych nagród, na przykład rowerów. Nagrody ufundowali przedstawiciele gminy (na czele z Wójtem i ks. Prałatem) oraz mieszkańcy Olsztyna. Ogromną niespodzianką okazał się przyłot helikoptera. Dwóch wylosowanych szczęśliwców wraz z osobami towarzyszącymi miało przyjemność uczestniczyć w kilkuminutowym locie nad Olsztynem. Starty i lądowania odbywały się przy ogromnym aplauzie publiczności. Wspomniane loty były chyba najatrakcyjniejszymi nagrodami tego wieczoru. Wszyscy darczyńcy i obdarowani znaleźli się na wspólnej fotografii.

Festyn zakończył się po godzinie 21, gdy już nad Olsztynem zaczynał zapadać zmierzch. Ja, wraz z rodziną, również bawiłam się na festynie w ogrodach plebańskich i to, co zaobserwowałam i zapamiętałam, starałam się tutaj pokrótce przedstawić.

Anna Jędryka

KOBIECA OPowieść PRZEDSTAWIONA PRZEZ MĘŻCZYZNĘ

Współpraca Towarzystwa Galeria Literacka z Jarosławem Kapsą zaowocowała – oprócz arcyciekawych artykułów odsłaniających nieznane aspekty rodzimej historii oraz krótkiej współpracy w zespole redakcyjnym – wydaniem książki tego Autora, zatytułowanej *Jej opowieści. Rzecz o równouprawnieniu kobiet*. Czas wydania został wybrany nieprzypadkowo, rzecz dotyczy



bowiem stulecia uzyskania praw wyborczych przez polskie kobiety, świętowanego razem ze stuleciem odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 r. Przypomnijmy, iż rok bieżący uchwałą sejmową został ustanowiony Rokiem Praw Kobiet.

Spotkanie autorskie, które odbyło się 3 lipca b.r. w należącym do Muzeum Ratuszu, zgromadziło liczne grono znajomych, przyjaciół i wielbicieli publicystyki i pisarstwa Jarosława Kapsy oraz tych, którym bliski jest problem równouprawnienia kobiet. Prowadzącym spotkanie był Bogdan Knop, prezes Towarzystwa, będącego wydawcą książki, ale grono honorowe nie pozostało męskie, bowiem została do niego zaproszona Barbara Strzelbicka, która książkę zredagowała. Dzieło zatem zostało przedstawione w trzech aspektach: autorskim, redakcyjnym i czytelnicznym, jako

że jednym z jego pierwszych czytelników był prowadzący spotkanie Bogdan Knop.

Wypowiedzi Jarosława Kapsy świadczyły o ogromnym zaangażowaniu, z jakim podchodzi do przedmiotowej kwestii, co jest czytelne także na kartach książki – jak zgodnie podkreślili jej pierwsi czytelnicy. Autor mówił o powodach, dla których podjął ten kobiecy temat – o niesprawiedliwości, z jaką była i jest traktowana heroiczna walka o równe traktowanie, o zapomnieniu wielu wybitnych kobiet i ich osiągnięć. Podkreślił, że wiele publikacji, powstałych przed stu laty, nigdy nie zostało wznowionych, a o wielu bojowniczkach o równouprawnienie nikt nigdy nie słyszał. Dlatego w książce *Jej opowieści* głos zostaje oddany właśnie tym kobietom, by mogły przemówić własnymi słowami. Język obszernych cytatów nie został dostosowany do współczesnych zasad – pozostał niezmieniony, by jak najlepiej oddawać klimat epoki.

Książka powstała w ciągu kilku miesięcy, jednak zaczęła kiełkować dawniej, gdy jej Autor w swoich badaniach nad przeszłością natrafiał na ciekawe wątki. Kwestia kobieca została ukazana na tle epoki, dlatego też w książce znalazł się bardzo bogaty materiał źródłowy, zaczerpnięty z roczników statystycznych, dokumentów prawnych, przewodników, dzieł naukowych, prasy codziennej, druków ulotnych i innych materiałów, trudno dostępnych dla czytelników. Dzięki temu powstała książka bogata, wieloaspektowo ukazująca walkę kobiet o równouprawnienie na tle rodzącej się polskiej państwowości. Ale nie tylko na tym polega bogactwo dzieła. Jego zaletą jest także pokazanie całej złożoności problemu poprzez poświęcenie poszczególnych rozdziałów różnym dziedzinom aktywności kobiet – od życia rodzinnego poprzez edukację, pracę zawodową, naukę, walkę zbrojną i ratowanie poszkodowanych na froncie – aż do działalności parlamentarnej. Zauważyć należy, iż Jarosław Kapsa posiada umiejętność ukazania problemów

poprzez pryzmat indywidualny, dlatego też wiele kobiet zostało pięknie i wnikliwie scharakteryzowanych, wiele tylko wspomnianych, ale też lista bojowniczek jest bardzo obszerna. Wiele z tych kobiet było wspieranych przez mężczyzn, o czym także pisze Jarosław Kapsa, ale ukazani są też tacy, którzy nie uznawali potrzeby równouprawnienia. Złośliwość historii pisanej przez mężczyzn polega na tym, że pamięta się o mężczyznach, mających znacznie mniejsze zasługi od kobiet, o których pamiętać niemal całkowicie zaginęła.

Książka nie jest podporządkowana założonej z góry tezie – wnioski Autor pozostawia do wyciągnięcia czytelnikowi, sam poprzestaje na przedstawieniu zagadnienia w jak najbardziej rzetelny i wieloaspektowy sposób.

Gościem spotkania była Agata Wierny, Pełnomocniczka Prezydenta Miasta Częstochowy do spraw równych szans. Wyповідаjący się goście spotkania podkreślali, iż jest to książka ważna i potrzebna, zasługująca na jak najszerze upowszechnienie. Pojawiła się propozycja przełożenia książki na języki obce, by można było ukazać zasługi Polek w walce o równouprawnienie oraz postępowość w tej kwestii dawnych władz naszego kraju. Zasugerowano również, by książka została zakupiona do bibliotek częstochowskich szkół średnich.

Po zakończeniu spotkania dalszy ciąg dyskusji toczył się w miejscach znacznie mniej oficjalnych.

Jarosław Kapsa, *Jej opowieści. Rzecz o równouprawnieniu kobiet*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2018.

Barbara Strzelbicka

OLSZTYN BALONOWO-WINNY

W każdy weekend – a szczególnie letnią porą – Olsztyn odwiedza mnóstwo turystów. Ale w dniach 21-22 lipca przybyło ich wyjątkowo dużo. Ja przynajmniej takich

tłumów nie pamiętam. Był to czas szczególny, ponieważ już od 19 lipca – najpierw w Złotym Potoku, a potem w Olsztynie – odbywały się Balonowe Mistrzostwa Polski. W zawodach uczestniczyło trzydzieści ekip balonowych z kraju i zagranicy. Z polskimi pilotami konkurowały ekipy z Litwy i Rosji.

W sobotni wieczór o godzinie 19⁰⁰, na błoniach zamkowych przy Spichlerzu, zgromadziło się tysiące osób, by podziwiać niecodzienne zjawisko startu i lotu balonów. Rozpłaszczone, barwne balony leżały spokojnie na murawie, jeden obok drugiego, gdy niemalże równocześnie wszystkie zostały odpalone i przy zachwycie publiczności wzbily się wysoko w górę. Balony, po nadmuchaniu, okazały się być ogromnych rozmiarów. Jednak po kilku minutach lotu, gdy zawisły na bezchmurnym niebie, przypominały swoją wielkością już tylko odpustowe baloniki. W jednej chwili niebo nad Olsztynem zrobiło się kolorowe, a podeksytowana widownia (w dużej liczbie





Foto: Anna Jędryka



także dziecięca), zadzierając głowy, skrzętnie uwieczniała to widowisko: kamerami, aparatami fotograficznymi lub chociażby tylko telefonami. Gdy na pogodnym, błękitnym niebie zostały już tylko niewielkie balonowe punkciki, które również wkrótce zniknęły, większość zgromadzonej publiczności udała się na olsztyński rynek, gdzie już od godzin południowych odbywał się III Jurajski Festiwal Sztuki i Wina.

Dwudniowy sobotnio-niedzielnny festiwal rozpoczął się paradą spod ruin zamku na olsztyński rynek. Impreza ta również cieszyła się dużym zainteresowaniem. Zgromadziła wielu wystawców, rzemieślników i artystów. Liczni goście, którzy odwiedzili w tych dniach Olsztyn, mogli posmakować – jak i zakupić – różne gatunki win. Mogli także wziąć udział w profe-



sjonalnych warsztatach winiarskich. Obok win w tym czasie odbywały się wystawy malarstwa, rękodzieła i fotografii. Całość imprezy dopełniały występy znanych zespołów muzycznych, które zabawiały zgromadzoną publiczność do późnych godzin wieczornych. W niedzielę zespół „Raz, Dwa, Trzy”, po wielu bisach i wśród owacji słuchaczy, zakończył III Jurajski Festiwal Sztuki i Wina.

Ja również tam byłam, słodkie wino piłam...

Anna Jędryka

WIECZÓR z galerią

– bo tak się teraz nazywają spotkania promujące nasze czasopismo – odbył się w upalne popołudnie 26 lipca. Dlaczego nie promocja „Galerii”? Bo niektórym członkom i sympatykom naszego Towarzystwa słowo to nazbyt kojarzy się ze sklepowymi „promocjami”, będącymi raczej wyprzedażą towaru, niż promowaniem czegośkolwiek. A „Galeria”, jeśli nawet umownie uznamy ją za towar, to z całą pewnością jest towarem pełnowartościowym i tego rodzaju „promocji” nie wymaga. W związku z tym powstało nowe logo, stworzone, rzecz jasna, przez naszego nieocenionego grafika Jacka M. Krasuckiego, które będzie informowało o spotkaniach pod szyldem „Wieczór z Galerią”. Bo wieczory będą poświęcone nie tylko premierom kolejnych numerów „Galerii”, ale także wydawanym przez Towarzystwo Galeria Literacka książkom, spotkaniom autorskim i innym okazjom. Stąd w logo słowo „Galeria” występuje co najmniej w dwóch znaczeniach: jako czasopismo i jako Towarzystwo, ale nie jest bynajmniej dwuznaczne. Tyle tytułem wyjaśnienia i przedstawienia nowego logo, będącego jednocześnie hasłem, że oto jest spotkanie.

A teraz o wieczorze lipcowym, którego bohaterem był numer 46. „Galerii”, po części także 45., wcześniej niesłusznie pominięty. Spotkanie zaczęło się w upalne popołudnie, które nieoczekiwanie zmieniło się w deszczowe, przez co niektórzy uczestnicy dotarli wręcz przemoczeni, inni zaś z niepokojem myśleli o pozostawionych otwartych z powodu upału oknach. Na szczęście deszcz zaczął padać późno, kiedy już sala Ratusza była wypełniona, inaczej chyba nie moglibyśmy liczyć na tak dobrą frekwencję, wszak to pełnia wakacyjnego sezonu, choć

kto wie... Wszak skupiamy grono znakomych Autorów, Czytelników i Sympatyków, dla których deszcz, zwłaszcza lipcowy, niestraszny.

Dodatkowym atutem 46. numeru była jego dedykacja – pamięci Tadeusza Gierymskiego w 90. rocznicę Jego urodzin. Nasze spotkanie można uznać za podsumowanie miejskich obchodów tej rocznicy, bowiem większość imprez miała miejsce w czerwcu, miesiącu urodzenia Poety. Prezentacja zawartości „Galerii” poprzedzona została wspomnieniami o Tadeuszu Gierymskim, wygłoszonymi przez Tadeusza Piersiaka, Janusza Mielczarka, Jacka Gierasieńskiego i Bogdana Knopa. Spotkanie rozpoczęliśmy od uczczenia pamięci pożegnanego w lipcu b.r. Władysława Edwarda Piekarskiego. Wspomnienia przeplatane były wierszami Tadeusza Gierymskiego w interpretacji aktora Teatru Częstochowskiego Antoniego Rota, doskonale znającego tę twórczość i odnajdującego teksty adekwatne wobec pojawiających się we wspomnieniach wątków.

Na prezentację zawartości dwóch zeszytów „Galerii” zostało niewiele czasu, ograniczono się więc do zapowiedzi tekstów, których autorzy byli obecni na spotkaniu, dzięki czemu można ich było przedstawić publiczności. Wieczór z Galerią zakończył się przy stole z winem i ciasteczkami, dzięki czemu wspomnienia można było snuć dalej. Spotkanie prowadził Bogdan Knop, zawartość „Galerii” prezentowała Barbara Strzelbicka, dołączył do nich Antoni Rot, a z widowni wspierał Tadeusz Piersiak.

Barbara Strzelbicka

KOBIECE CZYTANIE PRZEDWIOŚNIA

Narodowe Czytanie w Częstochowie tradycyjnie organizuje Biblioteka Publiczna w porozumieniu z Urzędem Miasta. W tym roku spotkanie zaplanowano – jak zwykle – w Parku im. S. Staszica, jednak nie



w altanie, lecz na specjalnie przygotowanej „Scenie na wodzie”. Mostek na stawie był pięknie udekorowany narodowymi barwami, elementy scenografii umieszczone zostały także na wodzie – było na co popatrzeć! Niestety, plany zniweczył deszcz i imprezę sprawnie przeniesiono do Pawilonu Wystawowego Muzeum.

Jak oznajmiła prowadząca spotkanie dyrektor Biblioteki Beata Grzanka, motywem przewodnim wybranych do czytania fragmentów *Przedwiośnia* Stefana Żeromskiego były postaci kobiece – by w ten sposób zaznaczyć, że 2018 rok jest rokiem podwójnie jubileuszowym: oprócz stulecia odzyskania niepodległości świętujemy stulecie przyznania praw wyborczych polskim kobietom. Na tle innych państw europejskich Polska była więc wówczas niezwykle postępowym krajem.

Ale to nie koniec ukłonów wobec kobiet, bowiem fragmenty były prezentowane przez kobiety – przedstawicielki instytucji kulturalnych naszego miasta. Teatr im. Adama Mickiewicza reprezentowały dwie panie: czytanie zainaugurowała aktor-

ka Iwona Chołuj, potem zaś publiczności przedstawiła się Magdalena Piekorz, nowa dyrektorka artystyczna teatru. Usłyszeliśmy i zobaczyliśmy także panie: Mariolę Florek (OPK „Gaude Mater”), Małgorzatę Majer (ROK), Annę Zagrobę (Muzeum), Magdalenę Woch (Urząd Miasta Częstochowy). Oficjalnego otwarcia czytania dokonał wiceprezydent Ryszard Stefaniak, swoje wystąpienie kończąc słowami: Polska jest kobietą!

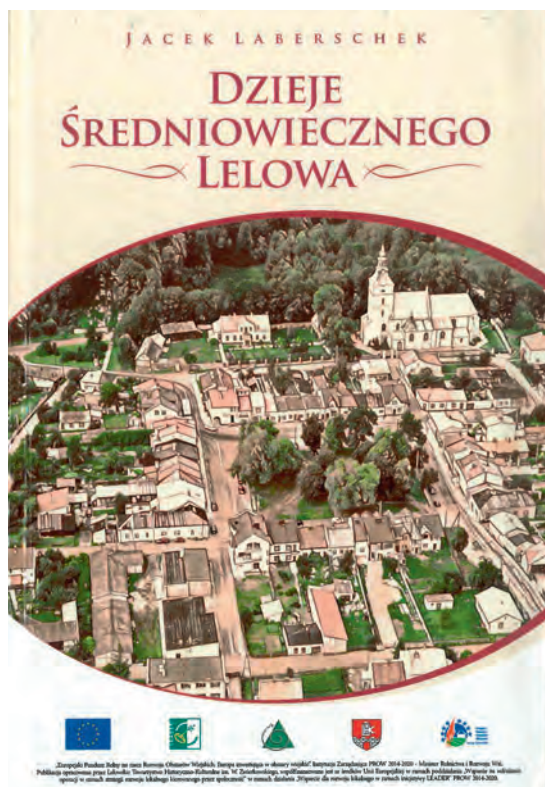
Zaznaczmy także, iż *Przedwiośnie* czytane było w wersji oryginalnej, bez poprawek i usuwania słów, które mogłyby być niezrozumiałe – najwyraźniej częstochowscy organizatorzy mają lepsze mniemanie o kompetencjach intelektualnych czytelników, które mogą obserwować na co dzień. Spotkanie zgromadziło liczne grono słuchaczy, w tym zwłaszcza młodych – zapewne także z powodu udziału grupy teatralnej z zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących im. Stefana Żeromskiego oraz uczniów Zespołu Szkół Muzycznych im. Michała Żebrowskiego, zaangażowanie bowiem jest najlepszym sposobem na wzbudzenie zainteresowania. Tradycyjnie rozdawane były okolicznościowe pocztówki, można także było otrzymać stosowny stempel na własnym egzemplarzu książki.

Niewątpliwą zaletą akcji, której tradycyjnie patronuje Para Prezydencka, a którą zainicjował Prezydent Bronisław Komorowski, jest to, że integruje Polaków wokół polskiej literatury. To bardzo przyjemne doznanie – współuczestnictwo w czytaniu dzieła, które powinni znać prawie wszyscy, skoro było lekturą obowiązkową. Świadomość, że czytanie trwa jednocześnie w różnych miejscach, że transmitują je media, że wcześniej jest starannie przygotowywane, że biorą w nim udział postaci znane z życia publicznego uzmysławia, że wspólne czytanie może być świętem, jednoczącym pokolenia i środowiska.

Barbara Strzelbicka

Tymoteusz Werner

CZENSTOCHOVIANA Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI



Jacek Laberschek, *Dzieje średniowiecznego Lelowa*, Druk. Kontur, Lelów 2018, 24 cm, s. 246 opr. oryg. tw.

Otrzymałem od autora książkę związaną z miejscem, gdzie spędzałem lata młodości, czyli z Lelowem. Ze wstępu przepisałem pierwsze zdania autorstwa samego Jacka Laberscheka, który wyjaśnia, dlaczego zaczęły się ukazywać książki o początkach miast takich jak Mstów, Myszków, Koziegłowy, Częstochowa, a teraz Lelów: „W ostatnich latach daje się zauważyć wyraźny wzrost aktywności samorządów i środowisk lokalnych i to niemal na każdym polu, a więc zarówno w sferach kulturalnej, edukacyjnej, wydawniczej, jak i popularnonaukowej. Efektem działań władz samorządowych i współpracujących z samorządami towarzystw regionalnych są często publikacje o profilu popularnym i popularnonaukowym, a nawet monografie miejscowości, które umożliwiają osobom związanym emocjonalnie z daną miejscowością lub okolicą zapoznanie

się z historią i dziedzictwem kulturowym swej małej ojczyzny i ocenienie wkładu danej społeczności lokalnej do ogólnokrajowego dorobku kulturowego”. Monografia Lelowa dotyczy także Staromieścia, Zbyszyc, Bystrzanowic, Przewodziszwowic, Ślęzan i innych miejscowości, które w okresie początków miasta Lelowa w północno-zachodniej Małopolsce były ośrodkami wiejskimi. Początki Lelowa pisane to lata 1193 i 1250. Autor, wybitny mediewista, zajmuje się historią średniowiecznego Lelowa od początku istnienia tego grodu do połowy XVI wieku. Są to więc czasy panowania Piastów, Andegawenów i Jagiellonów, czyli epoka średniowiecza. Lelów był miastem królewskim i opiekę nad nim sprawowali władcy, gdyż miasto to jest położone przy ważnym trakcie komunikacyjnym z Krakowa do Wielkopolski. Recenzją pragnę zachęcić osoby zainteresowane tym miastem (duży ośrodek gminny) do poszukiwania tej książki, która jest jednak trudno dostępna, bo całość nakładu jest własnością Lelowskiego Towarzystwa Historyczno-Kulturalnego im. Walentego Zwierkowskiego i Gminy Lelów. Kończąc warto dodać, że autor w *Uwagach końcowych* podaje skrótowo ciekawe informacje o całości swojej książki, a na 18 stronach – od 227 do 245 – zamieścił wyjątkowo bogatą bibliografię dotyczącą tego miasta. Praca autora, który przebrnął przez taką ilość literatury przedmiotu badań nad tym średniowiecznym grodem, jest godna podziwu i najwyższego uznania!

Ewa Aleksandra Rejment
Elżbieta Duda



Oczyścić z pyłu zapomnienia

Ewa Aleksandra Rejment, Elżbieta Duda, *Oczyścić z pyłu zapomnienia*, Wydawnictwo Korepetytor, Warszawa 2012, 21 cm, s. 90 (w tym na s. 74-90 tablice przedstawiające historie rodów), opr. oryg. brosz.

Ewa Aleksandra Rejment, Elżbieta Duda, *A w Gidlach...*, z. 1: *...lata dwudzieste, lata trzydzieste*, s.53, z. 2: *...rody, rodziny i obywatel*, s. 99, z. 3: *...szkoła, nauczyciele, uczniowie*, s.103, Gidle 2017-2018, 29,5 cm, opr. oryg. brosz.

Przypadek sprawił, że trafiły do mnie trzy „Zeszyty Gidelskie” *A w Gidlach...* Wtedy przypomniała mi się chyba nigdzie nie-omawiana książka tych samych autorek *Oczyścić z pyłu zapomnienia*. E.A. Rejment, dziś już 75-letnia, jest mocno zaangażowana w historię Małych Ojczyzn i z dużym zacięciem historycznym omawia historię rodu Rejmentów, którego najsławniejszy przedstawiciel Władysław Stanisław Rejmont opisał te ziemie w *Pielgrzymce do Jasnej Góry*. Ważną postacią dla Gidel i jednej

z Autorek jest Szwed, pozostały po walce o Jasną Górę w 1655 r., protoplasta rodu Balcerków oraz Rejmentów (od powiedzenia: do stu tysięcy regimentów!).

Autorki korzystały z pomocy miejscowej Biblioteki, Muzeum w Radomsku, lata 20. i 30. XX w. opisały na podstawie „Gazety Radomskowskiej”, zdjęć rodzinnych i wspomnień mieszkańców. Jeden z zeszytów poświęcony jest oświacie: od początku XIX w. aż do chwili obecnej. Zeszyt bogato ilustrowany archiwalnymi zdjęciami, niektóre z nich są *de facto* widokówkami, choć tego nie odnotowano. Zauważam, że warto dać szerszy opis: kiedy było wykonane, przez kogo (nawet że znakiem zapytania), co jest na drugim planie itp. Brak też zastrzeżenia o zakazie kopiowania bez podania źródła, co w dobie wykorzystywania materiałów do własnych publikacji jest istotne. W zeszycie omówiono rody, w tym ród Bartników, a jak wolno mi podejrzewać, jego przedstawicielem jest Bolesław Bartnik, autor dwóch książek o pobliskim Pławnie (*Monografia Pławna i 400 lat dziejów parafii Pławno 1613-2013*). Ród Matyjaszczyków – to historie ludzi, którzy rozproszyli się od Rudek do Kłomnic, Radomska i Częstochowy. Wymieniony jest Stanisław Szukalski, „Stach z Warty” (1893-1987), rzeźbiarz, osiadły w Stanach Zjednoczonych, ale o Gidlach pamiętał. Piotr Skibiński (1892-1961) – orędownik przyrody, zabiegający o zabezpieczenie starej lipy, rosnącej przed kościołem w Cielętnikach, pisał o tym w 1937 r. aż do ministerstwa. Na ostatniej (93) stronie omówiony jest ród Wernerów. Ze względu na zbieżność nazwisk informuję, że być może jest to moja rodzina.

Przeczytanie tych publikacji daje wyobrażenie o wielkości Autorek, ich pracy, patriotyzmie i przywiązaniu do Małej Ojczyzny. Oby takie książki rodziły się choćby na kamieniu!

Halina Synakiewicz, *Dzieje pielęgniarstwa i położnictwa na Ziemi Częstochowskiej. 25 lat Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych w Częstochowie*, Wydawca: Okręgowa Izba Pielęgniarek i Położnych w Częstochowie, Częstochowa 2016, 24,5cm s. 188, opr. oryg. tw.

Książka ukazała się dwa lata temu, ale dopiero od pół roku jest na półkach księgarskich. Przy okazji jej wydania warto sobie uzmysłowić, że pielęgniarki i położne stanowiły kiedyś fundament służby medycznej, opiekę nad pacjentami sprawowały w szkole, w domu, w zakładzie pracy czy nawet na ulicy. Pielęgniarkami i położnymi były nie tylko w miejscu zatrudnienia i nie tylko w godzinach oficjalnie wyznaczonych, ale wszędzie i w każdym czasie. Pamiętam, że w szkole, do której chodziłem jako dziecko, a była to szkoła nr 6 przy ul. Krakowskiej 27/29 (wtedy ulica nazywała się Stalinogrodzka), przez cały dzień była pielęgniarka, od 8 chyba do 16. Mieszkałem naprzeciw tej szkoły i pamiętam, jak starszy pan o lasce przychodził do szkoły na zastrzyk – był to pan Pilarski, jego syn jest lekarzem w Polanicy-Zdrój. W szkole średniej także spotykałem panie pielęgniarki, w białych czepkach z jednym paskiem czy nawet z dwoma, później, w latach, gdy rodziły mi się dzieci, była akuszerka, czyli obecna położna. Książkę wydano jednak z okazji ćwierć wieku istnienia Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych w Częstochowie, a nie z okazji moich wspomnień szkolnych i jest tu opisanych sześć kadencji i rozpoczęcie siódmej w roku 2015. Każda z tych kadencji opisana jest następująco: skład pielęgniarek wybranych do rady, do sądu koleżeńskiego, do komisji rewizyjnej, nawet jako rzecznik rady oraz wymienione są osoby wybrane na krajowy zjazd na dwu-trzech stronach osiągnięcia w tej omawianej kadencji z paru zdjęciami członkiń pracujących czy udzielających się w działalności rady. Od strony 144 do 181 zostały przedstawione sylwetki pielęgniarek, pielęgniarzy i położnych, którzy wnieśli znaczący wkład w rozwój i działalność Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych w Częstochowie. Książkę kończy *Opinia do monografii H. Synakiewicz* Mieczysława Wyględowskiego, autora wielu książek o tematyce związanej z ochroną zdrowia w regionie częstochowskim oraz rozdział *Zamiast podsumowania* napisany przez dr nauk medycznych mgr pielęgniarstwa Grażynę Rogale-Pawelczyk, prezes Naczelnej Rady Pielęgniarek i Położnych VI kadencji.

Wszystko to przeczytałem, ale dla mnie najważniejsze są zamieszczone na początku publikacji trzy rozdziały, w których jest mnóstwo danych historycznych, ciekawych faktów i spostrzeżeń, których tytuły pozwolę sobie wymienić: *Korzenie pielęgniarstwa i położnictwa*, drugi to *Dzieje szkolnictwa pielęgniarek i położnych w Polsce* oraz trzeci *Początki szkolnictwa pielęgniarek i położnych w Częstochowie*. Mieszczą się one na stronach od 20 do 60, są ważne, ciekawe, inspirujące i dające asumpt do pozytywnego myślenia o tych zawodach, które służą społeczeństwu.





Jan Zumbach, *Ostatnia walka: Moje życie jako lotnika, przemytnika i poszukiwacza przygód*, Oficyna Wydawnicza Echo, Espadon Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2007, 19 cm, s. 399 od s. 371 do 387 zdjęcia i wykaz zwycięstw powietrznych, opr. oryg. brosz. czerwona.

Czytając tę recenzję pragnę wyznać, że przeczytałem wymienioną wyżej książkę dwa razy i tak rozpałała ona moją wyobraźnię, że wróciłem do innej książki – do *Dywizjonu 303* Arkadego Fiedlera, odwiedziłem kino i obejrzałem film o tym tytule. Byłem też w Muzeum Dywizjonu 303 w miejscowości Napoleon (gmina Lipie). Ponownie czytając, miałem łzy w oczach, jaka to „zapłata” spotkała polskich lotników od „wdzięcznych” Anglików i „męskich” Francuzów, którzy nie chcieli się bić o Gdańsk, choć oba te kraje miały wypowiedzieć wojnę Niemcom po agresji na Polskę. Pozwolę sobie także na gorzką uwagę: teraz mówi się: faszyści,

naziści, ale to przecież naród niemiecki zdecydował, wybierając Adolfa Hitlera!

Bogate życie Jana Zumbacha znakomicie nadaje się na scenariusz filmowy. Ten legendarny lotnik od 17 maja do grudnia 1942 r. był dowódcą Dywizjonu 303, został odznaczony Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyżem Walecznych i dwukrotnie brytyjskim Distinguished Flying Cross. Po zakończeniu działań wojennych, jako podpułkownik RAF-u, w październiku 1946 r. wystąpił ze służby wojskowej i zajął się przemytem złota, diamentów, papierosów, luksusowych zegarków, używając do tego samolotów. Był najemnikiem w czasie secesji Katangi i Biafry, miał kontakt z cesarzem Kasai i Moise Czombem. Akcje, w których brał udział książkowy Mister Brown (to jeden z pseudonimów Jana Zumbacha), dzieją się w Anglii, Szwajcarii, Hiszpanii, Kongo, Gabonie, Nigerii, czyli w Europie i w Afryce. W tych krajach i na tych kontynentach Polak latał samolotami, szukając niezwykłych przygód, ryzykując życiem, prowadząc awanturniczy sposób bycia i biorąc udział w nieprawdopodobnych przygodach. Czytelniku tej recenzji, jeśli nie przeczytasz tej książki, nie będziesz miał wyobrażenia o życiu człowieka, który związany był też z Częstochową, o czym świadczą cytaty ze stron 49-50 i wielu innych. „Czy mogłem matce zdradzić, że służba w piechocie była warunkiem wstępnym późniejszego przyjęcia do oficerskiej szkoły lotniczej?” I kolejny fragment: „Pułk mój stacjonował na południu kraju, w Częstochowie, w wielkim sanktuarium całej katolickiej Polski. Miasto nazywane było polskim Lourdes”. Po tych słowach następuje opis służby w kompanii karabinów maszynowych 27. Pułku Piechoty, opis ciekawy i dający wyobrażenie o służbie w Częstochowie. Jednym zdaniem podsumowując: książkę warto kupić i przeczytać!

Jan Ciesielski

FAIR-MĘTY

Gdzieś ukradli nam hasło złodzieje,
Z czym dziś do Was możemy się zwrócić?
Teraz każdy przeciwnik się śmieje,
Bo nie wiemy już, o co się kłócić.

Zawłaszczyli podstępem nam racje,
Ułożyli je na swe transparenty,
Nam się przecież należą owacje,
Myśmy pierwsi robili fermenty!

To jest głupie, to przecież niesłuszne,
To powinna być rzecz zakazana,
Proszę zwrócić nam transparenty,
To nie *fair* taka gra oszukana.

Nasz peleton i my są na czele!
Gdzie są hasła? Pytanie bez pointy...
My wygramy ten wyścig – fortelem,
My uczciwsi – bo my są *fair-męty*!





Portret artysty z ręką.

Foto: Krzysztof Babiracki, 2018

Mirosław Rogala (ur. w 1954 r. w Polsce) – amerykański artysta polskiego pochodzenia, przedstawiciel sztuk video i interaktywnych, znany z pokazów oraz instalacji, które działają na kontrolę percepcyjną widzów/użytkownika i wchodzą w dialog na temat istoty sztuki i życia. Dr Mirosław Rogala wykorzystuje w pracy wielorakie media natury eksperymentalnej i transformatywnej. Jego prace to głównie interaktywne instalacje składające się z wielopoziomowych, wielokanałowych pokazów video zapraszających do udziału widza, (v)user¹, żeby we własny sposób przetwarzał przestrzeń. Poprzez transformatywne systemy, które zawierają kraty dźwięku, przestrzeni, ruchu, światła i obrazu, tworzy nową koncepcję otaczającego środowiska. Zajmuje się zamykającą przestrzenią pomiędzy naturą a życiem miejskim wraz z nadejściem nowych technologii oraz odnajduje harmonię, w której te dwa światy wchodzą w inter-

akcję, ewoluują w nowy spójny system będący odbiciem naszego zmieniającego się świata. Prace Rogali były wystawiane w Muzeum Sztuki Współczesnej w Chicago, Centrum Sztuki i Mediów (ZKM) w Karlsruhe (Niemcy), Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, Bunkrze Sztuki w Krakowie oraz Goodman Theatre w Chicago. Współpracował i współpracuje z chicagowską grupą artystyczną „art to nth laboratory” („laboratorium sztuki do potęgi n-tej”) oraz wieloma artystami o międzynarodowej sławie (Merce Cunningham, Carolee Schneemann, Ed Paschke, Ken Nordine, Urszula Dudziak, Jennifer Guo, Czesław Niemen, Beata Pater, Noah Creshevsky, Marek Bałata...). Rogala wykładał na uczelniach artystycznych, m.in. w Pratt Institute, Brooklyn, NY, Carnegie Mellon University, Pittsburgh; Rensselaer Polytechnic Institute, Troy, NY; Columbia College oraz The School of the Art Institute of Chicago. Tytuł doktora uzyskał w dziedzinie Interaktywnych Sztuk na CAiiA-STAR Centrum Zaawansowanych Poszukiwań Sztuk Interaktywnych na Uniwersytecie Walijskim w Newport w Walii w 2000 roku (teraz pod nazwą Planetary Collegium). Od 2006 roku jest wykładowcą-profesorem i dyrektorem w Knowledge System Institute (Skokie, Chicago) w Illinois dla studentów pochodzenia azjatyckiego.

CREDO ARTYSTY

Centralną ideą moich dzieł artystycznych jest „wolność słowa”. Moje pojmowanie wolności i demokracji dotyczy nie tylko „praw” i „przywilejów” – tradycyjna definicja w USA – ale również odpowiedzialności. Interaktywne Media dają odbiorcom „prawo” do pracowania nad zawartością oraz formą dzieła; to również pociąga za sobą zmianę z artysty na (v)user, zmianę w odpowiedzialności za dzieło. Interakcje uczestnika stają się zatem integralną częś-

cią dzieła, w części której (*v*)*user* podejmuje się tej odpowiedzialności, wybiera czas i zaangażowanie, za co jest odpowiednio nagradzany. W ten sposób twórczość może być dzielona i pozostawać integralną wobec dzieła, ale tylko wtedy kiedy (*v*)*user* pojmie nie tylko mechanizmy interfejsu, ale również zasady demokratycznej odpowiedzialności za swoje czyny. To rozciąga się, w większości moich ostatnich prac, na współodpowiedzialność w interakcjach społecznych z innymi, zarówno w tej samej przestrzeni geograficznej, jak i innymi (*v*)*userami* za pomocą sieci komputero-

wych w miejscach odległych. Cel moich dzieł wyrósł z potrzeby indywidualnego doświadczenia do społecznej konstrukcji dzieła przez wielu (*v*)*userów* – bardziej skomplikowany model demokratycznego doświadczenia artystycznego – i w końcu w kierunku stworzenia utopijnej sieci, w której możliwości i wymagania demokracji globalnych mediów mogą być zbadane.

1 (*v*)*user* – termin zaproponowany przez Mirosława Rogalę na początku 1998 roku do opisanego użytkowników będących jednocześnie widzami i użytkownikami w interakcji z dziełem i pomiędzy sobą.

Mirosław Rogala

ARTIST STATEMENT, CZYLI KRÓTKA AUTOBIOGRAFIA ARTYSTYCZNA

Wolność i interaktywność

W mojej multimedialnej operze „Nature Is Leaving Us”, wystawionej w latach 1989 i 1994, stwierdziłem, że „sztuka rekompensuje śmiertelność”. Moja twórczość jest indywidualna, osobista, ale także wspólna w swej naturze i złożoności, interaktywna. Kluczowym pojęciem w przypadku mojej sztuki jest „wolność”. Moje rozumienie wolności i demokracji opiera się na przekonaniu, że żadne z nich nie przyznaje nam tylko „praw” i „przywilejów”, ale też obowiązki.

Media interaktywne dają odbiorcom „prawo” do pracy nad zawartością, a nawet formą dzieła; to z kolei pociąga za sobą – poprzez przesunięcie nacisku z artysty na widza-użytkownika – przesunięcie odpowiedzialności za dzieło. Interakcje uczestnika stają się nierozzerwalnie związane z dziełem w takim stopniu, w jakim widz-użytkownik przyjmuje na siebie tę odpowiedzialność. Widz-użytkownik sam wybiera ilość czasu i stopień zaangażowania, jakie poświęca dziełu i jest za to odpowiednio nagradzany. W ten sposób można dzielić się inwencją twórczą z innymi; inwencja ta staje się nierozzerwalnie związana z dziełem, ale tylko wtedy, gdy widzowie-użytkownicy poznają zarówno mechanizmy interfejsu, jak i zasady demokratycznej odpowiedzialności za osobiste czyny. Uczestnik jest zatem odpowiedzialny za jakość takiego doświadczenia.

Ruch w przestrzeni to fizyczność. Ruch w perspektywie to konstrukcja myślowa, która odzwierciedla skoki i niespójne skojarzenia w ramach procesu myślowego. Zgłębianie tego ruchu, przy próbie stworzenia pewnej przestrzeni fizycznej, jest wzorem procesu myślowego.

Strategie kontroli przybierają rolę *aktywne* lub *pasywne*. Władza i siła zależą od tego, gdzie umiejscowimy się w naszym środowisku. Wraz ze wzrostem świadomości widza, dotyczą-

cej mechanizmów kontroli, wzrasta jego władza. Każdy widz tworzy nowe, inne doświadczenie w zależności od swojego zaangażowania, zrozumienia i transformacji w stronę pozycji władzy. Wielu jednak rezygnuje i nie korzysta ze swojej władzy.

Przestrzeń osobista i wirtualna

Nasze ciała to położenia. Jesteśmy położeniami i przemieszczeniami, a nasze przeżycia i doświadczenia nie są ciągłe. Mur z łatwością można zdefiniować jako oddzielenie fizyczne lub pojęciowe, ale już konotacje emocjonalne, metafizyczne czy literackie różnią się tutaj w zależności od kontekstu.

Niedawne zmiany zachodzące w świecie – geopolityczne, społeczne, ekonomiczne i technologiczne – spowodowały moją refleksję nad tak powszechnymi i banalnymi kwestiami, jak na przykład to, czym tak naprawdę jest mur? Jeśli dzisiaj ktoś pojmuje mur w sposób najtrafniejszy, to być może jego pojęcie odnosi się do obalenia muru berlińskiego i symbolicznej wagi tego wydarzenia dla mnóstwa innych zmian, które miały miejsce w Europie Wschodniej w stosunkowo krótkim czasie.

Mur berliński „upadł”, ale jego liczne fragmenty wciąż istnieją; pozbawione swej pierwotnej funkcji wiodą osobliwy żywot jako nic nieznaczące zestawy architektoniczne, rozsiane po mieście. Te dziwne segmenty z betonu pokryte graffiti sprawiają, że myślimy o Wielkim Murze Chińskim, Stonehenge albo współczesnych miastach amerykańskich, czyli innych pomnikach architektury, których ciągłe istnienie jest anachronicznym przypomnieniem konfliktów i realiów politycznych z przeszłości.

Gdy narody otaczają się murami albo szczerze odgradzają się od wrogów, społeczeństwa po prostu podejmują (na większą skalę) ten rodzaj obrony i zuchwałości, którym ludzie posługują się do uzgadniania kryteriów życia osobistego. Każde stanowisko wyznacza granicę, a każdy ruch przekracza granicę. I o ile te konkretne machinacje mogą różnić się w zależności od kraju, grupy społecznej czy nawet pokolenia, o tyle każdy człowiek nauczył się budować swoje mury i zauważać mury innych osób. Być może bierzemy je nawet za coś oczywistego. Przestrzeń osobista to współczesny truizm, który jednak dokładnie definiuje stopnie zażyłości używane (lub wykorzystywane) przez ludzi w kontaktach z innymi. Komu lub czemu nie pozwalamy przekroczyć wyznaczonych granic? Kogo lub co w tych granicach zatrzymujemy? Co określa te granice? I znowu, jeśli mur dzieli, to gdzie on się znajduje? Zapomnijmy na chwilę o naszych obyczajach i przyjrzyjmy się tym niewidocznym mapom, ich krawcom i ich znaczeniom.

Gesty i pozy – natura i miasto

Poza jest formą gestu. To gest bez ruchu.

Poza nie znaczy tego samego w momencie jej przybrania i w chwili następującej zaraz przed jej zakończeniem.

Gesty i pozy mogą być zamierzone albo niezamierzone.

Gesty i pozy mogą być prawdziwe albo wirtualne.

Wojna jest gestem. Czy pokój to poza?

Nie. Pokój to też gest. Pokój nie jest pasywny.

Wirtualne gesty prowadzą do wirtualnych tłumów.

Dzięki technologiom miasto staje się hiper-miastem, w którym dominują wirtualne tłumy.
 Czy wraz z rozwojem hiper-miasta zmienia się znaczenie pustkowia?
 Skoro istnieje wirtualne miasto, czy istnieje też wirtualne pustkowie?
 W miarę tego, jak rozwija się hiper-miasto, coraz poważniejszym problemem staje się je-
 dzenie.
 Żeby mieć jedzenie, potrzebujemy wsi. A może też jesteśmy świadkami rozwoju agromiast?
 (Czy rolnik nie tworzy agromiasta, trzymając krowy zamknięte w zagrodach?)
 Czy w miarę tego, jak rozwija się hiper-miasto, rozwija się też hiper-wieś – skażenie terenów
 wiejskich?
 Czy ostateczny kształt hiper-wsi to las tropikalny – najwyższa żyzność, maksymalna różno-
 rodność biologiczna i obfitość?
 Hiper-miasto jest prawdziwe. Wyimaginowane miasto to miasto naszych marzeń, utopijne
 miasto maksymalnej wytworności.
 Istnieje także wyimaginowana wieś, utopijne gospodarstwo lub utopijna dzicz.
 Rozwój malarstwa pejzażowego w sztuce zachodniej pogłębia się dokładnie w momencie,
 w którym wyłonienie się miast zaczyna zagrażać istnieniu i dominacji wsi rewolucją przemy-
 słową. Chcemy zachować to, co jest zagrożone.
 Skoro, jak powiedział kiedyś Francis Ponge, „drzewo wyraża siebie poprzez swoje pozy”,
 przypuszczalnie w pejzażu to drzewa przybierają pozy i robią gesty, być może w rozmowach
 między sobą i z nami.

Przekształcenie

Miasto jest widoczne i sformatowane. Jest także osadzone w sieci, widoczne i niebezpieczne
 w swoich ucieleśnieniach.
 Miasto przekształca się, pamiętając dawne powodzie, strzelaniny i eksplozje.
 Po to jedynie, by przekształcić się w lusterkach wolno poruszających się samochodów, odbi-
 jających przytłaczające eksplozje światła.
 Przekształcone miasto to mysz stająca w obliczu smoka.

Przekształcenie, interaktywność, przekształcony ogród.
 Pąg słonecznika mieści w sobie interaktywne oczekiwanie.
 Mak, jako dysk, peleryna, fartuch, obruś, kosa i kwadratowa planeta robi gesty sam i w in-
 teraktywnym tłumie.
 Gest ukazujący piosenkę tworzy piosenkę o gestach, choć...
 Jabłko kusi niewinnych i doprowadza do wygnania ich z raju, do lasu-sadu interaktywnej
 płodności.
 Dziedzictwo gestu tworzy gest dziedzictwa, ponieważ...
 Kukurydza może zastąpić masło, może zastąpić ropę naftową, może być słodka i zachęcająca
 na swój własny, interaktywny sposób.
 Żniwa dziedzictwa tworzą dziedzictwo żniw, jeśli...

Interaktywny most brooklyński sięga jednocześnie w górę i w dół.
 Miasta żniw tworzą żniwo miast wśród...

Wiatraki zawierają w sobie dwoistość; świat naturalny i świat mechaniczny, siłę i ciszę ener-
 gii, ruch od pozytywu do negatywu i do ciemności w interaktywnym świetle.

Granice miejskie tworzą miasta graniczne pomiędzy...

Sztambul – zagadka, labirynt, tunel, most i wieża – snuje sieć interaktywnych, żniwnych pól.
Graniczne skreślenie pamięci tworzy skreślenie piosenki o pamięci lub...

Dojrzały słonecznik jest zarówno doświadczeniem, jak i interaktywnym stawianiem się.

Nasienie, gałązka, młode drzewko, kwiat i owoce współlistnieją w jednym genomie.

Mirosław Rogala

SIEDEM WIERSZY (1972-1977)

Tłumaczenie tekstów: Marek Oktawian Bulanowski

NERWAMI CZASU

Terrorysta w ciągu najbliższych szesnastu
godzin wewnątrz czuje kształty córeczki
na zdjęciu wskazująca ręką śpiewa drzazga
pulsu tych ustawia obok.

I odwrócił się przodem. Lewą rękę kładzie
na krawężniku w tamtym kierunku wyżej
o dwa cm, kiedy tak się śmiejesz

myślę o nim, często, dwa tysiące godzin na
dzień o Boże, i tylko to, proszę Cię

PRACE GRUNWALDZKIE

I

Pod człowiekiem	spłaszczony	owad
ziemia o		

wypadki	ich rozwój	pomyślny owad
---------	------------	------------------

Dalsze kryz		plan roczny
-------------	--	-------------

II

nieustannie pogłębia się wzajemna współpraca
cały dzisiejszy dzień gwaro było w samym tylko
Krakowie, poproszę ten rogalik z marmoladą, nie
tamten, ten jest lepiej narysowany, zagadnienia
te w związku z naruszeniem, rozmyślnego manewrowania
dorszem, się wszelkiej obcej interwencji.

III

Ważną rolę w pobudzaniu aktywności społecznej,
ubrań męskich, w realizacji ambitnych zadań jakie
stoją przed jasno określone przyjaźń. Zamierzają
zmoderni prace koncentrować się będą przy upięk-
szaniu ulic i parków

TEATR DZIAŁAŃ

Skutki zastosowania takiej czy innej
metody mięśnie karku masujemy obok
przemocy kręgosłupa wobec zdań
będzie pokój czy

Realizacja wymaga dalszego
Kobieta, mężczyzna, dziecko tysiące
imprez kulturalnych, problem starzec

doszło do starć
wstrząsów podziemnych
serc matek, ojców

jeszcze kilka słów
lokalnie: grad
siedzę w rozjaśnionych ciemnościach
wobec tego, o czym nie mam pojęcia

SŁOWA. SŁAWA SŁÓW

Już czas od razu
przejsć do drugich
słów. Które zaczyna
pulsować /zamiast

Opisu: zamiar/
gich zdań. W
mie dalsza ko
mplikacja serc

Dysponuje. Ponad wszelką wątpliwość
tajemnice treningu tej twarzy zmar

szczęk nie nie sobie

/aż ze składu kto
rym dysponuje
twoja duszą zmar
szczęk nie odcho/

GDZIE NIE WSZYSTKIE DRZWI ZAMKNIĘTE

Nie jest to wyczerpująca lista
Nie pamięta a rozmówca
waży słowa
A mój synek strzela
Łącznie to nawet więcej

Informacji, pod każdym względem
Międzynarodowe
Nie otrzymaliśmy informacji
o miejscu naszych kolarzy
W zapowiedziach forma

Zwyżkuje
Wysokość wygranych Zawartość dwutlenku
Utworów napisanych specjalnie
a może to język drzwi
Zamykanych i zamykanych w wierszu

Oraz zjednoczenie
powierzchni znaczeń

Cicho, wszystko słysząc

MOŻLIWOŚĆ ŹRÓDŁA

upływa nieszybko (więc
każe się zastanawiać, dodaje ciszej)
na górze wyrosły dwie odnogi
prastary sposób określania
nowa miłość zwraca do
(chyba mam trochę racji, z nadzieją)

rezygnacji, (życie
nobliwie potakuje; zdanie urwane)
twoje wesele,
posadzki do lustra oto woda

ja przeciwnie (kilka nieznaczących
gestów)
właściciel psa przedstawia świadectwo
szczepienia, w przeciwnym razie
wszystko będzie jak (przedtem

w zawieszynie) ((zaznaczy z nutą
ekspresji)), ależ nie! (ripostuje
natychmiast) kontrolujemy nawet
urwane słowa, np.
źródło

URODZIŁEM SIĘ. POEZJA JEST. ZROZUMIAŁEM

Podmiot wyciąga drzazgę.

Ambiwalencja trzyma jeden I drugi koniec
(w nawiasie)

Forma ssie siebie.

Porcelana, dotknięta, zbliżenie duchowe (wskazuje
palcem), skutki podziału twój świat (mój świat),
twarze, aby przyłączyć się (mierzy wzrokiem)
i porozumieć (ufny uśmiech) za pomocą ((ściszenie
druku)) tego (w oczekiwaniu kodu) kodu.

Jadąc zauważam mniej

Chce ci powiedzieć o tych rzeczach żeby,
Cię wiesz. Zachowywać proporcje. W pierwszym
wersie uważam, że się je.... No nie. To w dru.
Dobrze, że tak przeczytałeś poza zapisane tu.



Mirosław Rogala: *Transformed Landscape: The Poplar Tree*, 2017

Copyright © **TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA**

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny), Ida Jadwiga Łubińska, Magdalena Syguda.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Janusz Mielczarek, Aleksandra Keller, Jacek Gierasieński, Marian Panek, Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa, Anna Jędryka.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”

ul. Garibaldiiego 14 a

42-200 Częstochowa

www.gryf.czyst.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka

ul. Metlera 4

42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przysyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

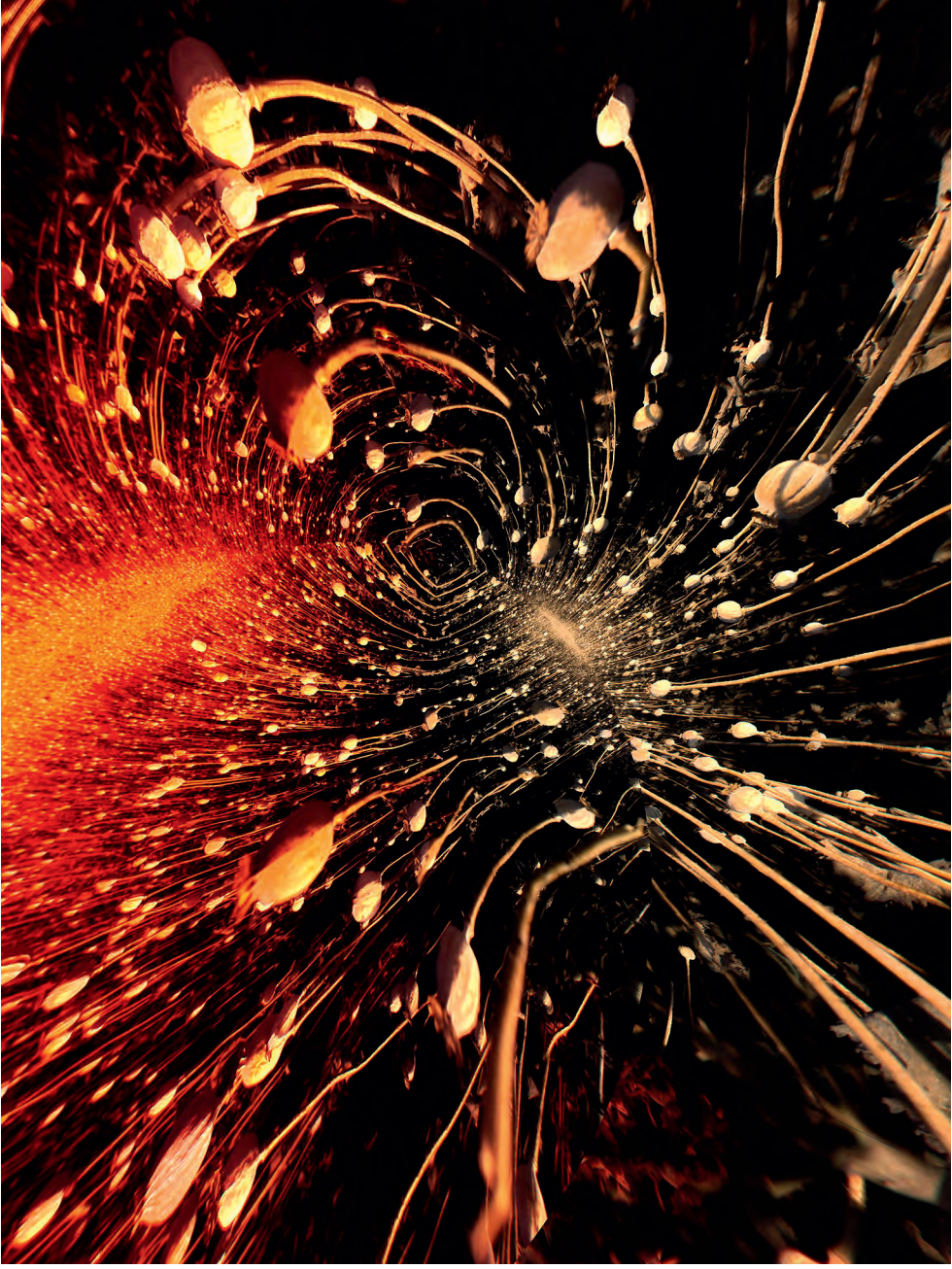
Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: BOŚ Bank S.A. 40 1540 1014 2101 8518 7364 0001

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Mirosław Rogala: Transformed Poppy Fields, 2018

FOTOgaleria



Mirosław Rogala: The Bridge in Zigzag Time, 2018



Mirosław Rogala: Transformed Garden: The Apples Gone Wild, 2013